

Kto się boi
Pussy Riot

Czy GMO
to samo zło?

Podróż
za jeden bezcen

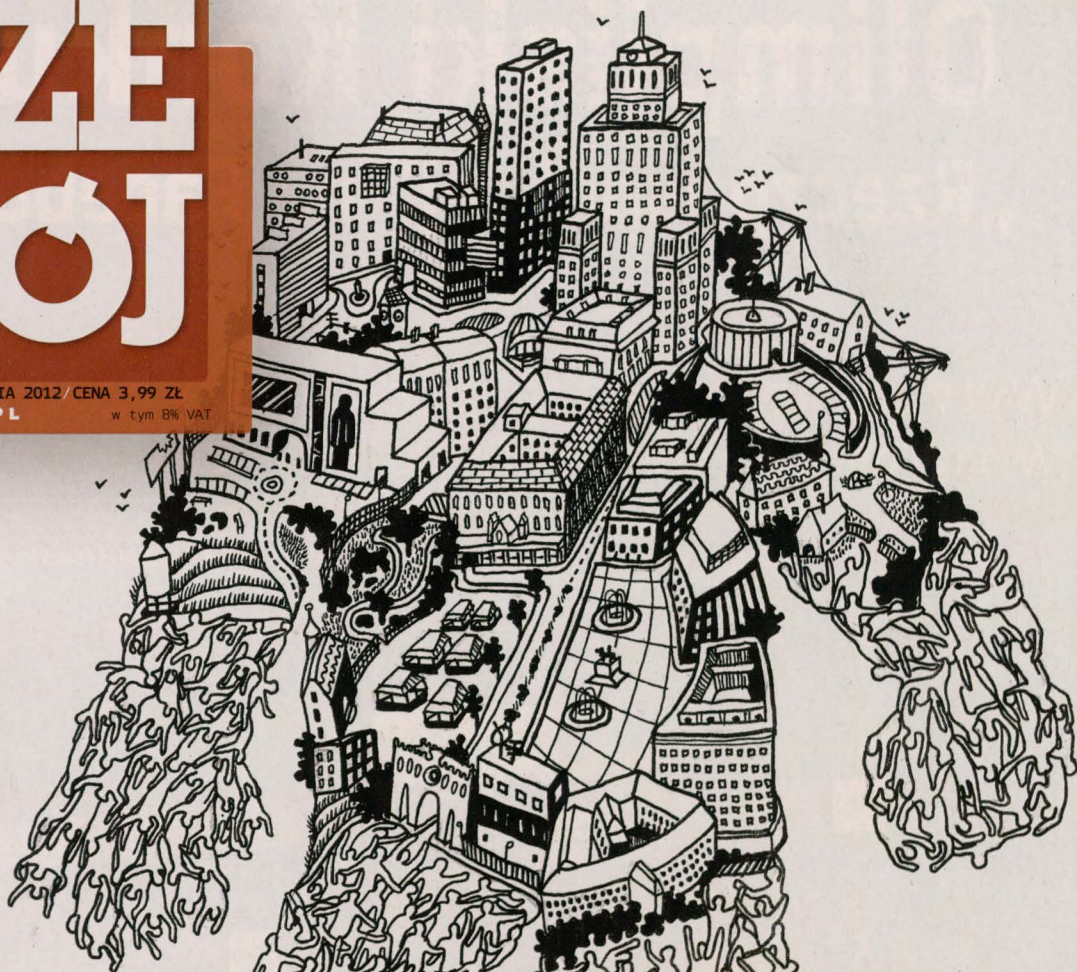
Cioty, geje
i pedały

PRZE KROJ

NR 3501 (3501) / 6/13 SIERPNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT



Bunt miast, bunt nasz

ISSN 1744-24

ISSN 0033-2488
9 770033 248805
32

Olimpijski Konkurs „Rzeczpospolitej” na Facebooku

Wytypuj, ile medali zdobędą Polacy na Igrzyskach. Wygraj oficjalną grę LONDON 2012 na XBOX 360, PS3 lub PC!

Dla wszystkich typujących dodatkowa nagroda gwarantowana o wartości 99 zł!



Więcej na www.rp.pl/igrzyska

PRZEKROJ

Założyl w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

NIE PISZEMY O TYM...

... że w dniu końca świata według Majów, czyli 21 grudnia tego roku, w Boliwii zacznie obowiązywać zakaz sprzedaży coca-coli. Ma to być początek końca kapitalizmu i inauguracja nowej ery, kiedy nastanie prawdziwie kulturalne życie. Poza tym Boliwia wraz z Peru wyprzedziły Kolumbię w produkcji koki. I w Boliwii robi się na bazie koki wodę gazowaną o niczego nieprzypominającej nazwie Coca-Colla.

... że wreszcie dotarła do nas dobra wiadomość o straży miejskiej, która zamiast walczyć o prawo do noszenia i używania broni palnej, zajmie się, przynajmniej w Łodzi, handlem zarekwizowanymi wcześniej warzywami. Lepsza pietruszka w dłoni niż spluwa w kaburze.

... że Wenezuelczyk Ruben Limardo z Piasta Gliwice zdobył olimpijskie złoto w szermierce, pokonując Norwega Bartosza Piaseckiego.

... że – jak dowodzą naukowcy – mężczyźni masowo udają orgazmy, żeby nie deprymować partnerek.

... że na Twitterze, minuta za minutą, ulica za ulicą, trwa powstanie warszawskie. Historia na żywo. Czekamy, aż sprawozdanie ze zdobycia PAST-y pokaże TVN24.

... że rosyjski multimilioner Jurij Milner ufundował wielomilionowe nagrody dla wybitnych fizyków teoretycznych. Zawsze mieliśmy sympatię dla praktyki teoretycznej.

... że czekamy, aż armia Anonymousów roznieśnie w pył francuską firmę Early Flicker, która zarejestrowała logo i slogan hakerskiej grupy Anonymous jako znak handlowy.

... że w trosce o polskie tory zamykane są toalety w pociągach zbliżających się do stacji.

... że olimpijscy pływacy i pływaczki sikać do basenów. A gdzie mają sikać, jak ciągle pływają?

LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

O nepotyzmie: z publikacji medialnych wynika, że jedyną szczerą nazwą partii była Liga Polskich Rodzin.

MAREK RACZKOWSKI



ROMAN KURKIEWICZ

Świat jest z miasta



Większość mieszkańców planety Ziemia zamieszkuje, zaludnia, zapelnia miasta. Pierwszy raz w historii. Miasto stało się więc główną areną, rynkiem, potrzebą, podażą i popytem. Miasto przestało być przestrzenią do życia ludzi, tym bardziej przyjazną. Jest frontem robót, inwestycji, rozwoju, rozbudowy, przebudowy, przemodelowania. Jest kosmosem zysku. Jest modelem świata już nie w pigułce, ale w wielomilionowych skupiskach. Miasto stało się firmą i biznesem.

Czas więc, żeby miasto odebrać i odzyskać, uczynić je frontem walki z zawłaszczaniem kapitału, który miastem się żywi, pasie, bogaci. Czas przywrócić je tym, dla których powstało i którzy oraz które utrzymują je przy życiu, zbyt często milcząc na temat tego, jak się przepoczwarza. Mamy do miasta prawo. Chcemy mieć na nie wpływ. To mówią dziesiątki ruchów

miejskich na całym świecie, w Polsce też. Chcemy mieć ulice miejskie – nie bankowe, chcemy mieć place publiczne do siedzenia, wypoczynku i manifestacji, a nie do rabunkowej, biurowej zabudowy. Chcemy wiedzieć, na co, jak i ile miasto wydaje pieniądze. I chcemy o tym wspólnie decydować.

Rewolucja w XXI w. albo będzie miejska, albo żadna. Powiedzmy więc z mocą: miasto to nie firma, miasto to nie biznes. Miasto to nasz dom, nasza ziemia, nasze życie. A wszystko to więcej warte niż krociowe zyski, które miasto przynosi nielicznym kosztem pozostałych. Miasto to zbyt poważna przestrzeń i szansa, żeby oddać je deweloperom oraz urzędnikom, samochodom i biurokratom.

Miasta dla mieszkanki i mieszkańców! Miasta dla ludzi, a nie ludzie dla miasta! Rewolucję miejską uważamy za otwartą! •

MAREK RACZKOWSKI

PRZED WSZYSTKIM



- 8 **Jaki bunt? Jakich miast?** Rewolucja miejska ruszyła powoli, jak żółw ociężała, ale jest nie do zatrzymania, bo ma w sobie energię dziesiątków innych rewolt i buntów: ekologicznych, feministycznych, lokatorskich... Kiedy odzyskamy miasto, przywrócimy do życia świat.
- 13 **Ostolski o kreatywnej polityce**
- 14 **Wezwanie na barykady.** David Harvey w „Buncie miast” przepisuje historię kapitalizmu, przenosząc środek ciężkości z walk fabrycznych na walki uliczne – pisze **Bartłomiej Kozeł**
- 17 **Piątek o Holowni,** chociaż nie
- 18 **Szkoła marzeń o lepszych miastach.** O bezpłatnej szkole projektowania miast prowadzonej przez Rema Koolhaasa opowiada architekt i wykładowca **Kuba Snopek** w rozmowie z **Martą Karaś**
- 22 **Prawo do Krakowa.** Krakowscy Oburzeni kontynuują walkę o zmianę sytuacji pod Wawelem – relacjonuje **Piotr Malinowski**
- 23 **Ziomecki** liczy bezzwrotne butelki i zyski koncertów piwnych
- 24 **Pussy bat na Putina.** Krótka historia Pussy Riot, czyli opis rosyjskich zmagających z wolnością działań twórczych autorstwa **Anastasii Nabokiny** i **Ewy Majewskiej**
- 28 **Wolność wyhamowana.** Prezydent Putin zabrał się za dokręcanie śruby – ostrzegają **Adam Bodnar** i **Dominika Bychawska-Siniarska**
- 31 **Ekonomista zaangażowany.** Profesora **Tadeusza Kowalika** żegna **Przemysław Wielgosz**
- 32 **Dziadek z KPP.** O ulubionym straszaku prawicy – Komunistycznej Partii Polski – pisze **Przemysław Witkowski**
- 34 **Lewica z przyszłością.** Polemika **Julii Kubisy**
- 36 **In vitro: gra na czas.** Czy tysiące rodzin doczeka się uregulowania leczenia niepłodności, czy też padną ofiarą partyjnych gier? Z wicemarszałkinią Sejmu **Wandą Nowicką** i posłanką **Małgorzatą Kidawą-Błońską** rozmawia **Zuzanna Dąbrowska**
- 39 **Sipowicz** wyklada tuskodycę
- 40 **Podróż za jeden uśmiech i co tam jeszcze masz.** O turystyce społecznościowej piszą **Tomasz Sikora** i **Andrzej Woźniak**
- 43 **Biedny świat Polski nie obchodzi.** Przez lata korzystaliśmy z pomocy. Teraz czas wesprzeć bardziej potrzebujących. Na co więc czeka rząd? – pytają **Monika Matus** i **Magdalena Trojanek**

44 **O Czeccence, której się udało.** Reportaż **Anny Pietruszki-Dróżdż**

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 46 **GMO to nie samo zło.** Jeśli zaprzestaniemy praktyk nad wprowadzaniem odmian genetycznie zmodyfikowanych, to ucierpią głodujący mieszkańcy globalnego Południa. Na nas spoczywa odpowiedzialność za ich życie! – mówi prof. dr hab. **Jacek Hennig** w rozmowie z **Patrycją Dołowy**
- 50 **Gill-Piątek o polityce „Polityki”** w sprawie GMO
- 52 **Kto odciąża młodzież?** Dzisiaj na wakacyjnym telefon zaufania zadzwonią kolejne osoby, które padły ofiarą braku edukacji seksualnej w polskich szkołach – ostrzega **Alina Synakiewicz**
- 54 **Czy(m) Bóg każe bić dzieci?** I czy na pewno o tym mówi Biblia – zastanawia się **Anna Gola**

KONIEC Z KULTURĄ

- 56 **28 spojrzeń na Homiki.** O „Wielkim Atlasie Ciot Polskich” jego twórcy opowiadają **Jackowi Tomczukowi**
- 60 **Pedałów z nas nie rób!** O odmiennym PRL z **Krzysztofem Tomasikiem**, autorem książki „Gejere...”, rozmawia **Agnieszka Weseli**
- 62 **Metal zakazany.** Ostre granie w Bagdadzie, Bejrucie i Damaszku prezentuje **Marcelina Obrzydowska**
- 66 **Kwadraty, czosnek i koniec świata.** Fenomen Bauhausu analizuje **Jarosław Pietrzak**
- 69 **Filmowanie szczęką broni.** Jak palestyńska młodzież chwyciła za kamery opisuje **Julie Land**
- 70 **Sztuka kiedyś będzie zielona.** O „Zielonym Jazdownie” **Fabio Cavallucci** opowiada **Aleksander Bilewicz**
- 72 **Komiksowy bojkot sportu?** Na to pytanie odpowiada **Tomasz Marciniak**
- 75-79 **Witkowski** politycznie analizuje nowego „Batmana”, a **Surdykowski** przygląda się śmieciowemu światu „Sunset Park” **Austera**. **Drewniak** zaprasza do Poznania na „Ocalenie” **Podstawnego**, a **Sołtyś** poleca płytowy debiut **Hansarda**

ZAWSZE W PRZEKROJU

3, 4, 51, 80, 81, 82 **Raczkowski**; 51 **Też pytanie**; 80-82 **Rozmaitości z krzyżówką**

W siodle przez las

W państwowych lasach znajdziemy jedne z najpiękniejszych i najlepszych w Europie tras dla miłośników turystyki konnej

Polskie tradycje jeździeckie, piękna przyroda i nowoczesne rozwiązania – to wszystko złożyło się na uruchomiony w czerwcu Łódzki Szlak Konny, najdłuższy i najnowocześniejszy tego rodzaju wskali europejskiej. Stworzony przy udziale leśników szlak ma długość aż 2 tys. km i spełnia najbardziej wygórowane wymagania jeźdźców i koni. Szlak opiera nie tylko aglomerację łódzką, ale też całe województwo (mniejsza i większa pętla). Przyjemność z jazdy potęguje krajobraz, bo ścieżki dla koniarzy przecinają m.in. 7 parków krajobrazowych, a po drodze obejrzeć można ponad 1200 zabytków, takich jak kompleks pałacowo-parkowy w Nieborowie, park w Arkadii czy klasztor co. cystersów w Sulejowie-Podklasztorzu. – Jam, gdzie trasa przebiega przez tereny Lasów Państwowych, zadbałmy o bardzo dokładne jej oznakowanie, by turyści nie przeoczyli wartych zwiedzenia miejsc, ale także obiektów służących wypoczynkowi – mówi **Hanna Bednarek-Kolasińska**, rzecznik Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Łodzi. Na zmęczonych jeźdźców i ich konie czeka 21 swoistych leśnych stajni, wyposażonych m.in. w wiaty, koniowiazy, miejsca popasu i wodopoje. Trasa łączy też z sobą około 200 ośrodków jeździeckich, głównie prywatnych.

Leśną wprawę łatwo zaplanować, gdyż po drodze napotkamy około 1,5 tys. tablic i 30 specjalnych punktów informacyjnych, a szczegółowe mapy – stworzone dzięki mapom numerycznym leśników – można pobrać ze strony internetowej (www.wslodzie.lodzkie.pl) i wydrukować. Za pośrednictwem tego serwisu zarezerwujemy też np. noclegi. Pomysłodawcy zadbałi również o bezpieczeństwo turystów. Każdy jeździec może bezpłatnie wypocząć tzw. lektora. Urządzenie to nie tylko umożliwia odsłuchanie informacji o mijanych rezerwach czy zabytkach, ale też wystanie sygnału SOS do odpowiednich służb. Na wspomnianej stronie internetowej szlaku znajdziemy też aplikacje na smartfony i urządzenia GPS, które pozwolą w razie niebezpieczeństwa przekazać ratownikom naszą lokalizację.

Ten wyjątkowy projekt to efekt współpracy Lasów Państwowych, Urzędu Marszałkowskiego w Łodzi i Polskiej Organizacji Turystycznej. – Inwestycja kosztowała w sumie 33 mln zł, z czego 16 mln zł pochodziło z funduszy unijnych – informuje **Hanna Bednarek-Kolasińska**. Co ważne, Łódzki Szlak Konny jest przystosowany również do jazdy rowerem, pieszych wędrówek czy biegania.

To jednak nie jedyna atrakcja czekająca w lasach na amatorów wczasów w siodle. Na terenach zarządzanych przez Lasy Państwowe sieć tras konnych liczy w sumie ponad 7 tys. km (pamiętajmy, że w lesie wolno poruszać się konno tylko po przeznaczonych do tego właśnie celu drogach). Leśnicy stale rozbudowują infrastrukturę dla koniarzy. W tym roku powstała m.in. 10-kilometro-



Lasy Państwowe

zapraszamy



Wakacje w lesie

Przygotowaliśmy ponad 1500 obiektów turystycznych, m.in.: ośrodki wypoczynkowe, kwatery myśliwskie, pokoje gościnne, szlaki piesze, konne i rowerowe, ścieżki dydaktyczne, miejsca na biwaki i ogniska oraz leśne parkingi.

czaswlas.pl

www.lasy.gov.pl

wa Pętla Kobylańska, wytyczona przez Nadleśnictwo Kartuzi (Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych w Gdańsku) i miejscowy samorząd. To doskonały szlak dla doświadczonych jeźdźców, ze względu na znaczne wzniesienia. Na terenie Nadleśnictwa Choczewo (ta sama RDLP) znajdziemy kilka szlaków o łącznej długości 200 km, które istnieją i są stale modernizowane już od 8 lat. Biegają one nie tylko przez lasy, ale też plaże, wydmy, nad jeziorami, doliną rzeki. Z kolei w górach popularnością cieszy się choćby 250-kilometrowy Transbeskidzki Szlak Konny, który zaczyna się w Brennej w Beskidzie Śląskim, a kończy w Wołosat w Bieszczadach. Tu pojeździć można także na wypożyczonych koniach rasy

huculskiej, bardzo wytrzymałych i odpornych na surowy klimat. Jazda konna dobrze oddziałuje na naszą sprawność psychoruchową, modeluje sylwetkę, wzmacnia mięśnie nóg, korzystnie wpływa na układ oddechowy i krążenia. Nie bez powodu jej terapeutyczne właściwości od lat wykorzystywane są w leczeniu osób niepełnosprawnych czy z zaburzeniami emocjonalnymi (hipoterapia). Jeśli dodamy do tego korzyści płynące z przebywania w lesie, na łonie przyrody, to mamy przepis na pełne przeżyć, udane i zdrowe wakacje.

Monika Kruszevska

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, 22 463 30 300, www.przekroj.pl, e-mail: dorekacja@przekroj.pl lub imię, nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR GŁÓWNY: Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarnecka, Patrycja Dołowy, Julia Kubisa, Magda Papuzińska, Jacek Tomczuk, Klementyna Suchanow, Maria Świątek
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI: Kasper Skirgajło-Krajewski
PRACOWNIA GRAFICZNA: Andrzej Figatowski
FOTOREDAKCYJA: foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur
KOREKTA: Ling Brett
OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wójcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszotek
STRONA INTERNETOWA I IPAD: serwisypłatne@rp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel
WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa
PROMOCJA I MARKETING: Agnieszka Gajzler – Dyrektor Marketingu i Rozwoju, Michał Krześniak – Kierownik Marki (michal.krzesniak@presspublica.pl)
BIURO REKLAMY: Presspublica sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 463 30 300 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 463 30 300
DYREKTOR DZIAŁU AGENCYJNEGO: Filip Weichert – 22 463 01 88 reklamainfo@presspublica.pl; druk: RR Donnelley.

GREMI GRUPA

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł
 Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faxem: 22 621 22 61.
 Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195
PRENUMERATA KOLPORTERSKA oddział Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe
PRENUMERATA E-WYDAWCA www.gazety.pl
PRENUMERATA ZAGRANICZNA Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł.
 Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróto-



Okladka: Jagoda Turka



SYRIA KRWAWI

Na zdjęciu dzieci ranne podczas starć w mieście Al Houla. Petycję do Rady Bezpieczeństwa ONZ można podpisać na www.avaaz.org/pl/syria_will_the_world_look_away



70 LAT PO ZAGŁADZIE OTWOCKIEGO GETTA

19 sierpnia 1942 r. umarł żydowski Otwóck. Od godz. 7 Niemcy wypędzali ludzi z domów i gnali na plac w pobliżu dworca kolejowego. Do wieczora wywieźli 7–10 tys. Żydów, zamordowali ok. 3 tys. Mieszkańki oraz mieszkańcy Otwocka i okolicy jak co roku wspominać będą ten dzień w Marszu Modlitwy i Pamięci, który rozpocznie się w niedzielę o godz. 19 przy bocznicy kolejowej od strony ul. Górnej. Obchody rocznicy zagłady getta otwockiego będą jednak w tym roku trwały cztery dni. Na piątek (17.08) na godz. 20 zaplanowano nocny spacer śladami otwockich Żydów prowadzony przez Sebastiana Rakowskiego, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Otwocka. W sobotę (18.08) o godz. 19 w MDK w Otwocku (ul. Poniatowskiego 10) odbędzie się wernisaz wystawy Menachema Kipnisa „Yidishland. Fotografie z lat 1930–1939” oraz koncert zespołu Sholem. Niedzielną wieczór po marszu wypełni prezentacja fotografii z kirkutów w Karczewie i Anielinie oraz nowości wydawniczych, m.in. specjalnych zeszytów samorządowej „Gazety Otwockiej”: „Otwóccy Sprawiedliwi wśród Narodów Świata”, „Losy otwockich Żydów” (klub Smok, ul. Warszawska 11/13). W poniedziałek zaś (20.08) dawni i obecni otwócczanie pojadą do Treblinki, aby oddać hołd swoim wymordowanym przed 70 laty sąsiadom.

Wydarzenia przygotował Społeczny Komitet Pamięci Żydów Otwockich i Karczewskich.

IZRAEL BEZ FUTRA

Izrael może być pierwszym państwem na świecie, które zakazuje handlu skórą zwierząt. Na razie w tym kraju obowiązuje całkowity zakaz hodowli zwierząt na futra. Od końca lipca w Knesecie trwa debata nad ustawą, która dopuszcza sprzedaż futer jedynie w celach naukowych i dla wyrażania tożsamości kulturowej (futrane czapki noszone przez mniejszość chasydzką). To istotne uzupełnienie dotychczasowego stanu prawnego. Wiele innych państw zakazuje wprawdzie zabijania zwierząt (zwykle tylko niektórych gatunków) na futra, ale nie ogranicza handlu nimi, co powoduje, że proceder przenosi się do Chin, gdzie nie ma żadnych prozwiązków uregulowań prawnych.

Z ankiety przeprowadzonej na zlecenie International Anti-Fur Coalition i Let the Animals Live wynika, że ok. 80 proc. badanych Izraelczyków popiera wprowadzenie zakazu. www.antyfutra.pl



AFP/EAST NEWS

INFOAKTYWIŚCI: „ZAMIEŃC DANE W AKCJĘ”

Nikt się nie spodziewał, że zamieszki, które na początku sierpnia zeszłego roku ogarnęły największe miasta Wielkiej Brytanii, są w ogóle możliwe. Ich skala oraz gwałtowność przekroczyły najsmielsze wyobrażenia na temat tego, jak w Europie mogą wyglądać dziś protesty społeczne. Jedną z ważnych ról w tym spektaklu miał odegrać Twitter, za pomocą którego uczestnicy zamieszek mieli się rzekomo organizować. Szef londyńskiej policji Tim Godwin oświadczył, że jego zdaniem serwis powinien zostać zamknięty. Premier również sugerował ograniczenie dostępu do tego typu usług, gdy służyły one uczestnikom zamieszek.

Pomijając oczywiście fałszywą krytykę związaną z próbą ograniczenia wolności słowa, w dyskusji wokół roli mediów społecznych pojawił się jeszcze jeden głos – dziennika „The Guardian”. W ramach projektu „Reading the Riot” (Czytając zamieszki), który gazeta prowadziła razem z London School



of Economics, zbzdano ponad 2,5 mln tweetów (wiadomości publikowanych w serwisie Twitter), które miały jakikolwiek związek z sierpniowym kryzysem. Wyniki badań były zaskakujące. Okazało się, że najczęściej cytowanym użytkownikiem serwisu był profil o nazwie RiotsCleanup (Sprzątanie po zamieszkach), którego wiadomości ponownie publikowano ponad 40 tys. razy. Dla porównania: wiadomości z profilu London_Riots (Londyńskie zamieszki) cytowane były zaledwie 200 razy. Okazuje się zatem, że ludzie rzeczywiście korzystali z Twittera, by się organizować, ale nie do palenia miast, lecz do ich sprzątania. Dodatkowo serwis stał się również wysłannikiem kanałem przekazywania informacji na temat zagrożenia w różnych dzielni-

cach – wiadomości takie wrzucały błyskawicznie osoby, które były na miejscu.

„The Guardian” opublikował serię artykułów wraz z kompletem danych zebranych w trakcie badania oraz przygotował sugestywną wizualizację, która nie pozostawiała wątpliwości, że władze Wielkiej Brytanii rozpoczynają dyskusję w oparciu o własne wyobrażenia na temat świata, którego fundamentalnie nie rozumieją. Dodajmy, dyskusję na temat potencjalnego ograniczenia wolności słowa. „Guardian”, oddając głos samym danym, uciną tę rozmowę. Na podstawie danych stara się odtworzyć przebieg wydarzeń, zrozumieć społeczną dynamikę brytyjskich zamieszek i w końcu „Zamieńc dane w akcję” (tak brzmi tytuł filmu kolektywu Tactical Tech), wyjmując Davidowi Cameronowi jakiegokolwiek argumenty z dłoni.

W świecie, w którym Internet staje się podstawowym środkiem wymiany wiedzy, dane generowane są w zastraszającym tempie i ten, kto potrafi wy-

dobyc z nich historie, może wpływać na zmianę życia społecznego. Londyńskie zamieszki to tylko jeden z przykładów. Obojętnie, czy będzie to pokazanie, jak bardzo uprzedzenia kierują policją w nieprowadzących donikąd rewizjach osobistych na terenie Nowego Jorku, czy zobrażowanie na mapie aktów korupcji w Maroku, dane – dostępne w Internecie lub dopiero tam zbierane – stają się dziś wielkim sprzymierzeńcem nowego typu aktywistów zwanych infoaktywistami.

Zaciekawionych infoaktywizmem zapraszamy na warsztaty bezpłatnej Letniej Szkoły Infografiki we wrześniu 2012 r. (nabór trwa do 15 sierpnia). Więcej na stronie www.centrumcyfrowe.pl/projekty/szkola-infografiki/.

MAŁGORZATA GAŚSIOROWSKA

CHUNG HONG – PŁATNE WOLNE ZA STRAJK

24 osoby wrzucone dyscyplinarnie z chińsko-tajwańsko-kajmańskiej fabryki Chung Hong w Specjalnej Strefie Ekonomicznej w Biskupicach Podgórnym pod Wrocławiem domagają się sprawiedliwości w sądzie pracy. Przypomnijmy, że po niemal dwóch tygodniach strajku 10 lipca kierownictwo fabryki dokonało nielegalnego lokautu, zwalniając legalnie strajkujących pracowników. Zwolnień nie otrzymali jedynie przewodnicząca komisji zakładowej, skarbnik i członkowie komisji rewizyjnej. Te cztery osoby kilka dni później spotkały się z kolejną szykaną – zostały „zwolnione z obowiązku świadczenia pracy z prawem do wynagrodzenia”. – Nie mogą nas wyrzucić, to chociaż chcą nam umożliwić kontakty z resztą załogi. Mamy płatne wolne do czasu zakończenia sporu zbiorowego – mówi Jolanta Rynda, przewodnicząca komisji zakładowej. Nie wiadomo, kiedy nastąpi owo zakończenie, skoro jedna strona sporu została usunięta z zakładu.

Jolanta Rynda i pozostali funkcyjni członkowie komisji zakładowej otrzymali wezwania na policję w charakterze świadków w sprawie nielegalnego strajku w fabryce Chung Hong. – Pracodawca zgłosił tę sprawę do prokuratury, a ta zajęła się nią niezwłocznie – mówi Krzysztof Gazda, wiceprzewodniczący komisji zakładowej, który został już przesłuchany. Gazda i kilkoro innych związkowców wrócili właśnie z Berlina, gdzie przedstawiciele OZZ Inicjatywa Pracownicza przebywali na zaproszenie FAU, niemieckiego Wolnego Związku Pracownic i Pracowników. Inicjatywa Pracownicza apeluje o wpłaty na fundusz strajkowy wspierający zwolnionych, wśród których są dwie samotne matki.

MAP

OGÓLNOPOLSKI ZWIĄZEK ZAWODOWY
INICJATYWA PRACOWNICZA
UL. KOŚCIELNA 4, 60-538 POZNAŃ
NR KONTA: 88 2130 0004 2001 0577 6570 0001
W TYTULE: „FUNDUSZ STRAJKOWY
CHUNG HONG”

REKLAMA

Więcej z życia!



Darmowa, inteligentna i interaktywna książka o Twoim życiu!

Podaj kod:
Przekrój

na stronie www.ZQEEZ.com

Dotyczy ZqeezBook'a „Poznaj swoją misję”
Kod ważny jest do 20.09.2012



UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Jaki bunt? Jakich miast?

Rewolucja miejska ruszyła powoli, ale jest nie do zatrzymania, bo ma w sobie energię dziesiątków innych buntów: ekologicznych, feministycznych, lokatorskich...
Kiedy odzyskamy miasto, przywrócimy do życia świat



Sojusz przeciw nadużyciom nowojorskiej policji – muzulmanie wspierani przez ruch Occupy Wall Street modlą się na Foley Square, 18 listopada 2011

Bogna Świątkowska: W Polsce nie widać, żeby mieszkańcy miast buntowali się na dużą skalę. Oczywiście są zarzewia potencjalnego buntu w środowiskach, które wyrażają niezadowolone ze sposobu, w jaki miasta są zorganizowane, ale nie ma masowych zjawisk na skalę Hiszpanii czy Grecji. Wobec czego czy tego buntu w Polsce miałyby zaistnieć?

Joanna Kusiak: Moim zdaniem słowo „bunt” w tym znaczeniu, jakie proponuje David Harvey w swojej książce „Bunt miast...”, trzeba rozumieć nie tylko negatywnie. Bunt to nie jest tylko wyjście na ulicę, skandowanie hasła, gwałtowny, masowy sprzeciw. Bunt, i Harvey pisze o tym, może przyjąć też formę takiej termitowej walki czy podkopywania systemu.

W Polsce najpierw przez długi czas nic się nie działo, a teraz mamy do czynienia z formą mieszaną – jest coraz więcej termitowej pracy, głównie ruchów miejskich, a i tych gwałtownych poruszeń i wychodzenia na ulicę też się zrobiło trochę więcej. Mieliśmy protesty w sprawie ACTA czy „Solidarnych 2010”, którzy także są jakimś rodzajem poruszenia miejskiego. Mamy te dwie formy i to wcale nie jest źle, że nie jesteśmy Hiszpanią. Żeby wydarzyć coś dużego, potrzeba bardzo dużo pracy włożonej w przygotowywanie.

B.Ś.: Hiszpanie i Grecy buntują się z powodu fatalnej sytuacji ekonomicznej. A jakie powody do buntu widzicie w Polsce? Czemu ruchy miejskie w polskich miastach mogą zawdzięczać swoje ożywienie?

Krzysztof Nawrotek: Fascynacja Hiszpanią i Grecją wydaje mi się zupełnie absurdalna, ponieważ niewiele wynika z tego wielkiego buntu. Ponadto tak naprawdę nie był to bunt miejski, tylko w mieście. Większość działań politycznych wydarza się w mieście, bo tam po prostu jest więcej ludzi.

Bunt w Hiszpanii nie przerodził się w zasadzie w nic, wybory wygrała tam partia prawicowa i coraz bardziej przykręca śrubę. W Grecji wygląda to trochę inaczej, z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że powstała Syriza, czyli w gruncie rzeczy partia polityczna. A po drugie, i to jest bardzo ciekawe, to są kooperatywy, to znaczy takie działania, które starają się ominąć niewydolny system państwowy. Także w Polsce takie inicjatywy powoli kiełkują. W przypadku ruchów miejskich podstawowe pytanie dotyczy pojęcia „wspólnota”. Gdy źródłem buntu jest jedynie resentyment i wszystko polega na tym, że ludzie po prostu się wkurza-

ją, to mamy taką Hiszpanię, setki tysięcy ludzi na ulicach. Natomiast, gdy ludzie zaczynają mieć świadomość, że są wspólnotą – a to zaczyna się od bardzo małych dzielnic – wtedy zaczyna się budować coś ciekawszego. To poczucie wspólnoty jest fundamentalne. I to, że w Polsce te ruchy są nadal słabe, że buntu nie ma, wynika przede wszystkim z tego, że moim zdaniem Polacy wciąż wierzą w neoliberalną czy liberalną utopię: sam sobie będę sterem, okrętem, żeglarzem i sam sobie poradzę.

J.K.: Z tego, co mogłam obserwować, będąc w Grecji, wynika, że te kooperatywy i wyłączanie się z systemu dokonuje się głównie na Wypach, a nie w miastach, bo naturalnie na Wypach dużo łatwiej jest się wyłączyć. To wyłączanie się z systemu tak naprawdę nie jest miejskie.

Miasto to nie jest tylko pytanie o pojęcie wspólnoty, ale też o to, gdzie umieścić walkę klas. Wzrost kapitalistyczny nie dokonuje się już wyłącznie w miejscu pracy. Nie ma już jasnego podziału na fabrykantów i robotników. Potrzeba nowej platformy, na której połączą się różne grupy społeczne. Przestrzeń miejska nadaje się do tego z dwóch powodów. Po pierwsze, to miasta organizują nasze życie i tu mają miejsce różne formy kapitalistycznego wyzysku. A po drugie, z czego jeszcze w Polsce mało zdajemy sobie sprawę, ludzie w mieście mają władzę nad reprodukcją systemu, poprzez bardzo proste mechanizmy takie jak strajk. Kiedy wszyscy pracownicy metra czy wszyscy pracownicy wodociągów nie pójść do pracy, to można naprawdę zaburzyć funkcjonowanie systemu kapitalistycznego. To jest władza w rękach ludzi, którym wydaje się często, że zupełnie jej nie mają. A zamykając to porównanie Polski, Grecji i Hiszpanii, powiem, że polskie ruchy miejskie są najbardziej miejskie. Właśnie przez to, że działają na poziomie szczegółu, czegoś, co wydaje się na początku zupełnie nierewolucyjne, a nawet nieistotne: czy budynek zostanie zbudowany tu lub tam albo jaki będzie podatek, jaka struktura własności, albo jakieś sprawy z poziomu rady osiedla. Dlatego – po udziale w Occupy Wall Street i po rozmowach, jakie w ubiegłym roku prowadziłam w Stanach, mam wrażenie, że polskie ruchy są dużo bardziej miejskie niż choćby amerykańskie.

B.Ś.: A jak to, o czym mówi Joanna, wygląda z punktu widzenia praktyka? Weźmy na przykład Gdańsk-Wrzeszcz...



Joanna Kusiak
socjolożka miasta
i warszawska
aktywistka miejska



Bogna Świątkowska
założycielka Fundacji Nowej
Kultury Bęc Zmiana, redaktorka
naczelnia czasopisma „Notes
na 6 tygodni” (www.funbec.eu).



Dr Krzysztof Nawrotek
urbanista, teoretyk miasta,
dyrektor studiów magisterskich
w School of Architecture,
Design and Environment
w Plymouth University



Lidia Makowska
kulturolożka, radna gdańskiej
dzielnicz Wrzeszcz Górny



Łukasz Dąbrowiecki
aktywista krakowskiej
inicjatywy Prawo
do Miasta



Piotr Juskowiak
redaktor poznańskiego
czasopisma naukowego
„Praktyka teoretyczna”

Lidia Makowska: Od czterech lat działam w takim ruchu miejskim we Wrzeszczu, który jest konglomeratem różnych inicjatyw. Ja jestem na przykład feministką, działałam w ruchach ekologicznych, na rzecz wolności sztuki, a teraz także miejskich. To jest pewnego rodzaju sieć. I nie uważam, że nasze bunty są mało widoczne. Są widoczne nie w kontekście buntu na ulicy, czyli demonstracji typu anty-ACTA, ale w tej termitowej pracy u podstaw. Po 22 latach naszej kulejącej demokracji łączymy teraz siły. Jesteśmy w momencie rewolucji. Ale nie rewolucji à la „Solidarność”, tylko takiej, która łączy nasze poszczególne energie. Związujemy sieci i buntujemy się przeciw hierarchiczności, przeciw systemowi, z którym się nie zgadzamy. I od razu proponujemy zmianę nie tylko w ruchach miejskich, nie tylko w polityce równościowej, nie tylko w polityce ekologicznej – wszystko zaczyna



→ się ze sobą wiązać. I dlatego nasze ruchy w Polsce są tak niebezpieczne dla obecnych decydentów, bo oni rzeczywiście się pogubili. Jestem zwolenniczką pracy u podstaw, dlatego myślę, że bardzo skutecznym praktycznym działaniem są lokalne wspólnoty. Zaczynamy je tworzyć poprzez rozmaite rady osiedli, dzielnic, które jeszcze nie mają politycznej siły, bo to dopiero początek procesu. Ale za 10 lat będziemy potrafili stworzyć lokalną demokrację. Potrzebujemy oczywiście narzędzi do tego. I bardzo mocno wierzymy, że konkretną zmianą w Polsce może być budżet obywatelski. Jak w Brazylii, bo tam też, zauważmy, nastąpiła rewolucja, bunt miast i to nie był model „Solidarności”, ale praca organiczna.

B.Ś.: Budżet partycypacyjny, pomimo deklaracji władz różnych miast, w tej chwili jest rzeczywistością tylko w Sopocie i Gdańsku.

L.M.: W Gdańsku mamy nadzieję, że po kolejnych wyborach samorządowych, które odbędą się w 2014 r., nasi radni wprowadzą budżet obywatelski w swoich programach. I co więcej, w Gdańsku teraz zaczynamy projekt dofinansowany ze środków Fundacji Batorego, który nazywa się „Gdańsk 2015 – budżet obywatelski”. Nie prosimy, nie zadajemy pytań, tylko już wdramy. A teraz przez dwa lata testujemy różne instrumenty i przekonujemy radnych, mieszkańców i mieszkańców, żeby chcieli potem na niego zagłosować.

B.Ś.: A czy Occupy Kraków dokonało jakiejś realnej zmiany? A może to tylko zaburzenie, które nie przekłada się na zmianę?

Łukasz Dąbrowiecki: W Krakowie od lat tliły się różne zarzewia konfliktów. Wydarzenia na Rynku były momentem przełomowym dla grup reprezentujących rozmaite środowiska. Pojawili się działaczkę i działacze lokatorscy, nowi mieszczaństwo, anarchiści, skłotersi, rodzice i nauczyciele, którzy zbuntowali się przeciwko prywatyzacji stołówek czy zamykaniu szkół. Te środowiska wcześniej miały bardzo różne interesy, ale połączyły swoje siły i doprowadziły do wydarzeń o dużej sile i oddźwięku. To była wspólnota protestu, ale późniejsze doświadczenia pokazały, że można ją przełożyć na pracę u podstaw.

B.Ś.: Ale jakie efekty tego gestu, który wykonaliście wiosną, są widoczne w sposobie organizacji życia w Krakowie?

Ł.D.: Przepływ informacji pomiędzy grupami, które zaangażowały się w protest, jest znacznie lepszy, łatwiej jest się mobilizować, bo jedne grupy zaczęły postrzegać cele innych jako własne.

B.Ś.: To mogliśmy też obserwować w Warszawie przy okazji protestów przeciw likwidacji skłotu Elba. Na przykład ruch lokatorski walczył o zaprzestanie eksmisji, stworzenie większej liczby lokali miejskich dla osób, które tracą mieszkania. I te kwestie przy okazji Elby zaczęły być dyskutowane w szerszym gronie. Jaki wpływ mają kwestie dotyczące procesów architektoniczno-urbanistyczno-ekonomicznych na podsyćanie ruchów miejskich?

„Powinniśmy czytać i analizować Harveya czy Marksa w kontekście miejskim, ale w praktyce trzeba przyjąć inną strategię

LIIDIA MAKOWSKA

K.N.: Już nawet wśród urbanistów panuje ostatnio zgoda, że we współczesnych polskich miastach najsilniejszym graczem są deweloperzy i że miasta rozwijają się nie z woli ludu, tylko tak, jak deweloperzy potrafią manipulować, jak radzą sobie z władzami miejskimi. Miasto jest taką księżniczką, która leży i czeka, aż książę deweloper czy inwestor przyjdzie i zrobi coś dobrego.

Tu bym nawiązał wprost do tezy Harveya, którą na użytek tej rozmowy sprymitywizuję, za co przepraszam. Odczytuję jego książkę jako próbę zastosowania do miasta klasycznej marksistowskiej terminologii i myślenia. Dzisiaj zamiast fabryki mamy miasto, a w miejsce proletariatu mieszkańców. Moim zdaniem Harvey się tu absolutnie myli. Miasto jest czymś zupełnie innym niż fabryka. I przykładanie prostych marksistowskich narzędzi do niego po prostu nie działa, co w tej książce widać.

Piotr Juskowiak: Harvey nie dokonuje prostego przekładu kategorii marksistowskich na badanie miasta, a raczej od przeszło 40 lat stara się je twórczo adaptować do opisywania tego fenomenu.

Jeśli w „Buncie miast” pojawiają się takie pojęcia jak „klasa”, „praca”, „walka klasowa”, „teren walk”, „proletariat”, to trzeba pamiętać, iż autor dokonuje ich wnikliwej redefinicji. Wszystkie te terminy są przykrojone do badań współczesnych miast. Nieprzypadkowo metodologia jego badań nosi miano materializmu historyczno-geograficznego. Harvey z pewnością nie widzi proletariatu w takiej formie, w jakiej dane było go widywać Marksiowi w XIX w., a raczej próbuje go poprowadzić w stronę tego, co nazywamy dzisiaj prekarium. Łączy się on w walce antykapitalistycznej z wielością ludzi pozbawionych owoców własnej produkcji na zasadzie akumulacji przez wywłaszczenie.

Zatrzymałbym się na kwestii sojuszu, aliażu czy też miejskich asymbلاży. W książce jest mowa o ruchach miejskich we właściwym tego słowa znaczeniu, a w Polsce mamy wciąż do czynienia jedynie z ruchami mieszczańskimi. Te ostatnie składają się z przedstawicieli klasy średniej, którym bardzo ciężko wychodzi łączenie się w protesty z przedstawicielami klas nieuprzywilejowanych. Nie dochodzi tutaj do sojuszu klasowego, na którym zalegałoby Harveyowi, a także ruchowi 99 procent czy Oburzonych w Hiszpanii.

Joanna Kusiak zauważyła słusznie, że mamy dziś do czynienia z dwoma głównymi formami buntu, o których pisze zresztą sam autor „Buntu miast”: oddolnym buntem, terminem, czyli horyzontalną pracą u podstaw i z drugiej strony ze spektakularnym i krótkotrwałym miejskim działaniem protestacyjnym. W Polsce na razie nie widać między nimi punktów wspólnych, czegoś, co mogłoby je na dobre połączyć.

Zniknięcie kwestii klasowej z polskiego dyskursu naukowego, publicystycznego czy publicznego jest ściśle powiązane z całkowitym odejściem od pojęć właściwych tradycji marksowskiej i marksistowskiej, z oczywiście zresztą powodów, po 1989 r. Paradoksem jest na tym, iż najlepsze prace na temat polskiej transformacji, z wyłączeniem prac Tadeusza Kowalika, zmarłego przed kilkoma dniami, któremu warto w tym miejscu oddać hołd (pożegnanie prof. Kowalika publikujemy na s. 31 – przyp. red.), napisane zostały przez obcokrajowców – Elizabeth Dunn, David Osta czy Jane Hardy – i to oni muszą nam przypominać o wartości takich marksistowskich



skich pojęć jak „klasa” czy „konflikt klasowy”. Bez tych kategorii jesteśmy bezradni, ich brak utrudnia bowiem realizację marzenia wszystkich bez mała miejskich marksistów – urzeczywistnienia imperatywu równości i zniesienia kapitalistycznych stosunków klasowych.

B.Ś.: Pojawiają się rzeczywiście głosy odrzucające książkę Harveya nie z powodu treści, ale języka, jakim się on posługuje.

J.K.: Ostatni rok spędziłam w Stanach Zjednoczonych i było dla mnie ogromnym zaskoczeniem, że czołowe postaci lewicowej krytyki miejskiej na co dzień zajmujące się myślą marksistowską nie dokonały właściwie żadnego wysiłku intelektualnego przeanalizowania tego, co się stało w naszej części świata po 1989 r. A wydaje mi się, że teraz jest dobry moment, żeby już spokojnie, bez tych emocji sprzed 20 lat, na świeżo przeanalizować, co się właściwie stało, co wyszło, co nie wyszło i dlaczego. W tym sensie my moglibyśmy czytać Harveya mądrzej, niż jest on czytany na Zachodzie właśnie z powodu naszych doświadczeń z tym okresem transformacji.

L.M.: Narracja ruchów miejskich nie została jeszcze przepracowana. Każda z grup działa

jących w Gdańsku, Sopocie, Poznaniu, Warszawie czy w Krakowie, każdy z nas posługuje się swoim językiem. Ale pytanie, co jest naszym celem? Czy dążenie do wspólnego marksistowskiego języka, czy raczej usprawnienie i uspołecznienie miasta? W moim przekonaniu ten drugi cel jest ważniejszy. Dlatego wydaje mi się, że na poziomie teoretycznym jak najbardziej powinniśmy czytać i analizować Harveya i np. Marksa w kontekście miejskim, natomiast w praktyce trzeba przyjąć inną strategię. O tyle nie zgodzę się z Piotrem Juskowiakiem, że jeżeli w działaniu miejskim, np. na rzecz ruchów lokatorskich, używamy takich sformułowań jak „walka klasowa” czy „proletariat”, to gwarantuję, że na manifestację niezgody wobec podwyżki czynszów przyjdzie 50 uświadomionych osób. Natomiast jeżeli używamy takiego sformułowania jak „sprawiedliwość społeczna”, która jest wartością uniwersalną, wtedy przychodzi 500 osób. Powinniśmy bardzo ostrożnie się słuchać i bardzo ostrożnie formułować radykalne teorie na ulicy i w przestrzeniach, gdzie spotykają się mieszkańcy i mieszkanki, czyli potencjalni nosiciele i nosicielki zmiany społecznej. Nasz radykalizm powinniśmy manifestować w sposób bardzo przemyślany, żeby ich nie odstraszać.

W Polsce wspólnoty, o których mówił Krzysztof Nawratek, funkcjonują jako organizacje pozarządowe. Jednak nie wpływają one na jakość demokracji, bo wypełniają w mieście pewne funkcje samorządowe, przejmując usługi w obszarze edukacji, ochrony zdrowia czy bezpieczeństwa. Z założenia są więc apolityczne i antypolityczne. Praca edukacyjna nad wprowadzaniem świadomości, że polityka miejska to jest polityka, a edukacja to jest polityka edukacyjna i kultura to jest polityka kulturalna, jest bardzo ważna. Przywrócenie prawdziwej polityczności, doprowadzenie do tego, żeby te wspólnoty, które się organizują wokół jednego partykularnego problemu, zaczęły ze sobą współpracować, jest zasadniczą sprawą.

P.J.: Zgadza się, że kluczowym problemem jest wypracowanie wspólnego języka. Problemy polskich działań w mieście są wypadkową jego braku, bo nie przemyśleliśmy kłopotliwych terminów, takich jak „proletariat”. Nie będę się jednak przy nim upierał, bo rzeczywiście w polskim kontekście jest bardzo mocno obciążony. Możemy sięgnąć po pojęcia takie jak „wielość”, „dobro wspólne”, „prekariat”, „praca niematerialna”, „akumulacja”. Do wielu z nich odwołuje się Harvey i po- →

Marsz przeciw polityce oszczędnościowej i europejskim bankom, Frankfurt, 19 maja 2012 r.

→ kazuje, iż mogą one mieć charakter jednoczący mieszkańców miasta. Ważne jest też, żeby pamiętać, przeciw czemu mimo wszystko musimy się połączyć. To oczywiście kapitalizm w wersji neoliberalnej. I też jest ważne, abyśmy zaznajamiali się z tym, jak ta nowa forma kapitalizmu działa i w jaki sposób przenika do naszej codzienności, wywłaszcza dobra wspólne, które razem w ramach produkcji niematerialnej jako mieszkańcy miast codziennie wypracowujemy.

B.Ś.: Ale mówiąc „my”, kogo masz na myśli? Czy łatwo się dziś mówi „my”?

P.J.: Mam na myśli może nie do końca 99 proc., osławione hasło ruchu Occupy Wall Street przechwycone potem pod większością szerokości geograficznych. Chodzi mi o tych, o których mówi Harvey, o prekariat i wywłaszczanych, a pod tymi kategoriami mieści się kolosalny odsetek osób, które przez ten kapitał są wyzyskiwane. Dobrze jest przywołać hasło pojawiające się na protestach w Hiszpanii, Grecji i innych miejscach. Jeżeli ktoś nam mówi, że doszedł do milionów dolarów, euro czy innej waluty ciężką pracą, należy zapytać czyją.

B.Ś.: Książka Harveya może rozczarować tych, którzy oprócz diagnozy spodziewają się wskazówek, jaką drogą podążać, bo Harvey nie pisze nic o tym, gdzie jest wyjście z sytuacji, w jakiej miasta dziś się znalazły. Jak w takim razie sobie z tym faktem poradzić?

Ł.D.: Harvey często wyważa otwarte drzwi, na przykład wdaje się w dyskusję z pozycją anarchistyczną. Ludzie, którzy uczestniczą w ruchach miejskich, mają świadomość, że pewna wspólnota – niezależnie, czy miejska, czy państwowa – musi wynikać z pewnych praw. Ale kwestia, na ile to państwo jest narzuconą strukturą, a na ile takim, powiedzmy, gigantycznym mediatorem poszczególnych grup, pozostaje otwarta. Państwo trzeba uspołecznić. I wydaje mi się, że Harvey idzie w tym kierunku, to znaczy, że miasto i państwo musimy odzyskać, ale odzyskać, właśnie uspołeczniając je.

L.M.: David Harvey nie dał gotowych rozwią-

zań i zrobił to celowo, bo trudno, żeby facet ze Szkocji dawał nam rozwiązania w Polsce, byłby to ohydny kolonializm... Ale książka jest ogromnie inspirująca, porządkuje sposób, w jaki można rozmawiać o mieście, o ruchach miejskich i formułować prawo do miasta. Natomiast co my z tą teorią zrobimy, zależy od nas.

K.N.: Wydaje mi się, że samozarządzanie to klucz do dyskusji o mieście. Dyskutujemy o buncie, o strajku miejskim, strajku metropolitalnym, o zaburzaniu funkcjonowania systemu. Super, da się to zrobić. Ale co z tego dalej wynika? Moim zdaniem bardzo niewiele. Fundamentalny problem to jest odbudowanie podmiotowości miasta, ponieważ uspołecz-

przednich, no i próbuje pogodzić się z czasem i dać nam jakieś dodatkowe narzędzie do analizy tego, co dzieje się aktualnie. Odbudowa podmiotowości, tu nie zgodzę się z Krzysztofem Nawratkiem, walka o prawo do miasta jako idea, są punktami wyjścia tylko i z całą pewnością nie są wystarczające. Jeżeli mamy z nich zrobić jakiś użytek, musimy wymyślić, co będzie po demokracji tego prawa do miasta, co będzie po przeprowadzeniu ewentualnej walki klasowej. Rzeczywiście, największym problemem w tym momencie jest znalezienie alternatywy. Myślę, że jego wizja miasta socjalistycznego, wizja tego, co może się zrodzić w wyniku przejęcia prawa do miasta przynależnego miastu, przeciwieństwo jako prawo człowieka, jest niezwykle obiecująca, ambitna i na pewno domaga się konkretnych odpowiedzi.

J.K.: Ale najbardziej rewolucyjną cechą jest paradoksalnie cierpliwość. Większość ruchów miejskich, jeśli na czymś polega to z powodu braku cierpliwości. W tym sensie pozytywną cechą naszych ruchów miejskich

„Łatwo wpaść w pułapkę wyobrażenia, że wyjdziemy na ulice i natychmiast nastąpi zmiana – a tymczasem ona musi być ciągle wypracowywana, czasem nudną pracą” JOANNA KUSIAK

jest ich nastawienie na tę termitową pracę u podstaw. Bardzo łatwo wpaść w pułapkę wyobrażenia, że wyjdziemy na ulice, będziemy coś okupować i natychmiast nastąpi zmiana. Tak naprawdę zmiana musi być ciągle wypracowywana, także w bardzo nudnej pracy. Może to trzeba powiedzieć wprost, że prawdziwa miejska rewolucja jest prawdopodobnie bardzo nudna. Ma swoje ekscytujące momenty, ale to są też godziny spotkań, zmudnego szukania aliansów, potem wspierania się wzajemnie, mach tych aliansów, które nie są wcale łatwe, bo proces negocjacji najczęściej obejmuje bardzo dużo wewnętrznych konfliktów. Dlatego ten bunt miast paradoksalnie powinien być zmudny.

B.Ś.: Różne środowiska odgrażały się, że po Euro 2012 przyjdzie czas rozliczenia sprawczych tego, jak właściwie miasta wyszły z organizacji mistrzostw piłkarskich w Polsce. Zobaczymy więc, co przyniesie jesień.

P.J.: To rzeczywiście nie jest książka życia Harveya, raczej praca pisana w okresie bardzo burzliwym w historii miast zachodnich. Zbiera wiele ciekawych analiz autora z lat po-



Kreatywne państwo na peryferiach



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu jest socjologiem
www.twitter.com/AdamOstolski

Wizyta republikańskiego kandydata na prezydenta USA Mitta Romneya nie przejdzie zapewne do historii. Za kilka miesięcy mało kto będzie pewnie o niej pamiętał. Podobnie jak z wizyt w Izraelu i Wielkiej Brytanii zostaną z niej zapamiętane co najwyżej gafy. A jednak to drobne wydarzenie powiedziało nam parę rzeczy o Polsce. Nie tylko o polskiej elicie politycznej, ale także o tym, jak ta elita wyobraża sobie miejsce naszego państwa w świecie.

Clou programu było spotkanie Romneya z Lechem Wałęsą. W przeciwieństwie do prezydenta i premiera Wałęsa nie musiał się z kandydatem spotykać. Ale zrobił to, wykazując się na dodatek extraordinarynym entuzjazmem. Nie tylko ogłosił, że uważa, iż Romney jest lepszy od Obamy. Na dodatek oświadczył, że „bija od niego wartości”. To mnie zaskoczyło. Zawsze sądziłem, że te wartości, co biją, są od Gowina (bija i będą były – dodajmy – dopóki Polska nie ratyfikuje konwencji o zapobieganiu przemocy wobec kobiet). Aż pobiegłem sprawdzić. I co widzę? Jeśli Romney, uchwaj Boże, wygrałby jesienne wybory i cofnął reformę ochrony zdrowia, kobiety straciłyby uzyskane dzięki Obamacare nowe możliwości ochrony przed przemocą domową. No no, Wałęsa naprawdę dobrze przygotował się do spotkania.

Aż szkoda, że zachodnia prasa skupiła się na podkreśleniu faktu, iż „Solidarność” odciełała się od tej wizyty, zamiast napisać o tych wartościach, które biją, aż trzeszczy. W Internecie krąży zdjęcie Romneya rozmawiającego z Bronisławem Komorowskim. Podpis pod zdjęciem informuje, że „światowy przywódca zastanawia się, dlaczego właśnie spotkał się z byłym gubernatorem Massachusetts”. Inne pytanie, które padło przy tej okazji: dlaczego Tusk spotkał się z Romneyem, którego szanse na wygrana są niepewne, a nie spotkał się z François Hollande’em? No cóż, najwyraźniej Polska jest państwem przyklejonym. SLD i PiS przyklejały Polskę do Stanów Zjednoczonych, PO przykleja Polskę do Niemiec. I w obu przypadkach chodzi o coś więcej niż szukanie sojuszników dla własnych planów i interesów, chodzi o znalezienie punktu odniesienia, dzięki któremu będzie można swój interes zdefiniować.

Co nie znaczy, że rząd Tuska nie robi nic, by poszerzyć dostępne Polsce pole manewru. Ważnym elementem jego polityki jest osławiona „kreatywna księgowość” ministra Jacka Rostowskiego. Kreatywna księgowość nie jest niczym innym jak zgniłym kompromisem. Pozwala zachować pewien margines swobody w układaniu budżetu, choć robi to kosztem zamrożenia ważnych społecznie wydatków (np. na Fundusz Pracy) oraz łatania dziur przychodami o charakterze doraźnym (prywatyzacja majątku państwowego), zamiast rozwiązań systemowych (progresywne podatki, likwidacja OFE). Zanim jednak na ten zgniły kompromis definitywnie naplujemy, zastanówmy się, jaką to niezgniłą, uczciwą politykę finansową możemy mieć dziś w zamian. Czy alternatywą dla kreatywności Rostowskiego jest polityka w stylu, powiedzmy, Grzegorza Kołodki, czy raczej „rzetelne” rozwiązania spod znaku Balcerowicza, Hausnera i Gilowskiej? Czy chcemy zachować sterowność państwa i pewien poziom autonomii wobec rynków finansowych, czy uważamy, że rynki mają rację, a państwo powinno się im podporządkować?

A jak z tym wyzwaniem radzą sobie inni? Własny model kreatywności realizuje na Węgrzech Viktor Orbán. Będąc niedawno w Bu-

dapeszcie, widziałem na ulicach mnóstwo bezdomnych. Rząd znalazł jednak sposób na ograniczenie problemu: zakaz spania w miejscach publicznych. Jak ktoś zdrzemnie się na ławce czy trawniku, musi liczyć się z interwencją policji. A to tylko skromny przykład pomysłów węgierskiego premiera. Rząd uruchomił też program tworzenia miejsc pracy, m.in. za pomocą takich rozwiązań jak ulgi dla przedsiębiorców, zapraszanie zagranicznych korporacji do budowania fabryk na Węgrzech i obozy pracy dla bezrobotnych. Tylko to ostatnie rozwiązanie można uznać za naprawdę kreatywne – pozostałe pochodzą ze zgranego już repertuaru. Sprowadzają się do obniżania kosztów pracy w celu zachęcenia krajowych przedsiębiorstw i zagranicznych inwestorów do tworzenia miejsc pracy. W ten sposób powstają miejsca pracy tanie i niestabilne. Ale jakieś powstają. Może na tym polega węgierski wariant zgniłego kompromisu?

Jest w naszym regionie jeszcze jeden kraj, w którym rządzi prawica: Republika Czeska. Na tle innych narodów Europy Środkowej Czesi wydają się niezbyt kreatywni. Nic nie pokazuje tego lepiej niż artykuł Jakuba Šebesty, szefa inspekcji ds. rolnictwa i żywności, opublikowany na stronie czeskiego MSZ w odpowiedzi na artykuł w „Wyborczej”, że podejrzenia Czechów co do jakości polskiej żywności wynikają z nacisków czeskich producentów, którzy po prostu nie radzą sobie z polską konkurencją. Šebesta twierdzi, że w istocie mamy tu do czynienia z dumpingiem sanitarnym: „Polskie afery spożywcze w ubiegłych miesiącach nieprzyjemnie dotknęły również czeskich konsumentów. Jaja skażone dioksynami, sól techniczna w żywności, susz jajeczny z nielegalnymi domieszkami lub skażony salmonella, przeterminowane o kilka lat i przepakowywane mrożone ryby oraz inne produkty z dużym prawdopodobieństwem dotarły również na czeski rynek. Współpracę polskich organów przy ich identyfikacji niestety trudno przy tym uznać za wzorcową”. No cóż, kreatywna inspekcja sanitarna nie mieści się najwyraźniej w czeskiej wyobraźni. Szkoda tylko, że to nam psuje sąsiedzkie stosunki.

Wezwanie na barykady

David Harvey w „Buncie miast” przepisuje historię kapitalizmu, przenosząc środek ciężkości z walk fabrycznych na walki uliczne

BARTŁOMIEJ KOZEK

Ruchy miejskie rosną w siłę. Nawet w Polsce protesty przeciwko przypadkowej zabudowie terenów zielonych przez deweloperów czy prywatyzacji komunalnych zasobów mieszkaniowych zaczynają być coraz bardziej widoczne. Wyprzedaż miejskich spółek świadczących usługi publiczne, likwidowanie szkół czy podwyżki cen biletów komunikacji miejskiej nie przechodzą bez echa. Samorządowcy nie

mogą już liczyć na spokój przerywany wybończym „złem koniecznym”. Coraz częściej mierzyć się muszą z obywatelską opozycją, a nawet z perspektywą przedwczesnej utraty mandatu (jak to niedawno stało się z prezydentem i radą miasta Bytomia).

Rewolucja potrzebuje miasta

Jak procesy, które możemy obserwować także i na polskim podwórku, wpisują się w globalne przemiany kapitalizmu? Po odpowiedź najlepiej zwrócić się do Davida Ha-

rveya, autora książki „Bunt miast”. Ten geograf i krytyk neoliberalizmu sporą część swojej twórczości poświęcił przemianom przestrzeni pracy oraz życia na zglobalizowanym rynku.

Czym wizja angielskiego badacza, wykładowcy na nowojorskim City University, miałaby się wyróżniać wśród wielu mniejszych lub bardziej udanych krytyk turbokapitalizmu? Niewątpliwie zmianą perspektywy. W dotychczasowych narracjach na temat rozwoju gospodarki rynkowej dominowa-

wizja masowych protestów robotników żądających podwyżek płac i poprawy warunków pracy. Deindustrializacja oraz oderwanie się „nowej lewicy” skupionej głównie na tematyce obyczajowej miało od końca lat 60. XX w. otworzyć furtkę drapieżnemu neoliberalizmowi, demontującemu zdobyte państwa dobrobytu.

Harvey proponuje spojrzeć na sukcesy i klęski lewicy z perspektywy miasta. Jego zdaniem to ono, nie zaś fabryka, jest głównym polem konfliktu między kapitalistami a resztą społeczeństwa. Zawężanie walk społecznych do przestrzeni produkcji prowadzi do lekceważenia różnego rodzaju pracy reprodukcyjnej (na „ekonomię opie-

ki” szczególną uwagę zwraca ekonomia feministyczna). Łatwo wówczas zapomnieć o przechwytywaniu wartości dodatkowej – wytworzonej przy pracy zarobkowej i należącej pracującym – z powrotem przez kapitał, np. przejmowanie atrakcyjnych przestrzeni miejskich poprzez podwyższanie czynszów albo wymuszanie zadłużania się na opłacenie studiów.

Przestrzenie zysku

Harvey przekonująco pokazuje, jak miasto staje się doskonałą przestrzenią nie tylko do akumulacji kapitału, ale też do inwestowania jego nadwyżek – chociażby w nieruchomości. Okazuje do wzbogacenia się dawa-

ły kolejne plany modernizacji miast, zmieniające ich kształt i strukturę społeczną.

Tak było z Paryżem epoki Napoleona III, w którym baron Haussmann zmieniał wąskie uliczki w szerokie bulwary, by przegnać widmo robotniczej rewolty. Podobne pomysły po latach zaproponował Richard Florida, twórca pojęcia „klasa kreatywna”. Wystawy światowe, ekskluzywne butik i czy domy mody doskonale spełniają funkcję XIX-wiecznej wersji „budowy kapitału kreatywnego”.

Rozwój miasta miał też i ciemniejszą stronę – „akumulację poprzez wywłaszczenie”, niszczenie społeczności lokalnych, ale też towarzyszący przebudowie spekulacyjny system kredytowy, który runął w 1868 r. Napoleon III postanowił podratować gospodarkę Francji „pakietem stymulacyjnym” w postaci wojny z Prusami. Militarnej porażce towarzyszyła klęska haussmannowskiego modelu urbanizacji w trakcie Komuny Paryskiej. Komunardzi walczyli na barykadach, których stawianie na szerokich bulwarach miało być rzekomo niemożliwe.

Duch braci Pereire’ów – założycieli Crédit Immobilier de France, który finansował projekty Haussmanna – przetrwał w kapitalizmie do dzisiaj, czego przykładem, zdaniem Harveya, jest upadek banku Lehman Brothers. Instytucje finansujące model suburbanizacji – wylewania się klasy średniej z mieszkań w miastach do domków na przedmieściach i zmieniania metropolitarnych śródmieści w getta ubóstwa – w pogoni za zyskiem przeliczywały same siebie. Nie jest to nowe zjawisko w historii gospodarczej świata. Autor „Buntu miast” przywołuje dzieje amerykańskiego rynku nieruchomości. Na podstawie historii jego rozwoju można prześledzić źródła kolejnych kryzysów ekonomicznych. Krachy na tym rynku – zapowiadane przez spekulacyjne wyścigi w sektorze wysokościowców i wpływające na spadek aktywności budowlanej – miały istotny wpływ na stan globalnej gospodarki.

Ruch wszystkim czy ruch niczym?

Harvey przypomina o często zapomnianych wątkach miejskich transformacji. Komunę Paryską wiąże nie tylko z robotniczym zrywem, ale z walką o miejską przestrzeń, czego dowodem miały być jej pierwsze dwa postanowienia. Obok zakazu nocnej pracy w piekarniach – dotyczącego stosunków produkcji – wprowadzono również moratorium na podwyżki czynszów – jeden z efektów przebudowy miasta oraz działań kapi- ➔

Mario Tama/AFP

→ tału spekulacyjnego. Wbrew starolewiczemu mitem zawiązywane wówczas sojusze nie były bardziej stabilne niż np. ekologiczne i feministyczne ze związkami zawodowymi.

Narodziny neoliberalizmu w politycznej praktyce Harvey datuje nie na rządy Pinocheta, Thatcher i Reagana, ale już na połowę lat 70., czasy niewypłacalności stanu Nowy Jork. Ta jedna z większych gospodarek ówczesnego świata („zbyt wielka, by upaść” – jak zgodnie stwierdzili ówczesni światowi przywódcy) została poddana terapii szokowej polegającej na zaciskaniu pasa i cięciach w usługach publicznych. Wszystko – zdaniem Harveya – dzięki krachowi na rynku nieruchomości, który o pół roku poprzedził kryzys naftowy.

Autor „Buntu miast” przywołuje te przykłady nie bez powodu – są one przyczynkiem do refleksji nad dwiema kwestiami. Pierwsza z nich to wspomniane już przeniesienie środka ciężkości analizy konfliktów klasowych z fabryki na miasto. Z tego punktu widzenia Komuna Paryska przestaje wyglądać na jednorodny masowy ruch. Autor ukazuje złożone motywacje, dla których przyłączali się do niej tak robotnicy, jak i rzemieślnicy. Dziś w większości miast Globalnej Północy tradycyjna klasa robotnicza przestała być dominującą klasą społeczną, więc nowe ruchy oporu – na przykład lokatorskie czy ekologiczne – powinny zauważyć, że na różnych frontach toczą tę samą walkę z zawłaszczaniem wspólnej przestrzeni przez „1 proc.” najbogatszych. Wraz z ewolucją systemu ekonomicznego do walki tej będą dołączać nowe ruchy, takie jak społeczności imigranckie czy młodzi borykający się z rosnącym bezrobociem.

Harvey rozprawia się też z atrakcyjną dla wielu wizją zastąpienia stosunków kapitalistycznych pozbawioną hierarchii demokracją miejską. Jego zdaniem wizje tego typu – od anarchistycznych konfederacji samorządów Murraya Bookchina, po opierające się na badaniach dotyczących wspólnego gospodarowania zasobami Elinor Ostrom – popełniają klasyczny błąd skali, zakładając, że co sprawdza się na szczeblu lokalnym (jak budżet partycypacyjny), sprawdzi się rów-

nież na regionalnym czy ogólnokrajowym. Jego zdaniem państwo i towarzyszące mu hierarchie będą nadal konieczne, by równoważyć partykularne dążenia poszczególnych wspólnot lokalnych.

Choć nie daje zbyt wyraźnej wizji „państwa idealnego”, jasno deklaruje, jakiego państwa nie chce. Jego zdaniem neoliberalizm polega nie tyle na zwiżaniu jego funkcji, ale na zmianie celów i stosowanych do ich osiągnięcia środków. Z zaspokajacza potrzeb

kości czynszów. Zadaniem dla ruchów społecznych jest ponowne przejęcie państwa i jego instytucji tak, by znów – korzystając z retoryki ruchu Occupy Wall Street – stały żyły 99 proc.

Globalna walka

Efektowne skoki geograficzne, jakie na stronach „Buntu miast” wykonuje autor, pokazują, że miasta stają się przestrzenią kłótni globalnego ruchu na rzecz odzyskania tego, co wspólne. Lokalne walki mogą prowadzić do zmian we władzach całego kraju, jak to było z protestami w Boliwii, Rio Alto i objęciem prezydentury przez Evo Moralesa. Lęk przed społecznymi niepokojami jest w stanie modyfikować politykę ekonomiczną chińskich samorządów, coraz częściej – jak w Hongkongu – inwestujących w rozwój mieszkaniectwa komunalnego czy podnoszenie płacy minimalnej. Miejskie rebelie wybuchają w miastach tak różnych jak Kair i Madryt, a ruchy kwestionujące status quo czerpią inspirację z form takich jak demokracja uczestnicząca w Porto Alegre czy meksykański ruch zapatystów.

Czyżby zatem rysowała się przed nami świetlana przyszłość oparta na społecznej sprawiedliwości i ekologicznej równowadze? Nie popadajmy w hurraoptymizm – zdaje się ostrzegać Harvey. Przed miejskimi buntownikami wiele pracy, chociażby nad ukonkretnieniem sekciarskiego zamknięcia na inne ruchy społeczne. Szczególnie ważne, by do zmieniających się rzeczywistości dostosowały się związki zawodowe – organizacje z bogatą tradycją walk nie tylko o godne warunki pracy, ale też o jakość życia robotniczych rodzin i społeczności. Ich sojusz z nowymi ruchami społecznymi, a także otwarcie na pracowników innych niż etatowi (nielegalnych imigrantów, prekariat, pracę domową i opiekuńczą), ma zdaniem autora „Buntu miast” szansę zmienić świat na lepsze.

Oby się nie mylił.

Bartłomiej Kozek jest publicystą „Zielonych Wiadomości”.
www.twitter.com/BartlomiejKozek



Occupy Wall Street, 2 listopada 2011 r.
Na zdjęciu na poprzedniej stronie 28 października 2011 r.

Mario Tama/Getty Images/AFP

Ludzie bezdomni, domni i Hołownia



TOMASZ PIĄTEK

Autor felietonu
jest pisarzem

Dzisiaj dzieje się. Madonna zbecześciła nam rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Dla naszej prawicy koncert muzyki popularnej jest profanacją narodowego święta, natomiast taką profanację nie jest udział faszystów w Marszu Niepodległości. Wynika z tego, że dla prawicowców większym złem jest Madonna niż Hitler (Madonnie pewnie by się to spodobało). Ciekawe, czy dotyczy to też Czarnej Madonny. Trzeba by zapytać jakiegoś eksperta, najlepiej czarnego (w sensie kszędza). Albo Szymona Hołownię. A jeśli chodzi o Hołownię... Oczywiście ja wiem, że nie chodzi o Hołownię, bo nigdy nie chodzi o Hołownię, Hołownia nikogo nie obchodzi, ale umówmy się dla potrzeb tego felietonu, że przez chwilę chodzi o Hołownię. No więc jeśli chodzi o Hołownię, to skłócony z nim Tomasz Lis pisze, że woli ajatollaha Terlikowskiego niż tych załganych pseudoliberalnych, pseudodoktrynalnych, dwie piersi ssących liberalnych katolików”. To prawda, to piękne, ja razem z Wojciechem Orlińskim zgadzamy się

w zupełności, obaj wolimy szczerego wariata Terlikowskiego od kogoś, kto nie wie, czy być popem czy pop-gwiazdą, i napisał Dziesięcioro nowych, lajtowych Przykazań, więc uważa się zapewne za Boga 2.0. Tylko zaraz, zaraz... A kim ze swojej strony jest Tomasz Lis? Czy nie przypadkiem pseudodoktrynalnym, pseudoliberalnym katolikiem, który obnosi się ze swoim liberalizmem, katolicyzmem oraz drugą żoną?

Zatem dzieje się, ale nie będę o tym pisał. Nie będę znowu pisał o katolikach, bo jeszcze uznają, że mam na ich punkcie obsesję, a na to jeszcze nie zasłużyli (choć się starają). O wiele bardziej od huczącego w mediach sporu liberalnego katolika z liberalnym katolikiem zafrapowało mnie pewne zdarzenie w mikroskali, dwóch ludzi, których zaobserwowałem w warszawskim metrze. Chociaż przy tej okazji można zapytać, kto tu jest tak naprawdę zdarzeniem w skali mikro: tak zwani prości ludzie w metrze czy Szymon Hołownia? Ale dosyć o Hołowni, bo ta chwila, podczas której udawaliśmy, że o niego chodzi, minęła (minęła bezpowrotnie, Szymonku). Wracam do metra.

Było bardzo gorąco, 35 stopni, w metrze może odrobinę chłodniej, ale niewiele. Pewien pan, z butelką wody, położył się na ławce. Zaraz pojawił się przy nim tak zwany somita (somita jak kosmita), czyli funkcjonariusz niezwykle wąskiej, elitarnej i tajemniczej, a nawet podziemnej formacji, czyli Straży Ochrony Metra, zwanej też Służbą Ochrony Metra (nikt nie wie, jak oni się naprawdę nazywają, więc mówi się o nich SOM, zakładając, że w ogóle o nich się mówi).

Somita powiedział do leżącego pana: – Proszę pana, tu nie wolno leżeć.

– Ale ja się źle poczułem – odpowiedział leżący pan.

– Ale nie jest pan bezdomny? – zapytał somita.

– Nie, proszę pana.

– To dobrze – odpowiedział somita i przestał czynnie interweniować. Zastygł niczym posąg, pozwalając leżącemu panu dalej leżeć na ławce. Ja też się ucieszyłem, że leżący pan nie jest bezdomny, bo nikomu tego nie życzę, ale nasza mnie wątpliwość: po co w ogóle to pytanie? Czy nie bezdomni (krócej byłoby mówić: domni) mają prawo leżeć na ławce w chwili słabości, a bezdomni już nie? Co by było, gdyby bezdomny źle się poczuł? Chory domny ma prawo leżeć, a bezdomny ma zdychać na stojąco?

Somita stał i stał przy leżącym panu, aż w końcu leżący pan powiedział:

– Ale pan nie musi przy mnie stać, zaraz poczuje się lepiej.

– Właśnie muszę – odpowiedział somita. – Muszę stać przy panu, bo jak pan będzie leżał, to ludzie pomyślą, że w metrze wolno leżeć na ławkach, a jak mnie zobaczą przy panu, to widzą, że nie wolno.

Ciekawa logika – pomyślałem. Równie dobrze przecież ludzie mogliby pomyśleć, że skoro pan leży na ławce, a przy nim stoi somita i nie interweniuje, to właśnie znaczy, że leżeć wolno. Mogliby pomyśleć, że somita czuwa nad spokojem leżącego. Ciekawa logika i ciekawe myślenie, które zmusza człowieka, aby stał się słupem z tabliczką, na której jest napisane: „Tego, co tu widzicie, nie wolno”.

Ale może właśnie do tego służą tajemniczy somici? Wskazują nam swoją obecnością, co jest fe? W takim razie wynajmę somitę, żeby przez cały czas chodził za Tomaszem Lisem.

Nie za Hołownią, oczywiście, bo on nikogo nie obchodzi.

Szkoła marzeń depszich miastach



Z wiertarki korzystamy średnio 12 minut w ciągu całego życia, więc wystarczy jedna na budynek. Takie pomysły opracowują studenci w moskiewskiej szkole projektowania miast. O bezpłatnej uczelni prowadzonej przez Rema Koolhaasa opowiada architekt i wykładowca **KUBA SNOPEK** w rozmowie z Martą Karaś.

Sylvia Paprzycka



Od dwóch lat mieszkasz w Moskwie. Pojechałeś tam studiować, zostałeś i obecnie wykładasz w szkole, w której wcześniej się kształciłeś. Szto takoję Strielka?

Strielka to przede wszystkim mieszcząca się w Moskwie szkoła prowadząca zajęcia na kształt naszych studiów podyplomowych. Jest to też instytut badawczy, który zajmuje się miastem, rodzaj think tanku. Jest niewielką, unikatową na skalę światową, instytucją, która zajmuje się szeroko rozumianą przestrzenią miejską. Jej program akademicki współtworzył jeden z najwybitniejszych światowych architektów – Rem Koolhaas, pod którego kierunkiem studenci rosyjscy i z zagranicy najpierw uczą się o pewnych aspektach życia miejskiego, a później tworzą na tej podstawie projekty.

Jest to instytucja prywatna. Kim są ludzie, którzy zamiast kupować Chelsea Londyn, postanawiają inwestować w edukację akademicką?

Chodzi o milionerów, są bardzo różni (śmiech). Ci, którzy założyli Strielkę, są idealistami. Szkoła nie przynosi zysków finansowych, a została powołana w celu zmiany krajobrazu miejskiego w Rosji. Założyciele Strielki doszli do wniosku, że najlepszym sposobem, by to robić, nie jest finansowanie jakichś konkretnych projektów, chociaż Aleksander Mamut (główny sponsor Strielki – przyp. red.) wcześniej sponsorował już teatry czy kina. Postawili na finansowanie rozwoju młodych ludzi, edukacji, tworzenie tzw. agentów zmiany, którzy będą później te zmiany rzeczywiście przeprowadzać.

Na początku sierpnia kończycie proces rekrutacyjny. Drugi rok z rzędu przeglądasz aplikacje. Kogo szukasz?

Do Strielki dostęp mają zarówno Rosjanie, jak i obcokrajowcy. Mniej więcej dwieście miejsc jest zarezerwowane dla osób z Wspólnoty Niepodległych Państw. Pozostała część jest dla osób z całego świata, które chcą wnieść swoje doświadczenia i odmienić rosyjskiego punkt widzenia. Szukamy nie tylko architektów czy urbanistów, ale też

socjologów, politologów, designerów, artystów – po prostu wszystkich, którzy w swojej działalności zajmują się miastem. Dla Rosjan to szansa na pracę u boku Koolhaasa czy innych wybitnych zachodnich architektów. Dla obcokrajowców – by poznać tę trochę zamkniętą, dziwną Rosję. Ta otwartość ma też drugą stronę – zajęcia są po angielsku, dzięki czemu projekty stworzone w Strielce mają od razu szansę stać się głosem w globalnej dyskusji o architekturze.

Ewenementem jest fakt, że Strielka to szkoła bezpłatna. Od początku przyświecała jej idea dostępności: miała być otwarta nie dla tych, którzy mają bogatych rodziców, ale dla tych, którzy mają talent i predyspozycje, a nie mają kasy.

To jest przyszłość edukacji?

– Myślę, że tak, ponieważ Strielka jest zorganizowana zupełnie inaczej niż klasyczne szkoły wyższe. Zajęcia trwają tylko rok i w tym czasie zadaniem jest przygotowanie projektu, więc trzeba się naprawdę bardzo dużo nauczyć. To tak, jakby zrobić trzy lata studiów w jeden rok. W świecie, który zmienia się tak szybko, to odpowiednie podejście. Wiedza, którą przekazujemy studentom, ale którą sami też przy nich zdobywamy, jest ciągle świeża i nie dezaktualizuje się, zanim ukończy się proces edukacji. Tworzymy projekty, które mają być odpowiedzią na sytuację, którą mamy teraz, a nie na tę, która była pięć lat temu. Tę dynamikę doskonale widać właśnie na przykładzie Moskwy. W ciągu ostatniego roku miasto wrzało, przetoczyły się fale przeróżnych protestów: od politycznych po demonstracje religijne. Pojawiły się energia społeczna i entuzjazm, których wcześniej nie było. Moskwa zmienia się bardzo szybko i w tym miejscu taka formuła edukacji jest doskonałym rozwiązaniem.

Skoro tak ważny jest kontekst moskiewski, jak Strielka komunikuje się z miastem?

– Poza działalnością edukacyjną są jeszcze trzy drogi, skierowane bezpośrednio do miasta i moskwiaków. Od lipca do końca września trwa otwarte dla wszystkich „Lato na Striel-

ce”. Na dziedzińcu szkoły, który jest bardzo popularnym miejscem, odbywają się wykłady, warsztaty, koncerty, pokazy. Rozrywka łączy się w równych proporcjach z edukacją. Drugą drogą jest wydawnictwo. Strielka tłumaczy na język rosyjski i wydaje książki ważne dla urbanistyki, np. prace Jane Jacobs. Planujemy też własne wydawnictwa. I wreszcie projekty. Strielka jako konsultant uczestniczy w miejskich przedsięwzięciach. Sukcesem ostatniego roku jest m.in. rewitalizacja parku Gorkiego i uczynienie z niego zieleńca z prawdziwego zdarzenia, najpopularniejszego miejsca w mieście.

A studenci? Czym oni się zajmują?

– Strielka ma kształtować w ludziach odwagę koncepcyjną, nawet jeśli na razie część z tych projektów wydaje się być utopią. Wielka i dynamicznie zmieniająca się Moskwa jest idealnym laboratorium, w którym jak na dłoni widać procesy zachodzące w dowolnym innym mieście. Bardzo duże znaczenie dla Strielki ma na pewno wkład ideowy Rema Koolhaasa. Dla przykładu: w 2010 r. w Wenecji Koolhaas zaprezentował wystawę „CronoCaos”, dotyczącą przyszłości ochrony zabytków. Była ona niezwykle ważnym wydarzeniem w świecie architektury. Rok później na Strielce prowadził grupę studentów, którzy na przykładzie Moskwy rozwijali koncepcje z wystawy. Prawie wszystkie zrobione wtedy projekty stały się częścią miejskiej dyskusji o ochronie zabytków.

W tym roku w grupie „Citizens as Customers”, w której wykladałem, zajmowaliśmy się moskiewskimi mikrorajonami, czyli blokowiskami budowanymi od epoki Chruszczowa. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób można rewitalizować takie miejsca i wykorzystywać ich potencjał, jak może wyglądać ich przyszłość. Trzeba wiedzieć, że w Moskwie, w przeciwieństwie do Polski, większość budownictwa mieszkaniowego, które powstaje obecnie, to ciągle budynki z wielkiej płyty. Jest to dość kuriozalne, ponieważ społeczeństwo się zmieniło: jest dużo bardziej indywidualistyczne, niż było pół wieku temu, a proponuje mu się cią- ➔

→ gle identyczne mieszkania w identycznych domach. Studenci mierzyli się z tymi problemami na różne sposoby. Na przykład projekt studentki Nastii Szewielowej, który bardzo mi się podobał, był oparty na idei dostępu zamiast posiadania. Czy można zaprojektować lub zrewitalizować osiedle tak, by zamiast kupować przedmioty i przestrzenie, zamiast mieć je na własność, po prostu mieć do nich dostęp? Jest to zdecydowanie bardziej efektywne pod względem wykorzystania tych dóbr. Z wiertarki korzystamy średnio 12 minut w ciągu całego naszego życia, więc nie ma żadnej racjonalnej potrzeby, by była więcej niż jedna na cały bu-

dynek. W tym temacie jest ogromny potencjał, dotyczący nie wiertarek oczywiście, ale współdzielenia przestrzeni do życia, pracy, wypoczynku.

Dość socjalistyczne, by nie powiedzieć komunistyczne podejście...

– Różnica polega na tym, że nasze podejście jest koncepcyjne, ale jednocześnie dość pragmatyczne. Jak zaprojektować wspólne przestrzenie, aby nie były dla ludzi uciążliwe, żeby chciało się z nich korzystać, aby miały szansę nie zostać zdewastowane? Czego można się nauczyć od istniejących tendencji, które okazały się sukcesem? Mieliliśmy

też dyskusję dotyczącą tego, kto za to zapłaci – co powinno być darmowe, publiczne, a co niekoniecznie.

Innym projektem, który zrobił na mnie wrażenie, był ten Dalii Safiullinej: recykling blokowisk. Zostały one zbudowane w technologiach, których żywotność to 25–50 lat, a w tej chwili trwają już wyburzenia budynków pierwszej generacji. Betonowe płyty wywożone pod Moskwę na wysypiska i składowane w wielkich hałdach. Nie wiadomo, co z nimi robić. Nasza studentka policzyła, że jeśli wyburzy się wszystkie tego typu budynki, z samych płyt elewacyjnych można by zbudować płot dookoła całej Rosji. Jest to jakiś pomysł (śmiech), ale można je przecież wykorzystać w inny sposób. Dalia ma dość, że przeprowadziła szczegółową analizę tego, jakie są sposoby powtórnego wykorzystania takich materiałów, i zebrała je wszystkie w jeden duży projekt, to także zaproponowała, by popatrzeć na cały ten beton i metal jak na kolejny surowiec („nie naturalny”), który mógłby przynosić Rosji przychody.

A co z projektami nowych miast czy mikro-rajonów?

– Dwóch studentów – Błażej Czuba i Michał Groskaufmanis – stworzyli świetny, wizyjny projekt dotyczący mieszkalnictwa przyszłości. Skoncentrowali się nie tyle na samej architekturze, ale na sposobie, w jaki można z niej korzystać i nią zarządzać. Mnie z tego projektu najbardziej spodobała się idea operatora, który zarządzałby przestrzenią w podobny sposób jak operator sieci telefonii komórkowej. Pomieszczenia i przestrzenie udostępniane byłyby w ramach bieżących potrzeb, opłata za korzystanie z mieszkań byłaby naliczana na podstawie taryfy. Takie podejście daje duże możliwości w radykalnym przypadku można sobie obrazić np. niewielkie mieszkania, spełniające minimum potrzeb, wynajmowane za minimalną cenę – jak abonament telefoniczny z jakąś liczbą darmowych minut. Natomiast inne usługi – łatwy do zapamiętania numer telefonu, wielka jadalnia, dostęp do basenu albo miejsce do coworkingu – są dodatkowo płatne. Studenci myśleli nie o tym, jak takie osiedle miało wyglądać, ale skupili się na modelu jego działania, możliwościach plusach i minusach wprowadzenia nowego sposobu zarządzania przestrzenią oraz na potencjalnych zyskach takiego systemu – zarówno dla władz, mieszkańców, jak i biznesu.



Studio w Strielce

Projekty, o których mówisz, są awangardowe, momentami wręcz utopijne. Da się wprowadzić je w życie?

– To już się w jakimś stopniu dzieje! Pełna nazwa Strielki to Instytut Mediów, Architektury i Wzornictwa. Mamy duże wsparcie ze strony praktycznie wszystkich moskiewskich mediów. Każdy projekt jest dyskutowany na łamach gazet, czasem omawiany w telewizji. Głównym zadaniem Strielki jest pobudzanie do myślenia i rozpoczynanie dyskusji. Gdy przyjechałem do Moskwy, w języku rosyjskim w ogóle nie istniało pojęcie „przestrzeń publiczna”. Po roku naszej pracy przeszło ono do ogólnego użycia. Teraz każdy z moskiewskich polityków używa tego określenia, gdy mówi o mieście. Co prawda czasem zupełnie w złym kontekście (śmiech), ale przynajmniej to pojęcie powstało, a wraz z nim kilka przestrzeni publicznych z prawdziwego zdarzenia.

Jaka jest dominująca w Moskwie narracja na temat miasta? W Polsce zmagamy się z tym, że władze lokalne często w ogóle nie poczuwają się do odpowiedzialności za przestrzeń publiczną, następują jej komercjalizacja i zawłaszczanie.

– W Moskwie za czasów Łużkowa [mer Moskwy w latach 1992–2010 – przyp. red.] przestrzeń publiczna była komercjalizowana na skalę, jakiej w Polsce nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Dla przykładu: wszystkie place przydworcowe zostały sprzedane i zabudowane. Nawet na placu Maneżowym stała galeria handlowa, to jest niewyobrażalne. To tak, jakby postawić galerię na krakowskim Rynku. Gdy potwornie krytykowanego Łużkowa zastąpił Siergiej Sobianin, jedną z jego pierwszych decyzji było wprowadzenie całkowitego zakazu budowy w centrum miasta. W tej chwili, dzięki temu tymczasowemu zamknięciu centrum dla budownictwa, jest doskonały moment, by dyskutować, co w tym centrum robić i w jaki sposób je rozwijać.

Jak ty, jako wykładowca Strielki, architekt, widzisz przyszłość miast?

– Jest kilka trendów, które moim zdaniem będą się rozwijać i zadecydują o obliczu miast XXI w. Po pierwsze – wydaje mi się, że w niedalekiej przyszłości nastąpi zwrot miast w stronę przyrody. Czy będzie to przyroda w centrach (czyste rzeki, lasy, zwierzęta), czy za miastem – nie wiem. Jestem jednak przekonany, że to się stanie. Jest to związa-

ne z drugim trendem, który obstawiam – podejrzewam, że w niedalekiej przyszłości ludzie będą o wiele więcej wolnego czasu spędzać w mieście niż przed komputerem albo telewizorem. A więc nie tylko zakupy, ale też sport, rekreacja, zabawa, kultura i – co najważniejsze – inni ludzie. Jestem przekonany, że wraca potrzeba bycia razem, i po dekadach indywidualizmu ludzie chcą znów przebywać w swoim towarzystwie. Dlatego niezwykle ważne jest kreowanie niebanalnych przestrzeni, gdzie ludzie mogą się spotkać. Przewiduję też, że gorącym tematem będzie współdzielenie przestrzeni. Już teraz mamy coworking czy trzecie miejsce (miejsce, w którym ludzie spotykają się poza pracą i domem, na przykład kawiarnia, klub osiedlowy, klub fitness czy park – przyp. red.). W niedalekiej przyszłości będzie tego znacznie więcej i wpłynie to znacząco na jakość naszego życia. Będziemy się tymi tematami zajmowali w przyszłym roku w naszym studiu o nazwie Another Place. Sam jestem ciekaw, co jeszcze odkryjemy (śmiech).

Kuba Snopek (ur. 1985) jest architektem i wykładowcą Strielki. Wcześniej pracował m.in. w jednym z najbardziej znanych biur architektonicznych świata – BIG w Kopenhadze.



Zrewitalizowany park Gorkiego (również na zdjęciu na poprzedniej stronie)

Prawo do Krakowa

Władze brutalnie usunęły ich namiotowy protest z Rynku Głównego i zagroziły karami. Krakowscy Oburzeni nie poddali się i powołali inicjatywę „Prawo do Miasta”

PIOTR MALINOWSKI

Grupka turystów, przechadzająca się w letnie popołudnie przez krakowski rynek, przystaje na chwilę przy szklanej piramidzie. Uwagi nie przyciąga dziwaczna konstrukcja, która tylko z nazwy jest fontanną (władze zapomniały nalać do niej wody), ale kilkadziesiąt osób siedzących obok niej. Właśnie trwa ożywiona dyskusja. – Partycypacji trzeba najpierw nauczyć ludzi – mówi kobieta w średnim wieku. – Ale bez kontaktu z urzędem miasta nie mamy szans na stworzenie realnych mechanizmów – odpowiada jej mężczyzna. Do gapiów wychodzi z ulotkami jeden z uczestników spotkania. – Działamy na rzecz zwiększania udziału mieszkańców w zarządzaniu Krakowem – tłumaczy. Przechodnie kiwają głowami, chwilę się przysłuchują i odchodzą. Sytuację cały czas bacznie obserwuje straż miejska, na razie nie interweniuje. Kilka dni wcześniej za zajęcie placu jeden z uczestników spotkania dostał mandat – 150 zł.

Occupy Kraków zjednoczyło anarchistów, mieszkańców broniących terenów zielonych, rodziców przeciwnych prywatyzacji stołówek oraz likwidacji szkół i przedszkoli, aktywistki miejskie oraz artystów. Jeszcze w namiotowym obozowisku powołali oni inicjatywę „Prawo do Miasta”. Nazwę dla swojej inicjatywy zaczerpnęli z tekstu francuskiego socjologa Henriego Lefebvre’a. Według niego „prawo do miasta” mają jego mieszkańcy. Nie klasy rządzące, które w zasadzie już nigdzie nie mieszkają, ponieważ nieustannie się przemieszczają, ale zwykli ludzie, zmuszeni mieszkać tam, gdzie mogą. Ich miejsca pobytu wyznaczane są przez mechanizmy, nad którymi nie mają żadnej kontroli.

Od momentu likwidacji namiotowego obozowiska grupa spotyka się co niedzielę na Rynku o godz. 18. Organizuje warsztaty, wykłady i dyskusje poświęcone problemom Krakowa. W dniu pacyfikacji namiotowego protestu aktywiści dostali propozycję od miejskiego muzeum

Bunkier Sztuki, by kontynuować protest na jego terenie. – Chcieliśmy w jakiś sposób pozostać na rynku, bo agora powinna być naturalnym miejscem spotkań mieszkańców – mówi Łukasz Dąbrowiecki z inicjatywy. Aktywiści przed muzeum ustawili namiot informacyjny, w którym można dowiedzieć się, czym jest demokracja uczestnicząca oraz jakie działania prowadzi inicjatywa. – To niezwykła sytuacja, w jakiej miejska instytucja staje po stronie mieszkańców, których władze chcą uciszyć – ocenia Dąbrowiecki.

Działania inicjatywy „Prawo do Miasta” wspierała grupa Voim goszcząca w Krakowie na organizowanym przez władze festiwalu ArtBoom. – Prezydent miasta Krakowa wykazał się nietuzinkową bezczelnością i hipokryzją, zapraszając artystów ściganych w Rosji listami gończymi i w tym samym czasie pacyfikując miasteczka namiotowe na rynku! – stwierdził stanowczo Alex Pluster-Sam z Voiny podczas konferencji otwierającej festiwal. Organizatorzy podkreślali, że sztuka jest przestrzenią do rozmowy o sprawach nie wygodnych, ale takiej debaty na początek imprezy się nie spodziewali. – W Krakowie łamane są prawa lokatorskie, prawo do bezpłatnej edukacji, prawo do wolności zgromadzeń – wyliczali aktywiści, którzy podczas konferencji zademonstrowali zdjęcia Łukaszenki Putina i prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, pytając zgromadzonych, czy widzą różnice. – Jeśli ArtBoom chciał radykalnych wypowiedzi, to dostał je od nas live i w kolorze – podkreślali. Zaskoczona i przyparta do muru przez aktywistów wiceprezydentka Krakowa Magdalena Sroka przyznała, że osobiście popiera budżety partycypacyjne. – Niestety, mimo potwierdzenia chęci uczestnictwa w spotkaniu pani Sroka nie znalazła czasu na rozmowę z mieszkańcami – stwierdza Łukasz Dąbrowiecki.

Uczestnicy „Prawa do Miasta” wielokrotnie zapraszali radnych miejskich na warsztaty poświęcone budżetom partycypacyjnym czy zrównoważonemu rozwojowi miasta. Niestety, nikt z władz miasta się nie pojawił. A szkoda. – We władzach samorządowych nikt nie słyszał o partycypacji – ocenia radna dzielnicy Halina Gosiewicz. Dlatego powstał projekt „posłańcy partycypacji”, który ma na celu bezpośrednie dotarcie do radnych i przedstawienia im zalet do puszczenia mieszkańców do współdecydowania o działaniach.

– Miasteczko namiotowe to dopiero początek walki o prawo do miasta – przekonują ludzie związani z inicjatywą. Już teraz aktywiści planują powołanie forum miejskiego skupiającego grupę działających w Krakowie oraz skłonienie radnych dzielnicy do przekazania choć części budżetów inwestycyjnych w ręce mieszkańców.



Katarzyna Bena

Szkło



MARIUSZ ZIOMECKI

Wypatrzyłem go na betonowym nadbrzeżu Wisły, kawałek na północ za mostem Gdańskim. Warszawski bezdomny: grubo ubrany mimo upału, wiek niemożliwy do określenia, ogorzały i brudny; na pewno nie chciałbym stanąć przy nim w tramwaju. Typowy przedstawiciel tej warstwy społecznej ciągnął ze sobą dziecienny wózek, znaleziony zapewne na śmietniku. Zbierał aluminiowe puszki, butelki i nawet porzucone przez konsumentów piwa kartonowe opakowania, znane jako cztero- i sześciopaki.

Tacy nędzarze, którym opłaca się schylać po groszową wartość, czyszczą środowisko. Uderzył mnie paradoks: oto mam przed sobą jeden z niewielu proekologicznych elementów współczesnego kapitalizmu – coś, co system wytworzył globalnie, w sposób naturalny i niewymuszony!

Tak sobie myślałem, mijając go, gdy usłyszałem brzęk szkła. Bezdomny ignorował większość butelek po piwie, których setki zostawił po poprzedniej nocy nadrzeczni bankietowicze. Schylił się po nieliczne, inne kopął ze złością; rozbiły się z hukiem, rozsiewając okruchy na betonowych stopniach promenady.

Umyśl miewam ostry jak Józef Oleksy, więc zrozumiałem: butelki nie trafiły na wózek, ponieważ są bezwartościowe. Udało się nam w Polsce zneutralizować nawet bezdomnych! Dlatego kraj z poważnym problemem zaśmiecenia nie wykorzystuje jednego najbardziej skutecznego remediów, czyli systemu kaucji zwrotnych za szkło? Czemu, u licha, dopuściliśmy do powstania systemu, w którym jedne butelki po piwie są koszerne, a inne nie?

Jak duży jest problem? Według zainteresowanego przemysłu, niewielki. Rzecznicy Kampanii Piwowskiej, Grupy Żywiec oraz Carlsberg (wspólnie mają ok. 85 proc. polskiego rynku piwa) zgodnie twierdzą, że tylko ok. 15 proc. ich produkcji trafia na rynek w butelkach jednorazowych. Tymczasem, gdy przyglądam się półkom z piwem w moim lokalnym sklepiku, większość odmian stoi, jak byk, w butelkach bezzwrotnych. Podobnie było nad Wisłą.

Eksperti w Ministerstwie Ochrony Środowiska sugerują, że tak niestety działa niewydolna ręka rynku. W sytuacji, gdy punkty dystrybucji nie mają jednego właściciela, system kaucyjny krzywdzi małe sklepy, bo butelki zwracane są często nie tam, gdzie zostały zakupione. Supermarkety kaucje pobierają, a oddają je właściciele małych lokalnych sklepików. I panie Basie wrzeszczą pod niebiosa, bo ta forsza wypływa im z kieszeni. Wolą więc w ogóle nie „prowadzić” piwa w butelkach do zwrotu (choć w sklepach wiejskich jest inaczej, bo piwo po zwrocie kaucji wychodzi najtaniej).

Rozumiem drobnych biznesmenów, jednak nie dajmy się zwariować. W Niemczech czy Stanach handlowcy i firmy piwowskie jakoś

sobie radzą. Butelki oddaje się, gdzie komu wygodnie, i system kaucyjny funkcjonuje (choć nie jest tak powszechny jak w PRL). Wszystko jest kwestią uzgodnienia sensownych reguł gry – głównie przepływu pieniądza. Za czyste środowisko na koniec płaci konsument, więc system powinien być optymalizowany cenowo i środowiskowo, a nie pod kątem zadowolenia korporacji. Kaucje zwrotne powinny obejmować nie tylko szkło, ale również opakowania plastikowe napojów bezalkoholowych, które już w całości zdominowały rynek (ostatni Mohikanie to restauracyjna coca-cola i nieliczne wody mineralne, które wciąż występują w szklanych butelkach). Plastikowe białki leżą we wszystkich lasach i będą wyrzucać tak długo, aż zaczniesz opłacać się zanosić je do recyklingu. W skuteczność samego apelowania do sumienia rodaków nie wierzę, nie w tym i najbliższych pokoleniach...

Rynek piwa w butelkach jednorazowych powinien zostać zlikwidowany – w całości i bez wyjątków. Jeśli ktoś chce importować np. egzotyczne gatunki w fikuśnych butelkach – niech je odkupuje, płacąc ekstra. Zapewnienie branży piwowskiej, że jednorazówki nam nie szkodzą, włożymy między bajki. Około połowy takich butelek jest teoretycznie zbieranych i odsyłanych do hut przez związane z piwami tzw. organizacje odzysku – to one między innymi najmuje firmy, które sprzątają bulwar nadwiślański – a za resztę koncerny płacą państwu specjalny podatek, tzw. opłatę produktową, która idzie na cele środowiskowe. Teoretycznie realizujemy dyrektywę unijną. Wystarczy się jednak rozejrzeć wokół siebie, by zwątpić w te twierdzenia. A wpłaty piwowarów za butelki wprowadzane do obiegu są podejrzanie niskie, co w Ministerstwie Środowiska interpretują tak: system działa wirtualnie, na poziomie kwitów.

Korporacje zaniżają koszty środowiskowe. Dlatego państwa cywilizowane interweniują, wymuszając lepsze standardy. A u nas, Tusku, możesz? W MOŚ pracują nad poprawieniem ustawy o opakowaniach, ale proszący o anonimowość urzędnicy nie zostawiają złudzeń: jeszcze wiele wody upłynie w Wiśle, zanim nasz bezdomny zmieni modus operandi. ●

W Moskwie mówi się o tym, że tegoroczna zima podzieliła społeczeństwo. Rozpoczęło się od grudniowych protestów przeciwko fałszerstwom w wyborach do Dumy Państwowej. Skala manifestacji na placu Błotnym w Moskwie była zadziwiająca. Nie były to jednak wiece opozycji, tylko organizujące się przez portale społecznościowe tłumy rozczerowanych Rosjan, o uwagę których walczą teraz starzy i nowi liderzy partii opozycyjnych.

Tahrir na placu Czerwonym

W Rosji wyrosło (i wykształciło się) pokolenie, które nie pamięta ani ZSRR, ani żelaznej kurtyny. Pojawiła się też tzw. klasa średnia. A klasa społeczna, jak wiadomo, to nie

Uważają, że Rosja potrzebuje „feministycznego bata” i kobiety prezydenta, występują przeciwko wódzostwu, homofobii, krytykują maczyzm rosyjskiego społeczeństwa. Wokalistki inspirowane są także tekstami Marksa, Žiżki, Derridy oraz działalnością ruchu feministycznego Riot Grrrl, a także wydarzeniami wiosny arabskiej. W pierwszym nagraniu utworze poświęconym wyborom do Dumy artystki śpiewały: „Powietrze Egiptu służy plucem/zrealizujemy Tahrir na placu Czerwonym”.

Najważniejszy składnik akcji Pussy Riot to nielegalna interwencja w przestrzeń miejską, muzyka zaś zajmuje miejsce drugorzędne. Innymi słowy, zespół uprawia „partyzantkę miejską” (guerilla urbana) z typowymi dla niej środkami wyrazu związanymi z przechwy-

mieszane reakcje. Z jednej strony pojawiły się głosy o konieczności oddzielenia działań artystycznych od aktywizmu, zaś z drugiej – nastąpiło ideologiczne przebudzenie (np. nawiązanie do dadaizmu i surrealizmu Andre Bretona z oburzeniem wypomniał komunistyczne nastroje pisma „Combat” sojusz z siłami reakcji).

Członkinie grupy zaskakują wrzaskami, kolorowymi sukienkami i jaskrawymi rajstopami, grubiańskim niekiedy językiem, tekstami negującymi utarty w rosyjskim społeczeństwie wzorek kobiety – podporządkowanej, cierplivej, cichej, wybaczącej, wyglądającej różnie pięknie w każdej życiowej sytuacji. Nawiązanie kominiarek przez wokalistki zespołu ma także inną wymowę. Pussy Riot nie chce handlować swoją urodą i twarzami, jak te

Pussy bat na Putina

Ten tekst to krótka historia Pussy Riot, czyli opis rosyjskich zmagania z wolnością działań twórczych.

Powstał jako gest solidarności z trzema członkiniami feministycznej grupy osadzonymi w areszcie od marca

ANASTASIA NABOKINA, EWA MAJEWSKA

tylko stosunek do środków produkcji, lecz też poglądy, zachowania, gusty oraz oczekiwania wobec siebie i innych, a także przyszłości. Dziś klasa średnia w Rosji to wykształceni – często na zachodnich uczelniach – i dobrze zarabiający młodzi ludzie. Nazywają siebie lewicującymi przeciwnikami autorytaryzmu i „klasą kreatywną”. To oni właśnie wychodzą na „marsze milionów”.

Do ruchu lewicujących przeciwników autorytaryzmu należy również punkowo-feministyczna grupa Pussy Riot. Zespół powstał w październiku 2011 r., a niektóre jego członkinie należały wcześniej do znanej również w Polsce grupy Voina. Zaliczają siebie do trzeciej fali feminizmu, za autorytety uznają Simone de Beauvoir, Andrée Dworkin, Emmeline Pankhurst, Kate Millett czy Rosi Braidotti.

tywaniem miejskiej przestrzeni. Najgłośniejszą ich akcją, do której jeszcze wrócimy, jest interwencja w moskiewskim soborze Chrystusa Zbawiciela. 21 lutego tego roku pięć członkiń grupy w czasie nabożeństwa zaśpiewało tam „Bogurodzico, przegoń Putina”.

Skojarzenie z sytuacjonizmem jest tu jak najbardziej na miejscu. 9 kwietnia 1950 r., w Niedzielę Wielkanocną, czterech uczestników awangardowej grupy, później znanej jako Międzynarodówka Lettrystyczna, wkroczyło do wypełnionego po brzegi kościoła Notre Dame i podmieniając księdza na przebranego w habit dominikanów aktywistę, oskarżyło Kościół katolicki o „śmiertelne przekształcenie naszych sił vitalnych na rzecz pustego nieba”. „Skandal w Notre Dame” wzbudził, podobnie jak moskiewski performance Pussy Riot,

często oczekuje się od kobiet. Nie interesuje ich również komercyjne wykonywanie utworów i koncertów. Są w tym podobne do amerykańskiej grupy feministycznej Guerilla Girls, która konsekwentnie, od początków aktywizmu jeszcze w latach 80. występuje w maskach goryli, tłumacząc to niechęcią do komercyjnego wykorzystywania wizerunku kobiet.

Do każdego występu Pussy Riot starannie przygotowują nie tylko utwór, lecz też scenografię wkroczenia na miejsce akcji oraz strategię ucieczki. Istotnym elementem wizerunku grupy jest anonimowość. Uczestniczki zespołu noszą kolorowe kominiarki i występują pod pseudonimami. Liczba osób w zespole nie jest do końca znana, czasami w koncertach biorą udział trzy solistki, czasami osiem. Media przeważnie podają liczbę około



Pikieta w sprawie uwolnienia członkiń Pussy Riot. Na zdjęciu na poprzedniej stronie Nadieżda Tołokonnikowa

→ 30 aktywistek. Są w zespole również asystenci, którzy filmują performance i pomagają w ucieczce przed policją. Zarejestrowane akcje Pussy Riot zamieszczają na portalu YouTube. W jednym z wywiadów wokalistki zadeklarowały, że niemal każdy może wystąpić pod ich wizerunkiem i zaśpiewać swój utwór.

Uważając, że protesty na placu Błotnym nie przyniosły pożądanego efektu, artystki wybrały ostrzejszą formę działań. Śpiewają punk na żywo na dachach moskiewskich trolejbusów, w metrze, ekskluzywnych sklepach, przed budynkiem moskiewskiego więzienia, na placu Czerwonym. Podobną akcję zorganizowała grupa Voina w 2009 r., podczas procesu organizatorów wystawy „Zakazana sztuka – 2006”. Troje członków Voiny zostało aresztowanych, za artystami opowiedział się jednak Banksy i wpłacił za nich wysoką kaucję. Aktywistów grupy Voina – niedawno reprezentowanych na berlińskim Biennale oraz na festiwalu Art Boom w Krakowie – nadal czeka proces.

Na początku lipca w sprawie Pussy Riot wypowiedział się zespół Faith No More, którego

wokalista Mike Patton udostępnił podczas koncertu w Moskwie scenę trzem wokalistkom grupy, a następnie wykonał jeden utwór w kominiarce, nawiązując w ten sposób do stylizacji rosyjskich feministek. Artystki uzyskały również poparcie Terry'ego Gilliana oraz frontmana grupy Beastie Boys, Adama Horovitz. 10 lipca flash mobem „Free Pussy Riot” otworzyło się III Międzynarodowe Biennale Sztuki Młodych w Moskwie. W Paryżu ma aktualnie miejsce wystawa poświęcona grupie. Swoje poparcie dla zespołu zademonstrował również zespół Red Hot Chili Peppers na lipcowym koncercie w Sankt Petersburgu.

Wygonić z nich diabła

Lutowa akcja trwała tylko 41 sekund, a jednak skutecznie obnażyła podział w społeczeństwie, a także w samej Cerkwi. „Bogurodzico, przepędź Putina!” – śpiewały spod ikonostasu, krytykując upolitycznienie moskiewskiej Cerkwi i otwarte poparcie patriarchy Cyryla dla Putina w kampanii prezydenckiej. W publicznych mediach, jak również na niektórych

forach internetowych, pojawiły się nawoływania do jak najsurowszego ukarania „błazniaczyń”. Retoryka dyskusji przypomina częsty krok średniowieczne polowanie na czarownic. Najbardziej żądni kary sugerują wychłostanie kobiet na placu Czerwonym, odebranie im dzieci, zaproszenie egzorcysty, który „wygna z nich diabła”. Zgodnie z radziecką tradycją w akcji wietrzy się również spisek służb zachodnich. Niektórzy są przekonani, że za akcją stoi Borys Bieriezwowski, ponieważ, jak wiadomo, kobiety swojego rozumu nie mają.

3 marca 2012 r. na polecenie prokuratury dwie artystki z grupy Pussy Riot – Nadieżda Tołokonnikowa i Marija Alohina – zostały aresztowane. 15 marca dołączyła do nich Jekaterina Samucewicz. Przedstawiono im zarzuty, kwalifikując ich akcję jako zorganizowane chuligaństwo na gruncie politycznej i religijnej nienawiści w stosunku do określonej grupy społecznej, czyli ten sam artykuł z jakiego wcześniej oskarżono przedstawicieli grupy Voina. Od tamtej pory kobiety przetrzymywane są w areszcie, który już

trzykrotnie został im przedłużony, ostatnio do stycznia 2013 r.

Członkini grupy aresztowano najpierw rekonesans dla „ochrony przed oburzonymi wierzącymi”, później – by nie utrudniały śledztwa. Warto tu może podkreślić, że dwie z trzech zatrzymanych to matki małych dzieci. Atmosferę wokół punk modlitwy podgrzewa również reakcja moskiewskiego patriarchatu, który wzywa wiernych do jednoczenia się w walce przeciwko antychrześcijańskiej nagonce. Członkini Pussy Riot przez patriarchów są nazywane inicjatorkami tej nagonki i winnymi zbezczeszczenia prawosławnych świątyń.

22 kwietnia przy soborze Chrystusa Zbawiciela Cerkiew zorganizowała „ogólnonarodową modlitwę” w obronie wiary prawosławnej, przypominającą bardziej wiec polityczny i manifestację siły. Taka postawa patriarchów jest jednak poddawana krytyce przez część wierzących. Przypominają oni o najważniejszych cechach chrześcijaństwa – przebaczeniu i miłosierdziu. Nawet w opinii niektórych duchownych akcja Pussy Riot mieści się raczej w kategorii uprawomocnionej błazenady okresu Masłenicy (występ odbył się w ostatni wtorek karnawału), w związku z tym uczestniczki nie zasługują na karę pozbawienia wolności. Klucznik soboru Chrystusa Zbawiciela ujawnił, iż ołtarz cerkwi nie został zbezczeszczony, a więc nie wymaga ponownego poświęcenia.

Ochrona przed nagonką

Śledczy prowadzący sprawę zamówili już trzy psychologiczno-lingwistyczne analizy tekstu, zaśpiewanego przez Pussy Riot w soborze Chrystusa Zbawiciela. Dwie z nich, wykonane przez Centrum Technologii Informacyjnych i Analitycznych w Moskwie, nie wykazują cech roszewienia politycznej i religijnej nienawiści. Trzecia zamówiona została u innych analityków. Ta ostatnia wreszcie zadowolili śledczych i 7 czerwca postępowanie przygotowawcze zostało zakończone.

Tołokonnikowa, Alohina i Samucewicz przetrzymywane są w areszcie bez możliwości widzenia się z rodziną. Uznawanie tego środka „ochrony kobiet przed nagonką” jest absurdalne, do tego zaprzecza prorodzinnej ideologii państwa i Cerkwi. Dla porównania, byłemu milicjantowi i jednemu z oskarżonych o zabójstwo Anny Politkowskiej sąd w maju zmienił tymczasowy areszt na domowy.

Obroncy procesowi Pussy Riot wskazują na polityczny kontekst całej sprawy. Już 23 marca rosyjski Związek Solidarności z Więźniami Politycznymi uznał Tołokonnikową, Alohinę i Samucewicza za więźniarki

polityczne, zaznaczając, że w ich działalności nie ma cech przestępstwa, o które są oskarżane, w związku z tym prześladowanie ich jest bezprawne. 3 kwietnia Amnesty International ogłosiła wokalistki Pussy Riot więźniarkami sumienia. Przeciwnie karze siedmiu lat pozbawienia wolności protestowali Human Rights Watch, a także przedstawiciel ONZ. W Polsce odbyły się liczne happeningi i wydarzenia artystyczne na rzecz uwolnienia Pussy Riot, w tym dwa na krakowskim Rynku. Artystka Aleksandra Polisie-wicz zadedykowała swoją pracę „Abiekty militarne” wystawianą w Petersburgu uwięzionym członkiniom grupy, zaś polskie media obficie raportują wydarzenia, nie szczędząc krytyki władzom Rosji.

27 czerwca artystyczna elita Rosji wystąpiła z listem otwartym do Sądu Najwyższego FR oraz Sądu Miejskiego w Moskwie, prosząc o wolność dla Pussy Riot i stwierdzając, że ta kryminalna sprawa podważa reputację systemu sądowego oraz zaufanie do władzy.

W lipcu na kolejnym posiedzeniu sądu, przychylając się do wniosku oskarżenia, sędzia przymusowo skrócił adwokatowi artystek czas na zapoznanie się z materiałami sprawy (a jest ich siedem tomów). W ten sposób obrona najprawdopodobniej podejdzie do procesu niedostatecznie przygotowana. 9 lipca oczekiwano, że moskiewski sąd miejski uzna zażalenie obrony i zamieni areszt kobiet na inny środek zapobiegawczy (kaucje, domowy areszt, zakaz opuszczenia kraju). Tak jednak się nie stało i wniosek został odrzucony jako niemający wystarczająco mocnych podstaw. Chociaż za aresztowane piśmienniczo i pieniężnie ręczyło mnóstwo osób, za Tołokonnikową – 53, za Alohina – 56, za Samucewicza – 54, w tym właściciel jednej z ważniejszych gazet w Moskwie. Oczywiście nie zostało to uwzględnione przez sąd.

Wiele wskazuje na to, że pokazowy proces Pussy Riot będzie szybki, a wyrok kilku lat więzienia – realny. Dotychczasowe ruchy wymiaru sprawiedliwości Rosji w odpowiedzi na reakcje opinii publicznej wydają się być coraz bardziej aroganckie. Od momentu pojawienia się listu rosyjskich artystów śledczy i sąd, śpiesząc się, działają z naruszeniem przepisów proceduralnych. Akt oskarżenia jako podstawę podaje administracyjno-dyscyplinarne postanowienie soborów powszechnych z IV i VII w.

30 lipca, tuż po otwarciu igrzysk olimpijskich, w Moskwie ruszył proces przeciw artystkom. Obudzono je o 5 rano i przez kilka godzin trzymano w ciasnym pomieszczeniu, bez posiłku. W kolejnych dniach wypowiedzieli się

świadkowie oskarżenia – jeden poczuł się tak poruszony happeningiem Pussy Riot, że „nie mógł pójść do pracy przez dwa miesiące”, innego obraża samo słowo „feminizm”. Drugiego dnia procesu artystki oświadczyły, że przepraszają wszystkich obrażonych. Przeprasziny nie zostały przyjęte, proces trwa.

Czemu milczy opozycja?

Z obserwacji wydarzeń wokół Pussy Riot wynika jednak pytanie: dlaczego tzw. bołotnaja opozycja nie walczy aktywnie o wolność i prawa wokalistek? Czy to możliwe, że ostra akcja i zdecydowane zabranie głosu przez kobiety wystraszyły opozycyjnych liderów? Słysząc oczywiście wypowiedzi, że tak długi areszt i samo oskarżenie nie mają podstaw prawnych, ale tym komentarzom niemal zawsze towarzyszą zastrzeżenia, że sama akcja była „idiotyczna”, lub też, że patriarcha Cyryl powinien wziąć się za nawrócenie wokalistek na drogę wiary. Albo że Pussy Riot zrobiły to dla reklamy. Trudno jednak nie zauważyć, że pięciomiesięczny pobyt w areszcie (tu trzeba podkreślić, iż areszt tymczasowy podczas postępowania przygotowawczego stosuje się w Rosji zazwyczaj wobec podejrzanych o zabójstwo) przekracza granice „działań reklamowych”.

Co by się stało, gdyby na ambonę z krytyką władzy i politycznego zaangażowania Cerkwi wyszli mężczyźni? Czy ich wystąpienie byłoby bardziej do przyjęcia? Estetykę i wartość artystyczną akcji Pussy Riot można kwestionować lub nie. Lecz czy naruszanie praw człowieka nie wymaga zdecydowanej obywatelskiej postawy i podjęcia działań? I czy swoboda słowa i przestrzeganie praw człowieka nie są głównymi hasłami na sztandarach protestującej opozycji?

Anna Politkowska opisywała taką sytuację zaobserwowaną w Moskwie: nieopodal miejsca, gdzie bandyci znęcali się nad przywiązaną do drzewa ofiarą, ktoś spokojnie wyprowadzał psa na spacer. Akcja Pussy Riot postawiła rosyjskie społeczeństwo w niewygodnej sytuacji wyboru, którego nie da się uniknąć, ponieważ już samo milczenie i obojętność oznaczają wybór. Kobiety postawiły zasadnicze pytania: wierzącym – o istotę wiary, władzy – o stan demokracji, opozycjonistom – o sedno wolności, a nam wszystkim o to, czy można biernie przyglądać się ostrym działaniom władzy. ●

Anastasia Nabokina jest absolwentką Moskiewskiej Akademii Choreografii i Uniwersytetu Jagiellońskiego, pierwszą solistką Opery Narodowej w Warszawie, obecnie krytyczką sztuki.
Dr Ewa Majewska jest feministką, filozofką kultury, aktywistką.



Wolność wyhamowana

ADAM BODNAR, DOMINIKA BYCHAWSKA-SINIARSKA

Prezydent Władimir Putin zabrał się za dokręcanie śruby w sferze praw i wolności obywatelskich

Podczas gdy za rządów Medwediewa doszło do delikatnej odwilży, Putin wyraźnie postanowił zdławić wszelkie ruchy protestu, tak aby w przyszłości nie zdarzały się już żadne niespodzianki. Dla rosyjskich organizacji pozarządowych i społeczeństwa obywatelskiego rozpoczęła się jazda bez trzymanki w stronę regresu demokracji. Kolejne ustawy zamykają im kanały komunikacji oraz utrudniają działania. Rada Praw Człowieka praktycznie przestaje istnieć, a dziewczyny z Pussy Riot zaczynają powoli odgrywać rolę współczesnego Solżenicyna.

Czym naraziły się ngosy? Między innymi za angażowaniem w trwające od grudnia 2011 r. protesty przeciwko władzy Jednej Rosji, partii prezydenta Putina. Demonstracje nie wygasły także po marcowych wyborach prezydenckich. Społeczeństwo wspierane przez organizacje pozarządowe chciało udowodnić, że Rosja się zmienia, że oczekuje demokratycznych standardów europejskich. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać – niespełna trzy miesiące po wyborze nowego prezydenta staliśmy się świadkami poważnych zmian zarówno w sferze stanowienia, jak i wykonywania prawa. Sygnał jest jeden – prawa człowieka nie mogą stwarzać najmniejszego zagrożenia dla jednolitej władzy.

Wolność zgromadzeń

Po zgromadzeniu w Moskwie 7 czerwca – w dzień objęcia urzędu przez prezydenta – rozpoczęto przyspieszone prace nad ustawą wprowadzającą zmiany w prawie o zgromadzeniach i w kodeksie wykroczeń administracyjnych. Władimir Putin podpisał nowelizację jeszcze w tym samym miesiącu. Z 1 tys. rubli (około 100 zł) do 300 tys. rubli (około 30 tys. zł) podniesiono kary dla osób fizycznych za zorganizowanie spontanicznego zgromadzenia lub za zorganizowanie zgromadzenia pomimo wydanego zakazu (co jest normą, bo władze wykorzystują różne zabiegi formalne, aby generalnie zakazywać zgromadzeń). Kara za nielegalne zgromadzenie zainicjowane przez osoby prawne (np. organizacje pozarządowe) wzrosła do 1 mln rubli (około 100 tys. zł). Można będzie także karać za przekroczenie liczby zgłoszonych uczestników czy też zmianę trasy marszu lub demonstracji. Ponadto osoby protestujące w maskach będą podlegały karze ograniczenia lub pozbawienia wolności.

Wolność słowa w Internecie

Rewolucje w państwach arabskich pokazały, do czego może dojść, gdy demonstranci i organizacje pozarządowe sprawnie korzystają z serwisów społecznościowych i komunikacyjnych. Internet zagraża władzy. Po grudniowych wyborach parlamentarnych w Rosji krążyły w sieci nagrania wideo ukazujące oszustwa wyborcze. Nie dziwi zatem, że władze rosyjskie zabrały się także za regulowanie Internetu.

Ustawa o „ochronie dzieci przed informacją godzącą w ich zdrowie i rozwój” przyjęta 12 lipca 2012 r. zabrania rozprzestrzeniania informacji dotyczących pornografii, narkotyków lub sposobów popełnienia samobójstwa oraz „wszelkich innych informacji, których

rozprzestrzenianie jest zakazane na terytorium Federacji Rosyjskiej”. Ustawa wprowadza rejestr, w który wpisywane będą nazwy domen oraz adresów sieciowych w Internecie zawierające informacje prawnie zakazane do rozprzestrzeniania. Ustawodawca nie określił w sposób precyzyjny, jakie treści będą powodowały, iż strona trafi do rejestru. Prawo to dotyczy wszystkich użytkowników Internetu, nie przewiduje ono również możliwości odwołania się od decyzji o umieszczeniu strony w rejestrze. Po wpisaniu strony bądź adresu IP na listę dostawcy usługi musi poinformować o tym fakcie właściciela strony, który z kolei jest zobligowany do jej całkowitego zamknięcia w ciągu 24 godzin. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że informacje w sieci będą automatycznie filtrowane w celu wychwytywania stron niedozwolonych. W proteście niektóre domeny, w tym rosyjska Wikipedia, zawiesiły czasowo swoją aktywność.

W Polsce otarliśmy się o podobną regulację w 2010 r. przy okazji prac nad ustawą hazardową. Z tą różnicą, że u nas protesty internautów i organizacji pozarządowych zostały wysłuchane, a prace nad przepisami godzącymi w wolność słowa zaniechane. Co więcej, polski projekt przewidywał formę kontroli sądowej, a w Rosji myślenia nastawionego na sprawiedliwe procedury ze świecą szukać.

Wolność stowarzyszania

Następny dzień – 13 lipca 2012 r. – przyniósł ustawę uderzającą w organizacje pozarządowe, które otrzymują granty z zagranicy i uczestniczą w życiu politycznym. Otrzymują one status „organizacji pełniących funkcje zagranicznych agentów” i zostaną objęte restrykcyjną kontrolą ze strony państwa. Już samo sformułowanie „zagraniczni agenci” ma na celu wywołanie określonego wrażenia w społeczeństwie. Politycy rosyjscy nie ukrywają, iż szczególnie drażnią ich granty przekazywane przez fundacje amerykańskie.

Ustawa zakłada, że organizacje takie będą musiały w ciągu 90 dni od wejścia jej w życie wpisać się do specjalnego rejestru. Będą zmuszone wszystkie swoje publikacje, w tym internetowe, opatrzyć adnotacją o statusie „zagranicznych agentów”. Ponadto organizacje muszą przedstawiać raporty ze swojej działalności i będą poddawane audytowi co pół roku. Za niedopełnienie tych wymogów będzie im groziła grzywna równoważności ok. 30 tys. zł oraz kara dwóch lat więzienia. Inspekcje organizacji będą przeprowadzane na podstawie każdej, choćby anonimowej skargi co do ich „ekstremistycznej” działalności. →

→ Można się spodziewać, że selekcja organizacji do audytu dokonywana będzie w sposób arbitralny. Najprawdopodobniej na celowniku jest monitorujące wybory stowarzyszenie Gołos, które wykazało szereg fałszerstw i nieprawidłowości w czasie ostatnich wyborów prezydenckich. Już teraz przedstawiciele tej organizacji pod byle pretekstem są zatrzymywani i karani.

Ustawa rodzi niebezpieczne konsekwencje nie tylko dla samej Rosji, ale jej skutki mogą się również rozlać na państwa Azji Centralnej. Jej przyjęcie nastąpiło w niespełna dwa tygodnie po przyjęciu przez Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy, której członkiem jest Rosja, rezolucji na temat sytuacji obrońców praw człowieka. Wezwano w niej państwa członkowskie do zaprzestania rzucania na organizacje broniące praw człowieka oskarżeń, jakoby prowadziły działalność ekstremistyczną lub były zagranicznymi agentami bez wystarczających podstaw.

Zniesławienie

Zwalczanie niezależnych mediów odbywa się w Rosji przede wszystkim metodą eliminacji, pobicie i zastraszanie niewygodnych dziennikarzy. Także regulacje prawne wpływają negatywnie na granice wolności mediów.

Pod koniec zeszłego roku Rosja zniosła odpowiedzialność karną za zniesławienie, przenosząc ją do kodeksu wykroczeń administracyjnych. Nawet w Polsce jeszcze nie zdecydowano się na taki ruch. Demokratyczna zmiana nie trwała zbyt długo. 12 lipca 2012 r. Duma w pierwszym czytaniu przyjęła ponowną kryminalizację zniesławienia. Zgodnie z nową ustawą osobom, które się go dopuściły, grozi pozbawienie wolności do pięciu lat oraz grzywna do 500 tys. rubli (około 50 tys. zł). Ustawa wywołała natychmiastowy

protest Dunji Mijatovic, specjalnego sprawozdawcy ds. wolności słowa OBWE. Utrzymywanie przestępstwa zniesławienia w kodeksach karnych wywołuje tzw. mrozący skutek, powstrzymując dziennikarzy i media od informowania o działaniach władzy i od pełnienia roli „publicznego stróża”. Sankcja do pięciu lat więzienia i tak wysokie grzywny są bezprecedensowe w Europie.

Prezydencka Rada Praw Człowieka

W ostatnich miesiącach obserwujemy także stopniowy upadek znaczenia Prezydenckiej Rady ds. Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i Praw Człowieka. Ten organ doradczy działający przy prezydencie Federacji Rosyjskiej miał istotne znaczenie dla kształtowania polityki władz w zakresie praw człowieka, a także relacji z organizacjami pozarządowymi. W jego skład wchodziło wiele osób zasłużonych dla ochrony praw człowieka w Rosji, jak choćby Liudmiła Aleksiejewa, szefowa i jedna z założycielek Moskiewskiej Grupy Helsińskiej. Co więcej, w ostatnich latach Rada wydała także niezwykle krytyczne opinie dotyczące np. rzetelności procesu Michaiła Chodorkowskiego czy odpowiedzialności za śmierć w więzieniu prawnika Siergieja Magnickiego.

Władimir Putin znalazł jednak sposób również na Radę. Brak reakcji ze strony władz na jej opinie i zalecenia oraz sprzeciw wobec fałszerstw wyborczych spowodowały rezygnację kilku członków Rady. Jednak czarę goryczy przelał zaproponowany nowy tryb powoływania członków Rady – za pomocą głosowania w Internecie. Jakby na to nie patrzeć, wybory do tego typu ciała nie powinny być dokonywane na zasadzie konkursu piękności. Zachodzi także podejrzenie, że gdyby już doszło do wyborów, to większość zdobyliby kandy-

daci popierani przez Jedną Rosję lub też młodziśków Nas. Rada przestanie być wtedy miejscem dla wybitnych autorów i ekspertów, a stanie się ciałem fasadowym. W ten sposób jeden z nielicznych organów kontrolnych w praktyce zniknie ze sceny politycznej.

Bogurodzico, przełoń Putina

Wykonanie piosenki „Bogurodzico, przełoń Putina” w moskiewskiej cerkwi przez zespół Pussy Riot spowodowało aresztowanie członków grupy. Niedawno areszt został po raz kolejny przedłużony – zostaną pozbawione wolności co najmniej do 12 stycznia 2013 r. Stopniowo stają się one symbolem ruchu dysydenckiego w Rosji, współczesną odmianą Solidarności. W ich obronę angażują się rosyjscy intelektualiści i artyści, ale także zagraniczni muzycy – jak ostatnio Red Hot Chili Peppers na koncercie w Sankt Petersburgu.

Sprawa „Pussy Riot” to dla Putina nie tylko pokazanie tego, co sądzi na temat wolności słowa i twórczości artystycznej. To także umocnienie własnych relacji z Cerkwią. W ostatnich latach widać, że Cerkiew uzyskuje stopniowo status Kościoła państwowego. Sprawa Pussy Riot może być atrakcyjna dla moskiewskich i petersburskich elit, ale bezwzględne podejście do rzekomego obrażenia świętego miejsca może wzmocnić poparcie dla Putina u hierarchów prawosławnych i wśród szerokich mas ligijnych mas społecznych (więcej o Pussy Riot na str. 24)

Bezradny świat

Ostatnie wydarzenia pokazują wyraźnie, że Rosja Putina nie będzie tolerować społeczeństwa na ulicach, krytyki dygnitarzy w sieci, nadmiernie aktywnych organizacji społecznych czy artystów. Świat alarmuje. Stanowiska w tej sprawie wydali m.in. Navi Pillay, wysoki komisarz Narodów Zjednoczonych ds. praw człowieka, komisarz praw człowieka Rady Europy oraz Thorbjorn Jagland, sekretarz generalny Rady Europy. Czy to jest w stanie powstrzymać tak poważny demokratyczny regres? Wygląda na to, że na kolejną kadencję Putin zaplanował jazdę bez trzymanki w odwrotnym kierunku niż demokratyzacja i prawa człowieka. Zachód chwilę poprotestuje, potem się przyzwyczai i jak zawsze będzie robił z Rosją biznes.

Adam Bodnar jest wiceprezesem zarządu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka oraz adiunktem w Zakładzie Praw Człowieka WPIA UW.
Dominika Bychawska-Siniarska jest koordynatorką programu „Europa Praw Człowieka” oraz dyrektorem Obserwatorium Wolności Mediów w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Sergej Chirikov/PAP/EPA

Ekonomista zaangażowany

Kiedy 31 lipca dowiedzieliśmy się o śmierci profesora Tadeusza Kowalika, niektórzy nie dowierzali – wszak jeszcze nie tak dawno można go było spotkać spacerującego szybkim krokiem po warszawskim Polu Mokotowskim lub na jakiejś konferencji naukowej setki kilometrów od stolicy. Nawet podczas krótkich pobytów w szpitalach trudno było w nim rozpoznać pacjenta – na jego łóżku zawsze porozkładane były gazety, a on sam z pasją oddawał się lekturze i komentarzom. Trudno było uwierzyć, że od kilku lat zmagając się z ciężką chorobą. Trudno jest się pogodzić z jego odejściem. W przypadku profesora Kowalika trzeba bowiem odwrócić tyleż popularne, co cyniczne powiedzenie i stwierdzić, że są ludzie, których zastąpić się nie da. On właśnie taki był – dla swych najbliższych i przyjaciół, dla życia intelektualnego w naszym kraju, dla polskiej lewicy oraz myśli ekonomicznej.

Tadeusz Kowalik należał do pokolenia najlepszych ekonomistów w historii Polski. Współpracował ze starszymi od siebie Oskarem Langem, Włodzimierzem Brusem, Michałem Kaleckim i Kazimierzem Łaskim. Był uważnym czytelnikiem Róży Luksemburg. Jej teoria imperializmu była stałym elementem jego myślenia o kapitalizmie. Kowalik nigdy nie wierzył w niewidzialną rękę rynku, nigdy nie zapominał, że historyczna ekspansja kapitalizmu znaczone była morzem krwi – ofiar kolonializmu, wojen imperialistycznych, barbarzyńskiej eksploatacji całych narodów.

Uważano go za keynesistę, choć szedł znacznie dalej i sięgał głębiej niż sam John Maynard Keynes. Trafniej byłoby mówić o nim jako o przedstawicielu szkoły Michała Kaleckiego – polskiego uczonego uznawanego dziś za największego ekonomistę XX w. Wyjątkowość Kowalika polegała na tym, że w centrum myślenia o gospodarce potrafił umieścić perspektywę antagonizmu klasowego, a samo uprawianie ekonomii uczynić elementem zaangażowania społecznego po stronie wyzyskiwanych. Dzięki temu nie dał się nabrać na modne idee wrodzaju końca pracy, końca historii, kapitalizmu kognitywnego, zderzenia cywilizacji czy trzeciej drogi. Wolał stać twardo na ziemi, analizując realnie istniejący kapitalizm – z jego rosnącymi nierównościami, biedą, strukturalnym bezrobociem, rządami finansjery i oligarchii bezpośrednio zagrażającymi demokracji,



Tadeusz Kowalik (1926–2012), wybitny ekonomista, teoretyk społeczny, naukowiec i publicysta, działacz polityczny. Przez całe życie związany z lewicą pracowniczą. Jego biografia znakomicie ilustruje złożoność powojennej historii Polski: od autentycznej rewolucji otwierającej drogę awansu społecznego milionom ludzi i zapewniającej bezprecedensowy skok cywilizacyjny, przez polityczną klęskę dyktatorskich rządów PZPR i ekonomiczny upadek PRL po rozwój lewicowej i związkowej opozycji, zarówno w okresie realnego socjalizmu, jak i realnego kapitalizmu. Dwudziestolatek z podlubielskiej wsi inicjację polityczną przeszedł w 1946 r. w Związku Młodych, dwa lata później wstąpił do PZPR. Jak redaktor naczelny „Życia Gospodarczego” uczestniczył w przełomie października 1956 r. Pod jego kierownictwem pismo wyrosło na główną trybunę reformatorskiego nurtu w polskiej ekonomii. Zwolniony za rewizjonizm podjął współpracę z Klubem Krzywego Koła. W 1968 r. usunięto go z PZPR. Później były KOR, Towarzystwo Kursów Naukowych, doradzanie podczas strajku sierpniowego w Stoczni Gdańskiej (1980), działalność w podziemnej „Solidarności”. Jeszcze później próba oparcia transformacji systemowej na doświadczeniach skandynawskich, a po jej porażce konsekwentna opozycja wobec modelu neoliberalnego instalowanego w Polsce pod auspicjami mFW i wielkiego kapitału europejskiego. Był współzałożycielem Unii Pracy, współpracował z wieloma środowiskami lewicowymi, wspierając je swoją wiedzą, doświadczeniem i energią.

wreszcie z nawracającymi coraz gwałtowniej kryzysami. Obecne załamanie gospodarcze nie było więc dla niego zaskoczeniem. Wiedział, że w kryzysie strukturalny problem związany z finansjeryzacją systemu i neoliberalną globalizacją trwającą od lat 80. minionego wieku. Dostrzegał też społeczny wymiar kryzysu – pracowników i biednych, którzy płacą dziś za błędy bankierów, podobnie jak do niedawna płacili za ich sukcesy.

Szukając alternatyw, wskazywał na doświadczenia państw dobrobytu ery powojennej oraz na model skandynawski. Odrzucał ślepy determinizm ekonomiczny. Uważał, że jest przynajmniej kilka kapitalizmów (skandynawski, anglosaski, nadreński) i już choćby dlatego zawsze mamy wybór. Inaczej niż wielu

keynesistów wiedział, że państwowy interwencjonizm to za mało. Potrzebna jest autentyczna kontrola społeczna realizowana za pośrednictwem silnych organizacji pracowniczych.

Tadeusz Kowalik napisał wiele ważnych książek, ale także służył pomocą innym autorom. To m.in. dzięki jego uwagom w „Doktrynie szoku” Naomi Klein tak dobrze opisała polską transformację. Do końca pracował nad książką o ekonomistach tej epoki i nad nowym wydaniem pracy o poglądach ekonomicznych Róży Luksemburg. Dzień po śmierci profesora w Stanach Zjednoczonych ukazało się tłumaczenie jego „Polskiej transformacji”.

Nie miałem szczęścia być jego studentem, miałem natomiast zaszczyt być przyjacielem. Przemysław Wielgosz

Dziadek z KPP

Nie ma chyba bardziej znienawidzonej w Polsce organizacji niż Komunistyczna Partia Polski. 16 sierpnia mija już 74. rocznica rozwiązania tej lewicowej organizacji. Mimo to pozostaje ona politycznym straszakiem, a dla prawicy synonimem „zdrady narodowej”

PRZEMYSŁAW WITKOWSKI

Dziadek w KPP to dla prawicy to samo, co dziadek w Wehrmachcie – wyznacznik braku „genetycznego patriotyzmu” i wyraźna przesłanka, by osobę o takim pochodzeniu traktować z rezerwą. Fraza „dziadek w KPP” daje w wyszukiwarce 51 tys. wyników. Przerzucanie się nazwiskami przodków związanych z przedwojennym ruchem komunistycznym bądź wstydlive milczenie na ich temat to standard w polskim życiu politycznym. Nie zmienia tego fakt, że ogół Polaków ma niewielkie pojęcie, czym była Komunistyczna Partia Polski. Zresztą nikt nie informację przekazywane w szkołach średnich stawiają znak równości między członkostwem w niej a targowicą.

Zarówno dawniej, ze strony historyków z Zakładu Historii Partii przy KC PZPR, jak i dziś, ze strony zatrudnionych w IPN, silne ideologiczne nastawienie przytłaczało obiektywizm w ocenie działań tej organizacji. Pierwsi mieszała hagiografię z przemilczeniem okresu czystek stalinowskich. Drudzy udowadniali, że partia ta była organizacją „zdrady narodowej” i dążyła do likwidacji państwa polskiego. Do tego marginalnie lub wcale nie tłumaczyli przyczyn takiego stanowiska. Pozwalało to sądzić, że wynikało ono z agenturalnego charakteru tej organizacji, a nie z ukształtowanej jeszcze w okresie zaborów ideologii, która stała się podstawą programu tej partii.

Wyzysk a sprawa polska

Od początku działania socjalistów w Polsce zauważyć można w ruchu podział na dwa wyraźne nurty. Z jednej strony na zwolenników internacjonalistycznego podejścia do kwestii narodowej, uznających, że przyszła rewolucja społeczna zniesie wszelkie formy ucisku. Stawiali oni walkę klasową ponad walkę narodowo-wyzwoleńczą. W drugim nurcie byli ci,

którzy uznawali za pierwszorzędną cel uzyskanie niepodległości, głównie PPS.

Internacjoniści skupieni w Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) oraz Polskiej Partii Socjalistycznej – Lewicy za priorytet uznawali sprawę rewolucji społecznej, zaś kwestię niepodległości uważali za drugorzędną, zakładając zarazem, że w warunkach kapitalizmu nawet najbardziej demokratyczny ustroj pozostanie ustrojem wyzysku ekonomicznego. Środowisko to uznawało podziały narodowe za element fałszywej świadomości narzuconej robotnikom, której celem było ukrycie podziałów klasowych. Takie były źródła ich entuzjazmu dla nienarodowych koncepcji budowania organizmów politycznych, takich jak republika rad.

W okresie odtwarzania się polskiej państwowości, gdy jej kształt i istnienie były w dużej mierze niepewne, partie radykalnej lewicy dążyły do realizacji w praktyce swojej wizji organizacji społecznej. Powstawały komitety folwarczne, fabryczne i kopalniane oraz rady delegatów robotniczych (na wzór niemieckich Arbeiterräte i rosyjskich Sowietów), a działacze SDKPiL i PPS-Lewica podnosili bolszewickie hasło – „cała władza w ręce rad”. Rady koordynowały działania strajkowe, prowadziły walkę o interesy bytowe robotników, dystrybuowały żywność, walczyły o ośmiogodzinny dzień pracy, organizowały bezpłatną naukę dla dzieci i służbę zdrowia dla robotników oraz podejmowały próby wprowadzenia kontroli robotniczej jako pierwszy krok w kierunku wywłaszczenia i uspołecznienia przedsiębiorstw. Organizowały również walkę o swobody demokratyczne – o wolną prasę robotniczą, o wolność organizacji, zebrania, wieców i strajków. Dochodziło do zamieszek i prób wywłaszczenia ziemian. W takiej atmosferze 16 grudnia 1918 r. działacze SDKPiL oraz PPS-Lewica połączyli swoje organizacje, tworząc Komunistyczną Partię Robotniczą Polski. Liczyła ona od 5–6 tys. do 10 tys.

członków, a geograficznie jej działalność obejmowała wszystkie części RP – także ukraińską i białoruską (organizacjami działającymi wspólnie z KPRP były Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy). Oficjalnym organem partii było pismo „Czerwony Sztandar”, a związane z KPP były także tytuły „Nowy Przegląd”, „Sztandar Socjalizmu”, „Dziennik Popularny” i „Miesięcznik Literacki”, w którym publikowali między innymi Władysław Broniewski, Aleksander Wat czy Bruno Jasieński.

Partia odrzucała koncepcję samodzielnego istnienia państwa polskiego, pragnąc związać kwestię rewolucji społecznej w II RP z powstaniem Rosji Radzieckiej i rewolucją w Niemczech. W jej mniemaniu po odrzuceniu optyki narodowej próba rozszerzenia rewolucji na ziemie polskie była naturalnym i zarazem pozytywnym krokiem. Przybliżała obalenie kapitalizmu, nie tylko na terenie II RP, ale także umożliwiające wsparcie ruchów rewolucyjnych w Niemczech i innych krajach Europy oraz ustanowienie także tam republiki rad. Co za tym idzie – zdaniem działaczy komunistycznych – wspierała postępek, wojnę i demokrację, kosztem reakcji, wyzysku i dyktatury burżuazji. Dlatego też po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny II RP w 1920 r. działacze KPRP rozpoczęli tworzenie w Białymstoku Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski i nawoływali do stworzenia Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad.

Bycie w II RP komunistą nie było lekkim kawałkiem chleba. Praktycznie od początku swojego działania organizacja była nielegalna. Formalnie rzecz biorąc, partie komunistyczne były tylko krajowymi sekcjami Międzynarodówki Komunistycznej, Kominternu. KPP tytułując się jej polską sekcją, stawiała się więc poza polskim prawem, gdyż zgodnie z nim legalne partie polityczne nie mogły mieć centralnego zarządu poza granicami Rzeczypospolitej. Komunistów spotykały liczne szyskanki,



Zjazd KPP, 1928 r.

ze strony organów państwa: areszty prewencyjne, pobicia, tortury, zabójstwa aktywistów, zawieszanie legalnych list wyborczych, infiltracja przez agenturę kontrwywiadu i ostatecznie Berezę Kartuska. Nie mogło to dziwić w kraju, w którym państwo strzelało do strajkujących, panował analfabetyzm, rozwarstwienie majątkowe i antysemityzm, a władze prowadziły oficjalną pacyfikację wsi ukraińskich. O tak szczytnych osiągnięciach II RP jak numerus clausus i getto ławkowe nawet nie wspomnę. Przez cały okres II RP liczba uwięzionych komunistów wynosiła stale około 2 tys. Mimo tego przez większość dwudziestolecia KPP posiadała w Sejmie reprezentację parlamentarną, liczącą od dwóch do 16 posłów.

Na zaproszenie z Moskwy

KPP niszczone walkami frakcyjnymi (takimi jak walka tzw. większości – Maria Koszutska (Wera Kostrzewa), Adolf Warski (Warszawski) z „mniejszością” – Julian Leński (Leszczyński), Jerzy Ryng (Heryng), Jan Bielecki (Paszyn) czy spory z trockistami), do tego nielegalna

na terenie RP, coraz bardziej traciła samodzielną charakter i od początku lat 30. realizowała głównie wytyczne z Moskwy. W latach wielkiego kryzysu (1929–1933) nawoływała do organizowania strajków kroczących, przeradzających się w ogólnokrajowy strajk powszechny, a następnie w powstanie. Angażowała się w rozbudowę bojówek partyjnych, urządzała demonstracje ulicznych, odbijanie aresztowanych, rozbrajanie policjantów, aby w połowie lat 30. zmienić radykalnie program i realizować stalinowską koncepcję frontu ludowego, głosząc obronę pokoju i niepodległości RP w kooperacji z innymi lewicowymi, a nawet centrowymi organizacjami. Wieloletni działacze ruchu robotniczego, tacy jak Koszutska, Warski czy Czeszejko-Sochacki, zostali odsunięci od kierowania partią.

Kres istnieniu KPP położyła tzw. wielka czystka przeprowadzona przez Stalina w latach 30. W roku 1933 w ZSRR rozstrzelano pierwszych polskich komunistów oskarżonych o „agenturę peowiacko-defensywiacką” i powiązania z trockizmem, a później innych

oskarżonych o „organizowanie sieci defensywno-prowokatorskiej” w KPP. Stalin dobrze zapamiętał krytykę, jakiej poddawali jego decyzje w latach 20. starzy działacze tacy jak Warski czy Koszutska. Zamordowano ok. 2–3 tys. polskich komunistów, a ocalali tylko działacze osadzeni w polskich więzieniach jak Alfred Lampe i Bolesław Bierut, ci działający poza granicami ZSRR i Polski oraz działacze niższego szczebla. 16 sierpnia 1938 r. Komintern oficjalnie rozwiązał KPP, jako „organizację przeżartą polską i trockistowską agenturą”, odpowiedzialną do tego za „rozsięwanie złudzeń demokratycznych” i „podkreślanie narodowego charakteru partii”. Większość komunistów do końca nie wierzyła, że nominalnie robotnicza władza radziecka może ferować fałszywe wyroki i skazywać niewinnych na śmierć. Przywódcy i działacze partii komunistycznej kolejno ufnie przyjeżdżali do Moskwy, by zginąć w więzieniu bądź w obozach pracy na Syberii.

PRL tworzyli już w dużym stopniu nowi ludzie.

Nie sądzę, by polityka koniecznie musiała wzbudzać silne emocje – wręcz przeciwnie, jestem już znużona chocholim tańcem, który codziennie przedstawiają politycy zachęceni przez media. Życie polityczne w Polsce składa się już właściwie prawie wyłącznie z wywoływania stanów euforycznych bądź seansów nienawiści, czyli krótko mówiąc, bezustannego grania na emocjach. Hańba, zdrada, wiwat – to słowa politycznej debaty. Stawianie zarzutu, że lewa strona w tym rytuale dołuje, jest dla mnie nieporozumieniem. Polityka potrzebuje wizjonerów – to prawda, ale niech wizje będą poparte rzeczową debatą. Brak konkretnych argumentów, popartych rzetelnymi danymi, brak analiz, które polski model sytuowałyby w szerszym, międzynarodowym kontekście, jest poważną pułapką. A przecież każdy merytoryczny argument sprawia, że debata polityczna staje się bardziej zniuansowana – przez co trudniejsza dla uczestników, ale na pewno sensowniejsza dla przyszłości społeczeństwa. Jeśli zaś w analizie sceny politycznej poprzestajemy na studiowaniu stanów emocjonalnych, na temperaturze, a nie na meritum, to efektem będzie tylko mniej lub bardziej sprawna rozkminka tego, kto komu ostatnio napłul do kapti.

Związki to podstawa, a nie obciążenie

Zuzanna Dąbrowska buduje obraz polskiej lewicy z kilku stereotypów. Jak lewica pozaparlamentarna – to rozdrobniona i bezproduktywna oraz rzecz jasna radykalna. Parlamentarna – nie ideowa. Oraz związki zawodowe żyjące w swoim osobnym uniwersum, w stałym podziale na biurokratę i katolika. Składa to się w jakąś całość. Czy coś jednak wnosi w sensie poznawczym? Mam co do tego szereg wątpliwości.

O polskiej lewicy łatwo jest pisać w tonie krytyczno-ubolewającym, ponieważ w ciągu 20 lat dyskurs polityczny, społeczny, gospodarczy przesunął się tak bardzo na pozycje neoliberalne oraz konserwatywne, że każde lewicowe hasło brzmi jak strzał z „Aurory”. Przykładem niech będzie debata o polityce społecznej. W Polsce operuje się hasłami takimi jak „relikt poprzedniego systemu” i „roszczeniowcy obciążający budżet państwa” – tymczasem w analizach porównawczych europejskich welfare states Polska wypada po prostu najgorzej, jako państwo absolutnego socjalnego minimum. Jednak to podnoszenie tematu biedy, wyrównywania szans i możliwości uznawane jest za populizm i radykalizm.

Najwygodniej jest krytykować przegrane sprawy, trudniej stawiać w ich obronie. Wolę szklanke do połowy pełną, zatem wolę taki

rodzaj debaty o lewicy, w którym nagłaśnia się fajne pomysły, a odchodzi się od diagnozy ubolewającej. Doprawdy, ile można słuchać o radykalizmie polityki pozaparlamentarnej albo nieruchawości związków zawodowych, z którymi nikt nie współpracuje? Owszem – tu nie sposób się nie zgodzić – partie polityczne od 20 lat współpracują ze związkami zawodowymi w sposób toksyczny – naobiecują, skorzystają na poparciu, a potem i tak będzie ze szkodą dla pracowników. Co jednak nie znaczy, że polski ruch związkowy funkcjonuje w społecznej próżni. Do „Tygodnika Solidarność” pisują publicyści określający się jako le-

Lewica z przyszłością

Lewa strona polskiej sceny politycznej jest bez ikry – tak można streścić diagnozę, którą zaprezentowała na łamach „Przekroju” 9 lipca 2012 r. Zuzanna Dąbrowska. Szkoda, że buduje ten obraz z wytartych klocków-pojęć

wica patriotyczna, skupieni wokół czasopisma „Nowy Obywatel”. OPZZ współorganizowało Polskie Forum Społeczne i współpracuje z grupą osób, które działalność lewicową prowadzą zarówno w formie naukowej, jak i społecznikowskiej. ZNP dystrybuowało „Biedę. Przewodnik dla dzieci” wydany przez „Krytykę Polityczną”. Poza tym fenomen białego miasteczka, czyli protestu Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych, aktywnie wspieranego przez różne lewicowe organizacje. WZZ Sierpień 80, który zawsze aktywnie uczestniczy w Manifie, czy OZZ Inicjatywa Pracownicza, którego działalność zasadza się na współpracy z lewicowym ruchem społecznym, czego efektem było poznańskie Porozumienie Żłobkowe, a teraz bezprecedensowy strajk w fabryce Chung Hong pod Wrocławiem.

Zgadza się – żaden z wymienionych przykładów nie porwał za sobą rzesz młodzieży. Prawda jest taka, że jedną z najliczniej-

szych demonstracji w ostatnich latach by
Marsz Niepodległości, reklamujący się pie
katami z zakrwawionymi, ale szczęśliwym
młodymi - bo słodko i zaszczytnie jest umie
rać za ojczyznę, choćby tylko w marzeniach.
Czyli znowu sfera emocji. Czy to jest jakaś
lekcja dla lewicowych działaczy i dział
czek? Moim zdaniem kompletnie nie. Trud
no się nie zgodzić z cytowanym przez Da
browską Michaeliem Katzem, że lewica musi
stworzyć język polityczny, przejąć publiczną
debata i sformułować cele. Krótko mów
iąc - pracować nad własną linią progra
mową, a nie widowiskowo się zakrwawiać.



JULIA KUBISA

cierzyństwie. Za jednym zamachem zdejmuje się matkę: Polkę z piedestału i oferuje jej większą swobodę, możliwość przyznania się do słabości i porażek, trudności macierzyństwa - ale i wyraźnie żąda aktywności państwa w tym zakresie - polecam lekturę rekomendacji fundacji MaMa. W kraju, gdzie hasło „rozdęte państwo socjalne” zostało znaturalizowane jako obiektywnie istniejące, jest to ważna zmiana - w sensie języka politycznego.

W różnorodności szansa

tem liberalnym do włączenia perspektywy klasowej - szklanego sufitu nie tylko dla menadżerek, ale i wizji rynku pracy, który dla kobiet jest trudny. Ten lewicowy feminizm, prezentowany przez Porozumienie Kobiet 8 Marca, fundację MaMa, pokazuje, że nie można wymagać, by kobiety radziły sobie same - jeśli chcemy równości, to musimy wydać na nią trochę kasy, finansując równościową politykę społeczną, a nie rzucając socjalne ochłapy najbiedniejszym i nie waloryzując progów uprawniających do pomocy społecznej. Lewicowemu feminizmowi udało się ciekawa rzecz - przejęcie dyskusji o rodzinie i ma-

nych odłamów, ale widzę w tym bardziej szansę niż zagrożenie – w świecie, w którym podziały funkcjonują w różnych wymiarach – stanu posiadania, klasy, płci, orientacji, sytuacji na rynku pracy czy obywatelstwie – potrzeba ruchu opartego na różnorodności. Paradoksalnie wydaje mi się to trwalszą strukturą niż partia opierająca się na charyzmie wodza – bo jak uczył Max Weber, taka organizacja nie ma przed sobą przyszłości. Lepiej różne kwestie przedyskutować i się na ich temat spierać, cały czas pozostając w szeroko pojętym lewicowym paradygmacie, niż się wstydić. Bo lewicowy język polityczny powoduje jednak w Polsce zawstydzenie – wystarczy spojrzeć na SLD i RP. Obie partie wpuściły na listy działaczy i działaczki społeczne w ostatnich wyborach parlamentarnych – tyle że SLD na dalszych miejscach, za to RP ze znacznie uboższym zapleczem „aparatu partyjnego”. Jednak żadna nie jest w stanie skonstruować całościowego politycznego przekazu opartego na rzetelnie lewicowych wartościach, bo zawsze koniec końców wyskoczy pakt z BCC albo poseł Gibała, jako że partie polityczne funkcjonują współcześnie w klasycznym błędnym kole, opierającym się na zmienności słupków poparcia i wyobrażonym elektoracie, który za nimi stoi. To tro-

chę tak jak z mediami informacyjnymi, które stale obniżają poziom przekazu na brutalniejszy i głupszy, mówiąc, że tego właśnie chce widz – choć trudno sobie wyobrazić, by widzowie pisali do redakcji: „Dajcie nam więcej głupoty”. Błędem partii lewicowych jest również nieumiejętność korzystania z intelektualnego zaplecza, mimo że po nie sięgają, jak w przypadku opracowań przygotowanych dla SLD przez Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassala. Tyle że, czy jest to słabość partii lewicowych, czy też partii politycznych w ogóle, nie wymaga się od nich merytorycznej debaty, tylko emocjonalnych wizji – i błędne koło się zamyka.

Dlatego właśnie wolę tę lewicę, która się swojego języka nie wstydzi. Wolę przyglądać się i kibicować temu, co robią Nowe Pe ryferia, Krytyka Polityczna, Nowy Obywa tel, Kooperatywa Spożycwców, Porozumie nie Kobiet 8 Marca, Lewica.pl i Lewica24. pl, Zieloni 2004, Związkowiec OPZZ, Think Tank Feministyczny i wielu innych. Chciałabym, by „Przekrój” był miejscem rzetelnej debaty o przyszłości lewicy i o tym, co le wicowość dla nas wszystkich znaczy, nawet jeśli znaczy klótnię. Spierajmy się – a nie tylko układajmy w nieskończoność te same zużyte klocki.

Lewica
całkiem bez wiary

[illegible][illegible][illegible][illegible]

In vitro: gra na czas

W Sejmie jest kilka projektów ustaw dotyczących metody zapłodnienia in vitro. Wielkie emocje wzbudził jakiś czas temu pomysł PiS, by karać tych, którzy ją stosują. Nie widać na razie, by mogła ukształtować się w parlamencie większość zdolna przyjąć jakiegokolwiek rozwiązanie w tej kwestii. Pat?

Małgorzata Kidawa-Błońska: Wierzę, że dojdzie do porozumienia i zostanie przyjęty rozsądny projekt, który ureguluje kwestie związane z in vitro. To, że pojawiają się pomysły skrajne, jest w parlamencie czymś naturalnym, ale to jeszcze nie znaczy, że takie rozwiązania, jakich chce PiS, mogłyby zostać przyjęte. Rozumiem, że prezesowi Kaczyńskiemu zależy na swoim elektoracie, na poparciu ojca Rydzyka, ale to jest pomysł nie do zaakceptowania. Fakt, że jest kilka różnych projektów, nie uniemożliwi nam uchwalenia dobrej ustawy, która dzisiaj jest niezbędna. W zeszłej kadencji podkomisja wypracowała taki projekt...

Wanda Nowicka: ... Pamiętam to dobrze, bo wtedy właśnie jako strona społeczna go przygotowywaliśmy. I nie udało się go przyjąć. Dlatego ja nie jestem taką optymistką. Od lat, jeszcze zanim zostałam posłanką, prowadząc organizację pozarządową Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, walczyłam o nowoczesną ustawę dotyczącą leczenia niepłodności, w tym zapłodnienia pozaustrojowego. To trwa już bardzo długo. Nie widzę na razie możliwości przezwyciężenia tego światopoglądowego podziału.

Dlaczego w poprzedniej kadencji nie udało się przyjąć ustawy?

M.K.-B.: Nasz zespół przygotował dobre projekty, które stanowiły podstawę do pracy w komisji. Niestety, zabrakło czasu – skończyła się kadencja.

W.N.: Dyskusja toczyła się od ok. 2005 r., jeszcze w czasie, kiedy wicepremierem była Izabela Jaruga-Nowacka, która dążyła do uchwalenia ustawy. Nikt wtedy nie kwestionował samej procedury i nie próbował ograniczać jej dostępności, istniała tylko kwestia refundacji – dla kogo i ile. W poprzedniej kadencji Donald Tusk powołał specjalną komisję, która miała się z powagą pochylić nad tym

Czy tysiące rodzin doczekają się uregulowania leczenia niepłodności, czy też padną ofiarą partyjnych gier? Z wicemarszałkinią Sejmu WANDĄ NOWICKĄ (Ruch Palikota) i posłanką MAŁGORZATĄ KIDAWĄ-BŁOŃSKĄ (Platforma Obywatelska) rozmawia Zuzanna Dąbrowska

problemem: eksperci mieli uzgodnić założenia zgodnej z osiągnięciami współczesnej nauki ustawy o in vitro oraz konwencji bioetycznej...

M.K.-B.: ... i skutecznie się pochyliła. Poznaliśmy złożoność problemów i różnice, których nie da się pogodzić.

W.N.: Niestety, skutek był taki, że w tym gronie, w komisji były osoby o bardzo zróżnicowanych poglądach, takie jak Jarosław Gowin i prof. Eleonora Zielińska – nie udało się wypracować wspólnego stanowiska. Komisja przygotowała więc dwa raporty. Wtedy właśnie powstał restrykcyjny projekt Gowina. Wtedy też kontrowersyjne stało się dla polityków prawicy samo stosowanie metody zapłodnienia in vitro. Kościół, choć najpierw zachowywał się wstrzemięźliwie, z biegiem czasu włączył się w dyskusję. Wywołano debatę publiczną, właściwie wojnę światopoglądową, pojawiły się wypowiedzi, takie jak biskupa Pieronka, który przyrównał dzieci urodzone dzięki in vitro do frankensteinów. Były to słowa wymierzone w ludzi, którzy chcą z metod zapłodnienia pozaustrojowego korzystać, i w dzieci w ten sposób poczęte. Temat, który nie był z początku kontrowersyjny, takim właśnie się stał. Katolikom właściwie publicznie zabroniono stosowania tej metody. Odpowiedzią na konserwatywny projekt Gowina był projekt Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Opinia publiczna była karmiona

mirażem, że są w PO różnice, ale w efekcie powstanie jedna wspólna propozycja ustawy. Tylko że PO nie była w stanie wypracować jednego projektu – złożono więc dwa.

M.K.-B.: Nasz zespół rozmawiał nie tylko z organizacjami pozarządowymi i przedstawicielami nauki, ale także Kościoła. Były to dla nas ważne i pouczające rozmowy, pozwalające na wyrobienie sobie własnego stanowiska. W Platformie panuje demokracja, u nas jest miejsce na dyskusję, na merytoryczne spory – w tym tkwi nasza siła. Zgadzałam się, że mniej skuteczne było złożenie dwóch projektów, ale mam nadzieję, że w tej kadencji złożymy jeden wspólnie wypracowany.

W.N.: Nie było też nadziei na to, że sytuację uratuje komisja powołana przez Donalda

Tuska, bo – jak podkreślali obecni w niej eksperci – jej prace zostały silnie zideologizowane na skutek obecności przedstawicieli Kościoła. Wtedy zainicjowaliśmy powołanie własnego, społecznego komitetu z Markiem Balickim, Izabelą Jarugą-Nowacką i szerokim gronem ekspertów: Eleonorą Zielińską, Jackiem Hołowką, Zbigniewem Szawarskim, Ewą Bartnik i wieloma innymi. W pracach komitetu brała także fundacja Nasz Bocian. Była to mieszanina środowisk politycznych, pozarządowych i eksperckich. Rezultatem naszej pracy był projekt złożony przez niezrzeszonego wówczas Balickiego, pod którym podpisali się posłowie SLD i kilku z innych klubów. Na ile się dało, szukaliśmy porozumienia ponad podziałami. „Na stole” były więc dwa projekty – z PO i nasz. Pod koniec kadencji powołano dwie komisje sejmowe: do rozpatrzenia konwencji bioetycznej, w której podstawą pracy był projekt poseł Kidawy-Błońskiej, i drugą, która pracowała nad naszym, społecznym projektem, przygotowując ustawę o leczeniu niepłodności. Ta komisja przyjęła nasz projekt z niewielkimi, aktualizującymi poprawkami.

Co się z nim stało?

W.N.: Ruch Palikota wniósł ten właśnie wypracowany przez komisję projekt w obecnej kadencji, a SLD zgłosił pierwotny projekt społeczny. Czyli jest to w pewnym sensie ten sam pomysł, tylko z innego okresu.

M.K.-B.: Uważam, że to nie do końca fair, że Ruch Palikota złożył projekt będący efektem prac przedstawicieli wielu środowisk, nad którym pracował Sejm w poprzedniej kadencji. A te tzw. niewielkie poprawki, o których mówi pani marszałek, wprowadzały znaczącą ochronę zarodka i miały ogromne znaczenie.

Dlaczego po zgodziła się wtedy przyjąć w komisji tak liberalny projekt?

W.N.: Bo nie zamierzała na niego głosować. Wiadomo było, że to już koniec kadencji.

M.K.-B.: Nie zgodzę się. W poprzedniej kadencji pracowaliśmy do ostatnich dni, aby zakończyć pracę nad projektem. Naszym celem było wypracowanie dobrego rozwiązania dającego

szansę uregulowania sprawy in vitro. Ważne, że wciąż trwa dyskusja i świadomość Polaków w kwestii in vitro oraz problemów bioetycznych jest coraz większa.

W.D.: Nie rozumiem tylko, dlaczego teraz ten sam projekt wzbudził wątpliwości u pani marszałek Ewy Kopacz co do zgodności z prawem unijnym. Dlaczego skierowała go do komisji ustawodawczej? Może chodzi znów o grę na czas, bo komisja rozszerzyła sama swoje kompetencje i postanowiła zbadać zgodność projektu z konstytucją? Zamówiono więc opinie, z których dwie uznają, że projekty RP i SLD nie są sprzeczne, a jedna twierdzi, że nie wykluczają się. Złożyliśmy projekt w listopadzie, leżał w niej wiele miesięcy... Komisja ustawodawcza wreszcie rozpatrzyła oba projekty i – o dziwo – projekt RP uznała za dopuszczalny, a projekt SLD za niedopuszczalny.

To, co powinno być kwestią rozwoju medycyny i co pomaga w walce z niepłodnością, nie powinno być bronią w polityce. Niestety jest. **M.K.-B.:** Proszę nie doszukiwać się drugiego dna. Obie doskonale wiemy, że projekt wypracowany w zeszłej kadencji nie został w pełni ukończony, więc naturalne jest, że pani marszałek Ewa Kopacz skierowała go do komisji ustawodawczej. Tak jak robi to ze wszystkimi projektami, które nie uzyskały pozytywnej opinii Biura Analiz Sejmowych. Naszym zadaniem jest dbałość o jakość stanowionego prawa.

Jarosław Kaczyński zaproponował ministrowi Gowinowi okrągły stół w sprawie in vitro. Może PiS zgłosił swój radykalny projekt po to, by konserwatywny projekt ministra Jarosława Gowina mógł być uznany za kompromis?

M.K.-B.: Nie wierzę w taką przebiegłość polityczną działaczy PiS. Pomysł okrągłego stołu jest próbą naprawienia błędu, jakim było złożenie wcześniej skrajnie radykalnego projektu. Prezes zorientował się, że przeszarżował, i teraz powoli w swoich wypowiedziach wycofuje się z tego projektu. PiS jednak projektu nie wycofuje. W Platformie toczy się wewnętrzna debata, są dwa projekty – jeden przygotowany przez nasz zespół, drugi przez Jarosława Gowina. To jest normalna dyskusja wewnętrzna, choć rzeczywiście nasze pomysły różnią się zasadniczo. Projekt naszego zespołu nastawiony jest na uregulowanie spraw związanych z medycznie wspomaganą prokreacją, z nastawieniem na bezpieczeństwo kobiety i maksymalną ochronę zarodka. Nie wolno eksperymentować na zarodkach, dokonywać ich selekcji, a przede wszystkim →



→ ich niszczyć. Dlatego dopuszczamy mrożenie zarodków, aby mogły być wykorzystane do następnej ciąży. In vitro nie może być stosowane jako metoda „na żądanie”. Jest to szansa dla osób, które wykorzystały już wszystkie dostępne metody leczenia bezpłodności. Posłowie Platformy mają różne wątpliwości. Dlatego dyskutowaliśmy o tym na posiedzeniu klubu parlamentarnego zwołanego specjalnie w sprawie in vitro i dalej będziemy rozmawiać.

W.N.: Projekt Gowina nigdy nie powinien zostać uznany za kompromisowy, bo takim nie jest. A propozycja Jarosława Kaczyńskiego potwierdza tezę, że PiS wspiera projekt Gowina. PiS chce być aktorem w tej debacie i co chwila wymyśla coraz bardziej absurdalne pomysły, żeby zaistnieć. Jak siadać przy okrągłym stole z kimś, kto chce całej procedury zakazać i w konsekwencji za nią karać? Głównym skutkiem tych inicjatyw będzie wsparcie projektu Gowina jako tego, który ma być niby kompromisem między przedłożeniem PiS-owskim i liberalnymi. Obawiam się, że jeśli Sejm cokolwiek przyjmie w tej kwestii, to będzie to projekt gowinowski lub bardzo do niego zbliżony. A przecież to jest projekt skrajny! Zakazuje mrożenia zarodków i dopuszcza wszczepianie zarodków. Gdyby to rozwiązanie przyjąć, to by znaczyło, że kobiecie trzeba wszczepić wszystkie powstałe sztucznie zarodki. To będzie dla niej ogromne niebezpieczeństwo, bo ciąża mnoga to zawsze ciąża wysokiego ryzyka. We Włoszech, gdzie uchwalono prawo zmuszające do wszczepiania wszystkich zarodków, zostało ono uznane za niekonstytucyjne, grożące zdrowiu kobiety. Dlaczego nie uczymy się na błędach innych?

M.K.-B.: Pani marszałek mówi, że projekt Gowina jest konserwatywny. Proszę zwrócić uwagę, że pani projekt także w jakimś sensie jest konserwatywny, jeśli odniesie się go do teraźniejszości, kiedy stosowanie metody in vitro nie jest w ogóle uregulowane. Wszystkie projekty, które dzisiaj stają się przedmiotem debaty społecznej, są konserwatywne – różnią się tylko stopniem „konserwatywności”.

Dlaczego w Polsce z takim trudem wypracowywane są ustawy, które dotyczą wartości, światopoglądu?

W.N.: Niestety, wynika to z ogromnego wpływu, który wywierany jest od lat przez Kościół na świat polityki. Wielu polityków jest przekonanych, że bez poparcia księdza nie zrobią kariery politycznej. Poza tym te kwestie świetnie, zdaniem niektórych, nadają się do walki politycznej, zawsze podchwycą je media. Szkoda,

że ci, którzy mają do tego taki stosunek, nie widzą dramatów tysięcy ludzi, wynikających z braku odpowiedniego prawa.

M.K.-B.: Nie zgadzam się z taką oceną roli Kościoła. U nas to przewartościowanie trwa długo, ale przecież w innych krajach, które teraz mają już nowoczesne prawodawstwo, też trwało latami. My powoli nadrabiamy opóźnienia, musimy się tego nauczyć. Może uda się takie kwestie jak in vitro „odczarować”, kiedy Polska ratyfikuje podpisaną jeszcze w 1999 r. konwencję bioetyczną? Mam nadzieję, że rząd zajmie się tym dokumentem jak najszybciej, a po wakacjach trafi on do Sejmu.

W.N.: Minister Gowin już wnosi zastrzeżenie! I domaga się, żeby do konwencji dołączono interpretacje jej przepisów, w której wytlumaczone będzie, jak konwencję trzeba rozumieć. I to minister Gowin będzie tłumaczył.

M.K.-B.: Pani nieustannie atakuje ministra Gowina. Nie jestem jego rzecznikiem, a my wciąż rozmawiamy o nim. Spokojnie, nie będzie tak źle, jak pani próbuje sugerować. Nic mi nie wiadomo, żeby minister Gowin miał taki plan...

W.N.: Jak to? Ja już nawet w tej sprawie otrzymałam odpowiedź na moją interpelację, która potwierdziła, że Gowin będzie chciał zgłosić zastrzeżenia do konwencji!

Chyba rzeczywiście macie panie problem z ministrem Gowinem. Pani poseł, jak pani sądzi, gdyby minister miał do wyboru podczas głosowania pani liberalny projekt dotyczący in vitro i ten autorstwa Bolesława Piechy z PiS, wprowadzający kary za stosowanie tej procedury, to za którym by się opowiedział?

M.K.-B.: ... Wierzę, że zagłosowałby za projektem Platformy będącym stanowiskiem większości w naszym klubie. W ostateczności wstrzymałby się od głosu.

W.N.: Jaki Jarosław Gowin jest – każdy widzi. To nie on jest największym problemem, tylko Donald Tusk i jego konsekwentna polityka unikania jakichkolwiek decyzji w kwestiach światopoglądowych, takich jak in vitro, związki partnerskie, a ostatnio konwencja o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet. Przecież to powtórka z poprzedniej kadencji: dwa projekty i pat. W efekcie nic nie zostało uchwalone, chyba że na skutek działań PiS przejdzie inna, restrykcyjna wersja. A jestem przekonana, że lepiej nie uchylać żadnego prawa, niż pozwolić na przyjęcie złego! I jeśli tak się stanie, będzie to zasługa premiera Tuska. Bo to on mruga okiem we wszystkich możliwych kierunkach i marzy o tym, by dogodzić każdemu.

M.K.-B.: To niesprawiedliwe, co pani mówi, bo gdyby nie Platforma i dyskusja w naszej partii, nie byłoby w Polsce tej ważnej debaty, której oczekuje konwencja bioetyczna. Pani marszałek, proszę spojrzeć, jak wiele trudnych spraw rządowi udało się zrealizować w tej kadencji. A jeszcze rok nie minął. Tę kwestię także skutecznie uregulujemy, tym bardziej że nie rozpoczynamy od zera, tylko bazujemy na rozwiązaniach wypracowanych w poprzedniej kadencji.

Czy obserwujecie panie różnice w podejściu do tematu in vitro między parlamentarzystami kobietami i mężczyznami?

M.K.-B.: Nie zauważyłam, choć przecież kobiety i mężczyźni inaczej odczuwają i przeżywają różne wydarzenia zachodzące w życiu. W debacie publicznej nie ma istotnych różnic, ale może dlatego, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni jako rodzice wspólnie, z równym maksymalnym zaangażowaniem, oczekują, na mające się narodzić dzieci. Może dlatego, że uczestnicy debaty na temat metody in vitro często stawiają się w sytuacji rodziców, którzy nie mogą mieć dzieci. Podział występuje raczej pomiędzy tymi, którzy chcą uregulować sprawę in vitro, i tymi, którzy chcą na tej kwestii politycznie się odróżnić, aby zarobić kilka punktów wśród swojego rywalnego elektoratu. Tylko czemu kosztem tysięcy rodzin starających się o potomstwo?

W.N.: Moim zdaniem jest faktem, że ta dyskusja została zdominowana głównie przez mężczyzn – w PO. Poza panią posłanką Kulińską nie słychać żadnej kobiety, za to słyszymy niekończący się festiwal wypowiedzi posłów Gowina, Żalka, Niesiołowskiego, Godsona, do tego głosy rozmaitych biskupów. Doprowadziło to do tego, że rozmawiamy głównie o ideologii, religii, a nie o potrzebach i problemach z płodnością społeczeństwa.

A w ogóle mamy paradoksalną sytuację. PO, która trzyma wszystkie karty w ręku, sparaliżowała rozwiązanie problemu – swojego projektu nie jest w stanie złożyć, blokuje inne, nieustannie zajmuje swoimi problemami wewnętrzne opinie publiczną, którą karmi próżnymi obietnicami, a niepłodne partydardami, jakimi się cieszą wszyscy obywatele i obywatelki UE poza Polską.

Zuzanna Dąbrowska jest komentatorką Programu Pierwszego Polskiego Radia.

TUSKODYCEA, czyli skąd pochodzi zełko



KAMIL SIPOWICZ

Autor felietonu
jest historykiem filozofii

to fragmenty z exposé premiera. „Słowo »zaufanie« będzie mottem nie tylko tego wystąpienia, ale, mam nadzieję, całej naszej kadencji i całego okresu, w którym przyjdzie mnie z moimi współpracownikami rządzić. To zaufanie stało się fundamentem nowej politycznej umowy Polaków. Władza, która nie szuka konfliktów, a wręcz przeciwnie, szuka porozumienia wszędzie tam, gdzie to jest możliwe. Nie jesteśmy naiwni, wiemy, że istnieją obiektywne konflikty interesów w każdym narodzie...

Pierwszym zadaniem naszego rządu będzie wyzwolenie pozytywnej energii z Polaków przy całej świadomości różnic między nami, także pozytywnej energii tu na tej sali...

Nieprzypadkowo mówi się w Polsce od wieków o zdrowy chłopski rozum... Polacy do siebie radzą wtedy, kiedy władza nie przeszkadza im żyć. Polacy mają prawo do władzy i do takiego państwa, i do takiego rządu, który traktuje swoją misję jako służbę, który uczciwość, przyzwoitość, bezinteresowność traktuje jako oczywistość. I równocześnie Polacy mają prawo do władzy, która nie ma zamiaru narzucać, kontrolować każdego fragmentu ich życia.

A Ciec Święty powiedział w Sopocie: »Ale pamiętajcie też, że nie ma solidarności bez miłości. I ja wiem, że niektórzy na tej sali czasami uśmiechają się, wątpiąc w to, że te słowa mają głęboki sens. Ja wierzę, bardzo wierzę w sens tych słów. I wiem jedno, prędzej czy później wy i wy w sens tych słów też uwierzycie”.

Pytanie numer jeden: dlaczego nie udało się polityczny raj, który w swoim exposé premier Tusk zapowiedział? A właściwie większość obietnic premiera obróciła się o 180 stopni. Zaufanie i miłość wyparowały już chyba po roku. Zdrowy chłopski rozum ujawnił się w pełnej krasie w cudownie rozplenającej się PO-wski inteligent okazał się nie gorszy od chłopa i stworzył jeszcze większą sytuację. Władza, która nie miała zamiaru kontrolować każdego fragmentu naszego życia, wlała już prąd do naszych łóżek z kopytami i podłucha-

dził, że jeżeli teraz będzie dobrze, to potem nie będzie mogło być lepiej...

Najbardziej jednak prawdopodobne jest to, że zło i niegodziwość zrodziły się w wyniku anonimowych procesów i drobnych osobistych interesów. Są one przecież immanentną cechą naszego systemu politycznego, którego nikt z lenistwa lub z niewiedzy nigdy nie próbował naprawić, a jeśli nawet coś przebąkiwał, to go uznano za błazna.

Nepotyzm, który teraz wyskoczył jak Filip z konopi, jest grzechem wszystkich czterech głównych partii. Czyli po następnych wyborach bez głębokich strukturalnych zmian, do których potrzeba by chyba samego Piłsudskiego z niebios sprowadzić, będzie tak samo albo jeszcze gorzej. To po co w ogóle wybierać... Zadekretować stały rząd na 100 lat i będzie dobrze. A zaoszczędzone pieniądze na wyborach przeznaczyć na szampana dla premiera.

Nie jestem już tak naiwny, żeby wierzyć, iż to, co tu piszę, to jakaś nowość dla premiera. Klasa polityczna zna zasady gry. I premier, jak każdy bóg, lubi się podroczyć ze stworzeniem. Jednemu los Hioba, drugiemu Kulczyka. Dobro ze złem muszą się balansować. Przecież tak naprawdę polityka jest sztuką prowadzenia wojny w czasie pokoju. A skoro nie wszystkim można dać pracę, to przynajmniej dajmy swoim. Że nieskorzy dyrektorzy i prezesi nie mają matury, to wiadomo jeszcze z czasów realnego socjalizmu, „nie matura, lecz chęć szczerania...”.

Poza tym ludzie już tak przywykli do systemu władzy politycznej opartego na korupcji przebranej w rodzinno-plemienny solidaryzm i do dobrze dozowanej opresji, że gdyby im zapowiedziany raj stworzono, to by się czuli nieswojo.

Zresztą większość złych rządów nie bierze się z celowego działania, lecz z rutyny, braku wyobraźni, lenistwa i zadufania. Wśród polityków jest wielu nieświadomie produkujących małe banalne zło. Polacy ostatnio zdrabniają wszystkie słowa jak szaleni, ale zła im się jeszcze nie udało zdrobnić. Ja spróbuję: zełko. ●



Czym pojechać?

Autostop otwiera na ludzi i niespodzianki. Możemy spotkać trowca poetę albo kierowcę, który będzie udzielał praktycznych rad na temat okolicznych miejsc i mieszkańców. Dzięki takim rozmowom wiemy dziś na przykład, w których rejonach Francji nagminnie dochodzi do kradzieży na parkingach, jak wygląda stosunek austriackich polityków

do imigrantów i czym zajmują się tamtejsi rolnicy zimą.

Jadąc autostopem po kraju, można też zobaczyć cały przekrój społeczny Polaków. Raz podwiezie nas bogaty biznesmen, innym razem kierowca małej ciężarówki z chłodnią – każdy opowie trochę o swoim życiu. W ten sposób doświadczymy Polski A, B i C, zanim dokądkolwiek dojedziemy.

Według wielu osób najlepiej jeździ się solo, nie najgorzej jest też w parze mieszaną lub dwóch mężczyzn. Na pewno jednak dobrze jest mieć towarzysza, choćby po to, żeby czuć się bezpiecznie.

Gdzie rozpocząć podróż, można się dowiedzieć z Internetu, na przykład na stronie Autostopem.net. Są tam informacje o drogach wylotowych z twojego miasta i wypróbowane

Nie potrzeba wielkiego wysiłku, by zapewnić sobie transport, mieszkanie, jedzenie czy zwiedzanie. Nie potrzeba też wiele pieniędzy, nawet wcale! Turystyka społecznościowa to podróżowanie półdarmo

TOMASZ SIKORA
ANDRZEJ WOŹNIAK

Podróż za jeden uśmiech i co tam jeszcze masz

do ukochanej” naprawdę potrafią zdziałać cuda. Pamiętaj, aby mieć ze sobą mapę lub atlas, najlepiej z zaznaczonymi miastami, przez które chcesz przejechać, i stacjami benzynowymi na autostradach. To bardzo ważne, bo tylko tam będziesz mógł dalej łapać – zatrzymywanie samochodów na autostradzie jest zabronione!

Jeżeli jednak brak ci śmiałości, by korzystać z autostopu, to być może rozwiązaniem dla ciebie są wspólne przejazdy. Można umówić się z kierowcą przez Internet i podzielić kosztami paliwa. Na stronie Carpooling.pl znajdziesz dużo tego typu ogłoszeń z datą planowanego przejazdu (czasami od razu można umówić się na przejazd powrotny) oraz ceną tej części paliwa, za którą musisz zapłacić.

Gorąco polecamy też podróżowanie rowerem. Nie jest prawdą, że to rozwiązanie jedynie dla młodych i wysportowanych. Dzienną trasę i miejsca, którymi ma ona przebiegać, trzeba po prostu dostosować do swoich możliwości. I choć pierwsze dwa dni na siodełku bywają niełatwe, szybko przekonasz się, że twoje zdolności są większe, niż myślałeś. Niepotrzebny jest też nowy rower za kilka tysięcy złotych, średniej klasy bacykl w zupełności wystarczy, warto tylko przed podróżą oddać go do przeglądu.

Przemieszczanie się rowerem jest w zasadzie idealną formą podróżowania – nie otacza nas metalowa skorupa pojazdu, jedziemy w medytacyjnym tempie, co pozwala nasycić wzrok, a jednocześnie pokonujemy przyzwoite odległości.

Polecamy również zorganizowane wyjazdy rowerowe, na przykład słynny BikeTour, który stwarza okazję, by popedałować z niezwykłymi ludźmi z całego świata oraz uczestniczyć w różnych akcjach ekologicznych i społecznych. Jest to też uczta dla ciała – każdego wieczoru gotuje ekipa z innego kraju.

Gdzie nocować?

Noclegi to esencja społecznościowej turystyki. Polecamy portale wymiany gościnności takie jak Hospitality Club, BeWelcome czy najbardziej popularny – CouchSurfing. Odrobina otwartości pomaga, bo działanie w ramach takiej sieci najczęściej polega na spotkaniach z nieznanymi ludźmi, goszczeniem u nich lub przyjmowaniem ich u siebie. Korzyści z tego są niezliczone – od możliwości spędzenia nocy w ciepłym miejscu, przez sposobność poćwiczenia języka obcego, po nawiązanie z kimś głębszej i trwałej przyjaźni. W Istambule w porze ramadanu można być niemal pewnym, że tureccy muzułmanie będą

oprowadzać nas po mieście cały dzień, choć nie przegryzą nawet kawałka pity, a u gospodarza w Gruzji w ramach noclegów mamy zagwarantowane całonocne biesiady z tańcami, śpiewami i apostofoicznymi toastami.

Włączenie się do sieci wymiany gościnności jest bardzo proste. Musimy zarejestrować się na jednej z tego typu stron, podobnie jak na każdym innym portalu społecznościowym, i utworzyć tam profil osobisty. Im bardziej będzie on rozbudowany, tym bardziej wiarygodni będziemy w oczach naszych potencjalnych gości i gospodarzy.

Wiele osób słusznie pyta o bezpieczeństwo takiej formy nawiązywania kontaktów. Oczywiście nigdy niczego nie można zagwarantować, ale portale wymiany gościnności radzą sobie z tym całkiem nieźle. Obowiązują na nich systemy ocen, które goście i gospodarze wystawiają sobie nawzajem po rzeczywistym spotkaniu i zapoznaniu się – jest to zatem rodzaj weryfikacji.

Co zjeść?

Szukać tanich lub darmowych posiłków warto przez takie kolektywne inicjatywy jak Food Not Bombs lub VoKu. Dzięki nim można liczyć, najogólniej mówiąc, na regularne, zazwyczaj wegetariańskie obiady podawane najczęściej z aktywnym sosem w określonym miejscu i czasie. Jako że często przygotowane są przez rozmaite środowiska niezależne, to owymi miejscami bywają na przykład skłoty lub place czy ulice. Jest to zatem doskonała okazja, żeby nie tylko zjeść coś smacznego, ale również poznać ciekawych i zaangażowanych społecznie ludzi, zaznajomionych z bieżącymi sprawami toczącymi się w ich ekosystemach. Szczególnie okazale pod tym względem wypadają miasta niemieckie z Berlinem na czele, w którym tego typu inicjatywy odbywają się nawet kilka razy w tygodniu.

Nie mając ochoty na takie klimaty, nie znajdujemy się bynajmniej na straconej pozycji. W wielu dużych miastach europejskich jak Londyn, Berlin, Paryż czy Warszawa działają przykościelne lub charytatywne jadalnie przeznaczone dla osób ubogich i bezdomnych. Tam możemy ustawić się w kolejce i poprosić o posiłek. Wymaga to pewnej determinacji, ale zapewne dobrze jest mieć w odwodzie i taką możliwość. Kilka lat temu nakładem wydawnictwa Forma ukazały się dwie książeczki traktujące o turystyce dla ludzi bez pieniędzy. Autorzy Michał Szalonek i Leszek Herman wymieniają w nich między innymi miejsca oferujące darmowy obiad wszystkim chętnym. Niestety, książki dotyczą tylko Berlina i Wiednia, ➔



→ a poza tym są z czasu przedkryzysowego, więc informacje w nich zawarte należałoby zweryfikować samemu. No i są to oczywiście rozwiązania uzupełniające, które nie zaspokoją naszych potrzeb w pełni, ale mogą stanowić ważny element podróźniczej diety.

Możemy też dać szansę freeganizmowi, z którym świat powoli zaczyna się oswajać. Na stronie Youtube.com można znaleźć filmy dokumentalne, reportaże oraz krótkie filmiki opisujące ten fenomen. Nazwa „freeganizm” pochodzi od ang. free, czyli „za darmo” i opisuje praktykę zdobywania w pełni nadających się do spożycia produktów ze sklepowych śmietników. Mało kto wie, że duże sklepy spożywcze wyrzucają codziennie mnóstwo zupełnie dobrego jedzenia! Powodów jest wiele: uszkodzone opakowanie (produkt źle wygląda i zdaniem sklepu, nie nadaje się do sprzedaży), uszkodzone opakowanie zbiorcze, produkt zbliża się do daty ważności (choć jeszcze jej nie przekroczył). Oczywiście żaden z tych powodów nie wpływa na jakość ani na przydatność do spożycia, a jeżeli nawet produkt jest już kilka dni po terminie, najczęściej wciąż jest jadalny, gdyż termin ważności celowo ustala się z pewnym marginesem. Jedzenie najczęściej pochowane jest do plastikowych worków i tym samym nie miesza się z innymi odpadami. Po umyciu warzyw i owoców oraz rozpakowaniu rozmaitych produktów czeka nas niejedna wspaniała kolacja. Wiemy, bo nie raz tego próbowaliśmy.

Jak zwiedzać?

W pewnych przypadkach nie unikniemy wydatku na bilet, np. do galerii czy muzeum, ale

Freeganizm

- <http://freegan.info>
- <http://fruganliving.com>

Portale gościnnościowe

- www.couchsurfing.org
- www.hospitalityclub.org
- www.bewelcome.org

Wyżywienie

- <http://stressfaktor.squat.net/vokue.php?day=all>

Autostop/współdzielone przejazdy

- www.carpooling.pl
- www.autostopem.net

naadal mamy kilka możliwości, aby zwiedzać i poznawać, nie wydając zbyt wiele. Pamiętajcie o dniach wolnego wstępu do instytucji kultury – jednego dnia można zagościć w kilku!



Każde miasto obfituje w miejsca i rzeczy dostępne za darmo, które możemy poznać, choćby z zewnątrz.

W antropologii przestrzeni istnieje pojęcie „flaneur”, oznaczające kogoś, kto się po prostu przechadza i ogląda mijaną rzeczywistość. Czemu nie wejść w taką rolę? W Londynie podczas spaceru tylko brzegiem Tamizy zobaczyć można masę pocztówkowych atrakcji: brytyjski parlament, występy mimów i kuglarzy pod London Eye czy Tower Bridge. W Berlinie spacer po alternatywnych dzielnicach Friedrichshain lub Kreuzberg również nie nie kosztuje, a naprawdę silnie wpływa na to, jak możemy wyobrazić sobie rozwój miasta.

Nie wahajcie się też korzystać z tego, że na portalach noclegowych wiele osób deklaruje gotowość, aby dla ciebie wcielić się w rolę miejskiego przewodnika. Najlepiej wybierać sobie właśnie takich gospodarzy. Dzięki temu z pierwszej ręki dowiesz się, jak naprawdę wygląda życie w mieście, które odwiedzasz – poznasz lokalne smaczki, ciekawostki, a wiele z nurtujących cię pytań odnośnie do codziennego życia, zwyczajów, kultury znajdzie wyczerpującą odpowiedź. Prowadzić cię będą bezinteresowni autochtoni, emocjonalnie związani ze swoją przestrzenią. Czego chcieć więcej?

Podróżowanie „społecznościowe” zmienia nasz sposób patrzenia na wiele spraw. Świat widziany z perspektywy doświadczania dobroci ludzi i bogactwa możliwości, jakie oferują zorganizowane społeczności, to nasz świat upagniony i – jak widać – możliwy. Jest heterogeniczny, ale zespolony siecią wzajemnej pomocy, serdeczności i ciekawości, które nieustannie przyciągają takich jak my podróżników.

Jeżeli szukamy pozytywnych efektów globalizacji, to z pewnością jest to niezłe miejsce. Jeżeli szukamy przygód – również.

olskiej polityce rozwojowej wciąż brakuje przemyślanej strategii. Nie dotrzymujemy międzynarodowych zobowiązań, ładujemy na szarym końcu międzynarodowych rankingów, a środki (których i tak jest bardzo mało) przeznaczamy na projekty związane z bezpośrednimi interesami politycznymi rządu. Finansowane projekty są bardzo zróżnicowane, a ich dobór często przypadkowy. Z każdym rokiem coraz mniej wypada tłumaczyć się statusem początkującego.

Pomoc po polsku

Priorytetem pomocowym, pod jakim w 2005 r. podpisała się także Polska, jest działanie na rzecz długotrwałych zmian społecznych i redukcji ubóstwa. Pomimo krytycznych głosów organizacji pozarządowych polski rząd realizuje jednak w dużej mierze swoje polityczne i wizerunkowe priorytety. Zdarzają się pomocowe jednoznaczne gesty, takie jak przywiezienie przez ministra Sikorskiego kilkunastu afrykańskich uchodźców z Tunezji. Wśród istotnych elementów polskiego programu pomocowego znajdują się kredyty dla Chin (stanowiące około 1 proc. budżetu pomocowego) lub projekty w Afganistanie, realizowane między innymi przez polskie zespoły wojskowo-cywilne. Większość funduszy i projektów trafia do krajów Partnerstwa Wschodniego lub Afganistanu, po linii naszych wąsko rozumianych interesów politycznych. Nie jest to stosowanie się do globalnych standardów udzielania pomocy, wyznaczanych m.in. przez Milenijne Cele Rozwoju.

Za taką strategią stoi również przekonanie, że naszym „towarem eksportowym” jest doświadczenie pomyślnie zafunkcjonowanej transformacji ustrojowej. Polska pomoc ochoczo podpisuje się pod ideałem szerzenia demokracji np. w Tunezji czy Birmie, co niekoniecznie idzie w parze z wysoką jakością i trwałością projektów. Poza tym tzw. projekty demokratyczne nie są skierowane do najbardziej potrzebujących. Podobnie jak na przykład projekt szkoleniowy dla moldawskich służb granicznych czy wsparcie systemu penitencjarnego w Gruzji.

Nie jest zaskoczeniem, że raport konfederacji CONCORD z monitoringu współpracy rozwojowej poszczególnych krajów Unii

Biedny świat Polski nie obchodzi

Przez lata korzystaliśmy z pomocy. Teraz czas wesprzeć bardziej potrzebujących. Na co więc czeka rząd?

MONIKA MATUS, MAGDALENA TROJANEK



takie jak Rumunia i Bułgaria oraz dotknięte kryzysem Grecję i Hiszpanię.

Niewielki coroczny wzrost wydatków na współpracę rozwojową w polskim budżecie nie wynika z dobrych chęci decydentów, ale nowych, mylnie klasyfikowanych jako pomoc rozwojowa działań, takich jak kontrakty pomocy związanej lub pożyczki, które w żaden sposób nie przyczyniają się do zwalczania ubóstwa. Szacuje się, że w ten sposób ginie co dziesiąta „pomocowa” złotówka.

Co dalej?

Przyczyną niskiego poziomu (pod względem zarówno ilości, jak i jakości) polskich działań pomocowych może być prawna rzeczywistość polskiej współpracy rozwojowej. Dopiero w 2011 r., w pośpiechu przed nadchodzącą prezydenturą w Unii Europejskiej, powstała pierwsza Ustawa o współpracy rozwojowej (uchwalona 16 września 2011 r.), a kilka miesięcy później dający nadzieję na strategiczne planowanie Wieloletni Program Współpracy Rozwojowej. Niestety, cele polskiej współpracy rozwojowej nie zawsze odpowiadają potrzebom najbiedniejszych mieszkańców krajów partnerskich – beneficjentów. Jest to powodowane między innymi brakiem konsultacji polskiego programu z krajami partnerskimi, a także pominięciem większości rekomendacji organizacji społecznych, które pracując „w terenie”, posiadają sporą wiedzę o potrzebach poszczególnych regionów.

Brak przejrzystego systemu ewaluacji projektów i programów współpracy rozwojowej, opartych na potrzebach krajów beneficjentów, powoduje powielanie tych samych błędów. Do tego brak jednej, spójnej wizji przyświecającej pomocy, a także brak woli wypełniania standardów międzynarodowych, nie pozostawiają wątpliwości co do powierzchownego charakteru polskich działań pomocowych. Czy polska pomoc będzie nadal ofiarą upolitycznienia, niemocy administracji i ignorowania międzynarodowych standardów, czy wreszcie dorośniemy i spłacimy nasz pomocowy dług?

Autorki zajmują się rzecznictwem oraz monitoringiem polskiej współpracy rozwojowej w Grupie Zagranica, stowarzyszeniu 61 polskich organizacji pozarządowych zaangażowanych w szeroko rozumianą współpracę rozwojową.

Europejskiej „Aid We Can: More Investment in Global Development” (dostępny pod adresem: www.aidwatch.concordeurope.org) wskazuje, że jesteśmy jednym z krajów, które są najdalej od realizacji przyjętych przez Unię zobowiązań.

Tak mało, jak się da

Do roku 2015 Polska obiecała udzielać pomocy w wysokości 0,33 proc. dochodu narodowego brutto. W rzeczywistości coroczny budżet pomocy rozwojowej pozostaje dziesięciokrotnie niższy od zakładanego celu. Pod względem procentowego udziału wydatków na pomoc rozwojową w dochodzie narodowym wyprzedzeni jesteśmy nie tylko przez pomocowych liderów: Luksemburg, Szwecję oraz Wielką Brytanię, ale także przez kraje

Miriam ma 36 lat, od ośmiu lat mieszka na Wyspach. Kilka miesięcy temu dostała paszport. Jest już obywatelką europejskiego kraju. Jej córka ma 17 lat. Do tira wsiadły razem z bratową i czwórką jej dzieci na Białorusi. Jechali cztery dni. W tym czasie dzieci cały czas dostawały tabletki nasenne. Wszyscy żywili się snickersami, potrzeby załatwiali do wiadra. Nagle drzwi się otworzyły. Kierowca powiedział: „Koniec przejażdżki. Jesteście w domu”.

Z Polski

Aśka robiła zakupy, gdy przemówiła do niej kasjerka. Bardzo dobrą polszczyzną. Ubranie zakrywało całe jej ciało, a włosy miała szczelnie owinięte chustką. Była nowa. Później często się widywały i zawsze chwilę rozmawiały. Kiedyś Miriam powiedziała Aśce, że doskonałą znajomość języka zawdzięcza babci Polce. Zawiła historię o babci zaraz urwała i nagle zapytała Aśkę, czy wracając z wakacji w Polsce, może przywieźć jej kilka paczek biseptolu. Nic ponoć nie leczy tak dobrze jak biseptol. Wśród Polaków na Wyspach nikogo taka prośba nie dziwi, brytyjska publiczna służba zdrowia nie cieszy się dobrą reputacją i znajomi wymieniają się lekami. Aśka od lat wozi z kraju leki i jedzenie, chociaż dziś w każdej dzielnicy są dobrze zaopatrzone polskie sklepy.

Aśka już po pierwszej rozmowie z Miriam przypuszczała, że żadnej babci Polki nigdy nie było. Miriam tak jak wielu uchodźców nielegalnie wyjechała z Polski na zachód Europy. Nie wszyscy mają tyle szczęścia co ona – część emigrantów przyłapanych przez służby graniczne zostaje deportowana. Ludzi, zdezorjentowanych i przestraszonych, z małymi dziećmi w tłoku przewozi się tirami. Jeśli ktoś wystąpił w Polsce o nadanie statusu uchodźcy, a potem nielegalnie przedostał się do innego kraju Unii i został złapany, deportowany jest z powrotem do Polski, by tutaj czekać na rozpatrzenie swojego wniosku.

Chusta i modlitwa

Odkąd cztery opakowania biseptolu dojechały do Miriam, lody między kobietami zostały przełamane. W każdy piątek spotykały się na kawie. Najczęściej u Aśki. Niedawno Miriam odwodziła się i pierwszy raz zaprosiła do siebie. Mieszka w tej samej dzielnicy, w dość sporym apartamencie, czyli mieszkaniu w bloku z dwoma sypialniami i salonem z kuchnią. Ma 50-calowy

telewizor i mały samochód, którym jeździ do pracy.

Jej jedyną bliską osobą jest bratowa. Nie utrzymuje kontaktów z innymi uchodźcami. Mówi, że nie może znieść bierności kobiet, plotkarstwa, ciągłego rodzenia dzieci, życia z socjału i wiecznego narzekania. Czeczeńscy mężczyźni nie są zbyt przychylni Miriam, bo jeździ samochodem i jest niezależna. Ma dofinansowanie do mieszkania i benzyny, dostaje zasiłek na córkę i pracuje

Miriam bez pardonu używa polskich przekleństw. Wprawdzie modli się pięć razy dziennie, ale – jak twierdzi – traktuje to jako gimnastykę: „Wiesz, skłony i tak dalej”. Od roku nosi chustę. Wcześniej tego nie robiła. Mówi, że dobrze jej się powiodło, więc chce podziękować Bogu, manifestując skromną postawę i zakrywając włosy.

Zaproponowała, aby w czasie spotkań mówiły tylko po polsku, bo nie chce zapomnieć języka. Czeczeńskiego też nie. Jej córka po-

O Czeczence, której się udało

Wysiedli z samochodu skrajnie zmęczeni. Dzieci trzeba było właściwie wynieść. Poprosili o azyl. Nie wiedzieli, w jakim są kraju. Chcieli dojechać na Wyspy Brytyjskie, ale mogli być gdziekolwiek, nawet w Polsce

ANNA PIETRUSZKA-DRÓŻDŻ

legalnie trzy razy w tygodniu. Uchodźcy, jak twierdzi, mają tutaj dość dużo możliwości, należy tylko skończyć z roszczeniową postawą i wziąć życie we własne ręce, a nie myśleć, że po urodzeniu trzeciego dziecka będzie można dostać większy zasiłek. Kiedyś w sklepie kilka razy przyłapała na kradzieży kobietę, wiedziała, że to uchodźczyni. Wahała się, ale w końcu wezwała policję, inaczej sama musiałaby zapłacić za ukradziony towar. Złapana na cały głos krzyczała, że Miriam jest niewierzącą suką, i zwyzywała ją od rasistek.

wie wcale go nie zna. Nie umie pisać po czeczeńsku, jedynie mówi w tym języku. Wiele spośród dzieci uchodźców żyjących kilka lat za granicą nie zna rodzimego języka. Nijak młodzi nie chcą go używać.

Rodzinne relacje

Kiedyś Aśka spotkała Miriam przypadkowo na pocście. Miriam wysłała paczkę do jednego z ośrodków dla uchodźców w Polsce. 10-kilogramowa przesyłka z ubraniami, butami i zabawkami kosztowała ponad 200 zł. Była przeznaczona dla przyjaciółki, której mi-

jest od jakiegoś czasu w ośrodku zamkniętym, a ona została sama z czwórką małych dzieci. Od czasu do czasu Miriam opowiada o trudnym życiu w ośrodku i niełatwych relacjach między ludźmi. Nigdy jednak nie powiedziała ani słowa, że sama również musiała żyć w ośrodku dla uchodźców w Polsce, i to na pewno wiele lat.

Z córką ma fantastyczne relacje. Milana jest dość skryta, ale ma pasję, ćwiczy zawodowo pływanie. Ma jechać na zawody pły-

Lepszy świat

Ludzie zazdroszczą Miriam energii. Zaczęła pracować prawie od razu po przyjeździe na Wyspy. Na początku na czarno, od jakiegoś czasu legalnie. Jakiś człowiek za pieniądze doprowadził ją do kobiety, która również za pieniądze dała jej swój IP – numer identyfikacyjny. To tak, jakby kupiła sobie dowód osobisty, dzięki temu mogła pracować legalnie. Kobieta sprzedająca dokument miała wró-

skutecznie. W końcu przy pomocy kuzy- na udało się odzyskać należności.

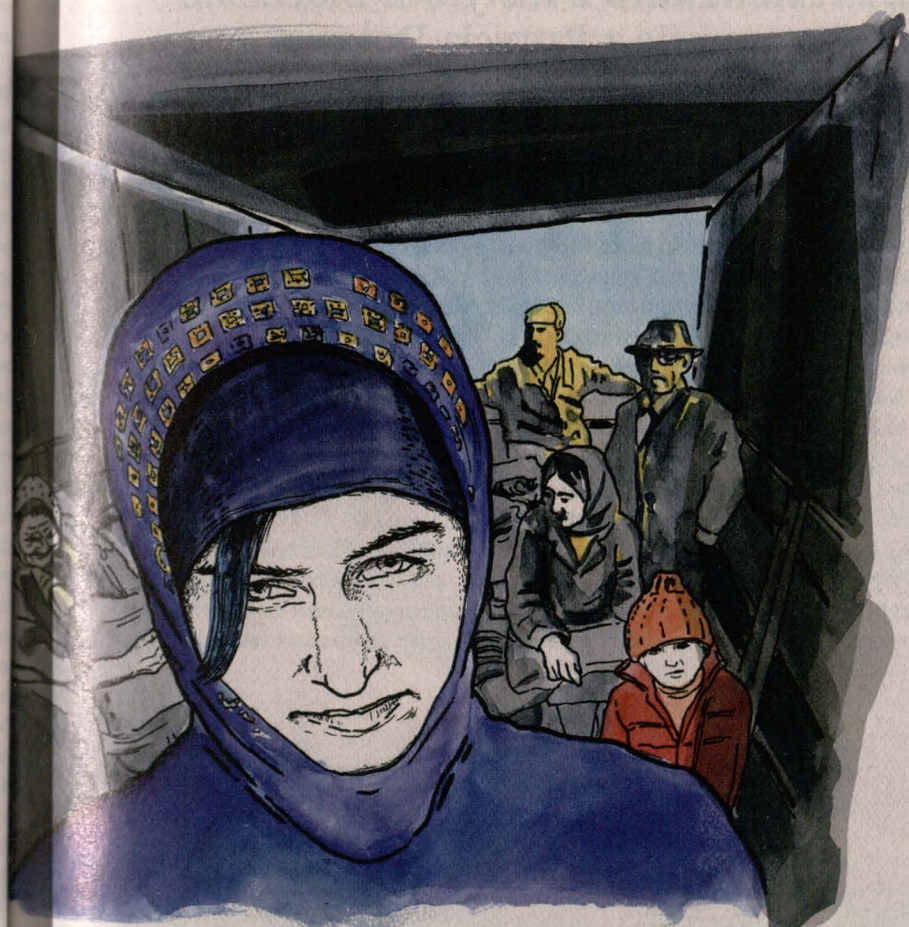
Gdy są w pokoju we dwie, Miriam zdejmie chustę, ale gdy tylko wchodzi mąż Aśki, szybko ją zakłada. Raz niespodziewanie przez drzwi od ogrodu wszedł znajomy. Obie wpadły w popłoch, Miriam o mały włos nie owinęła się firanką. Znajomy przywitał się i pewnie nawet nie zauważył, że kobiety szamoczą się nerwowo, próbując zasłonić piękne, kręcone włosy.

Miriam na początku unikała męża Aśki. On prowadzi swoją małą firmę, a ona czasem potrzebowała jego pomocy. Przez jakiś czas Aśka służyła za pośredniczkę, wreszcie z oporem Miriam sama zaczęła się z nim kontaktować. Mąż Aśki ma smykalkę do samochodów, pomógł szybko sprzedać poobijane auto Miriam. Od tego czasu przekonała się do niego. Niedawno, gdy były same, opowiedziała o swoim mężu. Kochali się. Nie był wojownikiem, ale angażował się politycznie. Prowadził też biznes. Nagle zniknął. W samochodzie zostało wszystko, dokumenty, kluczyki, tylko jego nie było. Miriam nie chce nowego związku, mówi, że fałszywie się zbędną. Marzy tylko o jeszcze jednym dziecku.

Miriam cieszy się, że to, co złe, ma już za sobą. Martwi się o innych. Jej znajomi mieszkający w Polsce bardzo narzekają. Jeśli mieszkają w ośrodku, nie mają gdzie wyjść, bo placówki są odcięte od świata, zawsze na uboczu, na końcu miasta albo głęboko w lesie. Człowiek z dziećmi ma pokonać na piechotę w zimie kilka kilometrów, aby dojść do autobusu. Do tego musi za coś kupić bilet. A trzeba dojechać do lekarza, załatwić różne sprawy. Ludziom brakuje nawet ubrań. Niektórzy marzą o pracy i mieszkaniu. Upragniona wolność jest kolejną niewolą w rejonie małego państwa, jakim jest ośrodek dla uchodźców. Wprawdzie na miejscu nie ma wojny, ale nie ma też wolności. Zresztą wielu ludzi po krótkim pobycie w Polsce w końcu zostaje wsadzonych do pociągu lub samolotu z biletem w jedną stronę. Czasami wracają, jednak procedura deportacyjna jest wtedy dość szybka.

Miriam jest już od tego daleko. Udało się jej dostać na Zachód. Z daleka od Polski, w której – jak mówią uchodźcy – „nic dla nich nie ma”.

Anna Pietruszka-Dróżdż jest dokumentalistką, autorką filmów o kobietach w islamie: „25 lat po... – zmiany w sytuacji irańskich kobiet 25 lat po rewolucji islamskiej”, „Ivanovo – miasto kobiet”. Prowadzi warsztaty dla uchodźczyń w polskich ośrodkach.



Beata Suszewska

wackie za granicę. Jednak to zbyt duże ryzyko. 17-latkę nie ma jeszcze paszportu. Sytuacja Miriam jest już prawnie jasna, ale jej córki nie. Podróż na wymarzone zawody mogłaby ją drogo kosztować. Miriam nie wie, co powiedzieć trenerowi.

Córkę wychowuje liberalnie, co się znacząco przyczyniło do zerwania kontaktów z innymi uchodźcami. Była krytykowana i obgadywana, a ona chce, aby córka była szczepionką i wykształconą. I aby dzieci urodziła wtedy, gdy będzie na to gotowa, a nie jako nastolatka.

cić na stałe na Ukrainę. Miriam spokojnie pracowała do czasu, gdy została wezwana do urzędu podatkowego, a tam dowiedziała się, że w papierach coś nie gra. Że za dużo zarabia, pracując dwa razy w tygodniu w dwóch firmach. Wtedy zorientowała się, że nie dość, że Ukrainka wróciła, nie informując jej o tym, to jeszcze podjęła pracę na ten sam numer IP. Miriam zadzwoniła do handlarza, ale kazał jej się wynosić. Zadzwoniła więc pod numer, który należał kiedyś do Ukrainki – nadal był aktywny – i zażądała zwrotu pieniędzy. Bez-

GMO to nie samo zło

Jeśli zaprzestaniemy prac nad wprowadzaniem odmian genetycznie zmodyfikowanych, to ucierpią głodujący mieszkańcy globalnego Południa. Na nas spoczywa odpowiedzialność za ich życie!
- mówi prof. dr hab. **JACEK HENNIG** z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN w rozmowie z Patrycją Dołowy



Gdy zadzwoniłam i zapytałam, czy możemy porozmawiać o GMO, powiedziałeś najpierw, że nie chcesz już o tym rozmawiać. Że nie zamierzasz nikogo do niczego przekonywać. Niech bogata Europa robi z tym, co chce, mówi o tym, co chce.

- Tak, bo Europa nie potrzebuje GMO. A skoro GMO budzą tu takie wątpliwości, to po co ludzi do czegośkolwiek zmuszać? Ale Europejczycy mają wybór, a ja myślę o GMO w kontekście innych kontynentów. I głodu. Dla nas to bajka, głód znamy tylko z opowiadań dziadków. W Polsce występuje zjawisko niedożywienia - przynajmniej 800 tys. ludzi codziennie jest w Polsce niedożywionych - ale to nie jest sytuacja głębokiego głodu, jak w czasie II wojny światowej czy wcześniej, podczas wielkiego

kryzysu. Europejczycy nie są w stanie sobie tego wyobrazić i oby nie musieli tego doświadczać. Ale nie powinniśmy być obojętni wobec tego, co przeżywają ludzie w innych częściach świata.

Ale czy sądzisz, że zwykłe uprawy nie wystarczą, by wyżywić ludzkość?

- Niestety, nie. Badania wskazują, że w 2030 będzie nas ponad 9 mld. W związku z tym w ciągu następnych 15 lat musimy podwoić naszą produkcję żywności! Nie da się tego zrobić poprzez tradycyjne rolnictwo.

Czyli tradycyjnej żywności starczy dla małej części ludzkości? Rozwój medycyny i technologii doprowadził do tego, że na Ziemi żyje bardzo dużo ludzi i żeby ich wyżywić, trzeba

również rozwoju w sposobie produkowania żywności?

- Tak, chociaż na pewno nie rozwiąże tego tylko metoda modyfikacji genetycznych. To tylko jedna z dróg. W tej chwili z naukowego punktu widzenia wydaje się być zupełnie niezła, ale myślę, że potrzebujemy zupełnie nowych rozwiązań. Nie jestem bezkrytycznym zwolennikiem modyfikacji genetycznych. Jestem za poszukiwaniem technologii, które zwiększą produkcję rolną w kierunku większej wydajności produkcji żywności - czy to będzie się odbywało przez klasyczne technologie, czy GM, czy techniki, których jeszcze nie wymyśliliśmy. Jednak musimy coś zrobić!

Kilka programów europejskich wprowadza do krajów afrykańskich różne elementy biotechnologii, niekoniecznie związane z uprawami GMO, ale nastawione na poszerzanie bioróżnorodności w uprawach rolniczych. Musimy więc wziąć pod uwagę jeszcze parametr psychologiczny. Jeżeli społeczeństwa i rządy biednych afrykańskich krajów patrzą na dyskusję, która toczy się w Europie, nabierają obaw, czy nowoczesne technologie nie niosą ze sobą zbyt dużych niebezpieczeństw. A wiadomo, jak to jest - dla rządów cena jest niewysoka, jeśli zaprzestaną wspierania technologii i tak się wyżywią. Ludzie już nie... Czuję głęboki dyskomfort w takich sytuacjach.

Fanietajmy, że wszelkiego rodzaju przedsięwzięcia oparte na nowoczesnych

technologiach dokonują się w krajach, które osiągnęły odpowiednio wysoki stopień rozwoju i mają wysokie nakłady na naukę. Te kraje, w których nie ma żywności, to są zwykłe kraje, które nie prowadzą badań, bo nie mają na nie dostatecznych funduszy. Na nas więc spoczywa odpowiedzialność. Dlatego dla mnie szokująca jest argumentacja o zaprzestaniu prowadzenia badań i prac nad wprowadzaniem odmian genetycznie zmodyfikowanych, bo to powoduje nieodwracalne zmiany w środowisku. To przejaw hipokryzji. My będziemy dbać o środowisko, a przecież ono się i tak zmienia, a w krajach dotkniętych niedorozwojem, suszą, wojnami ludzie będą umierali z głodu?

Mówisz, że te technologie, które dziś są, w tym GM, i tak nie zaspokoją wszystkich potrzeb. A jakie to by mogły być technologie, masz jakiś pomysł?

- Mam. I nie tylko ja. Jedyna możliwość przekształcania materii nieorganicznej w organiczną na Ziemi dokonuje się na drodze fotosyntezy. Ten proces jest fascynujący, bardzo skomplikowany, wykształcony na wczesnym etapie tworzenia się życia na naszej planecie, ale jest wysoce niewydajny. Jak zwiększyć wydajność fotosyntetyczną komórki - to jedno z zagadnień, w które nauka powinna inwestować swój potencjał. To jest wąskie gardło.

Drugie wąskie gardło dla ludzkości to brak słodkiej wody. Na pewno muszą powstać technologie, które pozwalają na odsalanie wody słonej, ale koniecznie niskoenergetyczne. To jest bardzo ważne. Być może istotne byłoby także wykorzystanie wody oceanicznej i glonów do produkcji materiałów wysokoenergetycznych. Jeśli będziemy w stanie tworzyć z nich biopaliwa, to ich źródłem będą glony uprawiane na farmach oceanicznych. To się wydaje najtańszym i najbardziej dostępnym źródłem roślin do produkcji biopaliw i żywności (i nie myślę tu o glonach do sushi).

A czy to nie jest tak, że kraje wysokorozwinięte prowadzą wobec krajów biednych politykę utrzymywania ich na stałe niskim poziomie? Dlatego te wszystkie rozwiązania pozostaną tylko teorią? Przecież i dziś nie wozimy do krajów ogarniętych głodem nadwyżek naszej żywności.

- To nie jest zupełnie tak. Wydawało się nam do niedawna, że jesteśmy bezpieczni, bo mamy nadprodukcję żywności. Wystarczyło jednak, że pojawiła się idea biopaliw z rzepaków, żeby zaobserwować, iż nagle - ze względu na ogromny popyt na tę roślinę - po pierwsze rosła jej cena, a po drugie na rynku roślin oleistych mamy nagle deficyt i nie mamy źródła do produkcji olejów spożywczych. To powoduje, że zastępujemy

→ je innymi olejami, których ceny też rosną. Nawet niewielkie zachwiania od razu ten system rozregulowują.

Historia uczy, że problemy z dostępem do dóbr, w tym do żywności, były zarzewiami wojen. Jeśli nie zapewnimy ludziom na Ziemi dostatecznej ilości żywności, będą się działy rzeczy apokaliptyczne. Ale pojawia się jeszcze jedna kwestia. Jest parę krajów, które być może są w takiej sytuacji, że można by je wspomóc żywnością produkowaną w Europie. Jednak musimy brać pod uwagę przyzwyczajenia do określonych form żywności. Nawet jeśli dostarcza się pszenicę kanadyjską do niektórych krajów afrykańskich, to ona nawet tam, gdzie jest głód, się marnuje, bo ludzie potrzebują czegoś innego, do czego są przyzwyczajeni i co zaspokaja potrzeby ich organizmów. A to nie rośnie u nas. Nie ma możliwości, żebyśmy to w naszej strefie klimatycznej produkowali. Uważam, że powinniśmy dostarczać nasion odpornych na suszę odmian roślin, które im są przydatne na pokarm, a nie np. ziemniaków.

A propos ziemniaków. Pamiętam, jak u moich pradziadków były uprawiane ziemniaki z purpurowo-niebieskim miąższem. To była taka odmiana stworzona przez Niemców w XVIII w., pochodna ziemniaków wysokoandyjskich, zawierająca dużo antocyjanów. Te związki (nadają purpurowy kolor burakom i modrej kapuście) są wymiataczami wolnych rodników. Wolne rodniki tworzą

się w komórkach i w nadmiarze prowadzą między innymi do powstawania nowotworów. Wiele krajów próbuje uprawiać takie ziemniaki, ale są bardzo drogie. Natomiast dzięki technologii GM moglibyśmy tę odmianę zrobić. To łatwa droga do zrobienia zdrowego materiału, który w dodatku nie niesie żadnych niebezpieczeństw, bo już takie ziemniaki były na terenie Polski.

Tylko że te ziemniaki, tak jak i złoty ryż (wzbogacony w witaminę A), wcale nie są powszechnie wykorzystywane.

– Bo najpierw trzeba przekonać do tego ludzi. Jeśli konsumenci to odrzucają, to produkcja będzie wiązała się z wielkimi stratami.

W debacie o GMO ważnymi problemami są monokultura i zagrożenia związane z tym, że np. jedna firma posiadająca patent rozprzestrzenia po całym świecie jeden typ kukurydzy i w ten sposób uzależnia go od siebie.

– Tak, ale to zagrożenie już wcześniej istniało i nie dotyczy tylko GMO. Czy zablokujemy GMO, czy nie, zjawiska monokultury, dominacji korporacji, monopolu są już i tak wszechobecne. To nie dotyczy tylko żywności, to samo jest w produkcji samolotów, oprogramowania komputerów, środków czystości, lekarstw, a od jakiegoś czasu także żywności ekologicznej. Jest to koszt rozwoju cywilizacyjnego. Jeśli będziemy blokować produkcję żywności GM, wcale nie

zlikwidujemy tego zjawiska. 10 lipca Komisja Europejska dopuściła możliwość wprowadzenia do Europy soi podwójnie transgenicznej jako materiału paszowego (to są mutacje, dzięki którym można unikać niebezpiecznych pestycydów). W Rumuni bez przeszkód uprawiano przez lata rośliny modyfikowane genetycznie, ale gdy wstąpiła do Unii, dostała zakaz uprawy soi GM. Problem w tym, że rolnictwo rumuńskie potrzebowało soi sojowej. Do tej pory sobie sami ją produkowali, nagle musieli zacząć transportować z Brazylii, co oczywiście wpłynęło negatywnie na ich sytuację ekonomiczną.

Widzę zagrożenia, o których należy ludziom mówić, ale trzeba zachować racjonalizm i obiektywizm w ocenie sytuacji. Nie gwałtyfikować upraw GM, ale nie odżegnywać ich od czci i wiary.

Ale czy nie jest tak, że jeśli się dopuści GMO, to ono wyprze inne uprawy?

– Jeśli chodzi o jednorodne kultury uprawne, to niebezpieczeństwo już jest i nie dotyczy wcale GMO. Czy wiesz, że w tej chwili na Ziemi dominuje około 10 gatunków roślin (niemodyfikowanych) uprawianych w celach spożywczych? Człowiek próbował udomowić około 7 tys. gatunków roślin. Ale w chwili obecnej ważnych jest tylko 150 gatunków, a 10 spośród nich dostarcza 90 proc. kalorii spożywanych przez ludzkość. Już zatem mamy problem, bo

gatunki, które decydują o egzystencji całej populacji ludzi, są za mało zróżnicowane genetycznie. Można sobie wyobrazić takie zmiany środowiskowe (np. podobne do wydarzeń w 1908 r. przez meteoryt tunguski), które zmienią klimat Ziemi i sprawią, że staną się przed wizją globalnego głodu. Bo tych 10 gatunków jest zoptymalizowanych do warunków dziś panujących na Ziemi. Może właśnie dzięki technikom GM moglibyśmy przywrócić bioróżnorodność?

Ważmy pod uwagę, że dziś główną presją na wybór upraw wywiera przewidywany zysk. To on decyduje o bioróżnorodności upraw, które są na rynku. W Polsce mamy zarejestrowanych ponad 100 odmian ziemniaka, a gdy pójdziemy na bazar, mamy najwyżej dwie, trzy do wyboru.

Wpadłem jakiś czas temu na opracowanie dotyczące Zielonej Rewolucji lat 60. XX w., która była prowadzona przez agencje ONZ i polegała na zwiększeniu produktywności rolnictwa w krajach biednych, zwłaszcza tropikalnych i subtropikalnych, dzięki zastosowaniu wydajniejszych odmian roślin uprawnych i nowoczesnych narzędzi HYPERLINK <http://pl.wikipedia.org/wiki/Agrotechnika> agrotechnicznych. Dziś prawie nikt jej nie krytykuje, a wręcz uważa się ją za wielkie osiągnięcie ludzkości. Mówi się, że Zielona Rewolucja była źródłem przyspieszenia gospodarczego w krajach trzeciego świata (głównie Indii), że pokonała głód. Ale czy nie

miała żadnych wad? Spowodowała przecież intensywne powiększenie się przepaści pomiędzy zamożnymi chłopami a biedotą wiejską. Wprowadziła nowe odmiany zbóż, które wymagają w uprawie środków wytwarzanych najczęściej za granicą. W chwili zaprzestania dostaw ziaren przez inne państwa cały projekt mógł upaść. Niezbędne były środki na zakup nawozów, urządzeń nawadniających, pestycydów i maszyn rolniczych. Dostarczanie tej technologii to znakomity interes i duża gałąź przemysłu. Nawozy były opatentowane przez największe na rynku firmy farmaceutyczne, chemiczne, fabryki maszyn rolnych, zakłady przetwórstwa spożywczego, na firmach handlowych i marketingowych skończywszy. Jak widać, firmy międzynarodowe czerpały, czerpią i będą czerpać z tego zyski. To przedsiębiorstwa rolnicze w krajach wysokorozwiniętych decydują, co, gdzie i za jaką wartość wyprodukują rolnicy w państwach tzw. Trzeciego Świata. Dlaczego o tym mówię? Bo te same wątpliwości podnoszą dziś przeciwnicy GM. A o Zielonej Rewolucji mówią jako o jednym z większych osiągnięć XX w. – zniesieniu głodu w Pakistanie i Indiach.

Tymczasem dyskusja toczy się wokół tego, czy rośliny GMO są zdrowe, czy nie. I kiedy przeciwnicy GMO mówią o jakichś niebezpieczeństwach – często nieuzasadnionych naukowo – to popierający GMO myślą: „Co za bzdury, przecież dowody naukowe

pokazują, że nie ma zagrożeń, o których mówią tamci”, i koło się zamyka. Ponadto przeciwnicy i tak nie słuchają zwolenników, twierdząc, że zwolennicy są kupieni przez koncerny, a ich wiedza nie jest obiektywna. Tymczasem poważnym problemem, dotyczącym nie tylko GMO, ale wnosząc z tego, co mówisz, w ogóle żywności, jest kwestia własności, zezwoleń, patentów – polityka licencyjna. Rolnicy coraz częściej są uzależniani od jednego producenta. Zdarzają się przypadki, gdy tracą swoje ziemie, bankrutują, gdyż nie stać ich na spłacanie licencji i odszkodowań za naruszanie licencji wobec wielkich koncernów.

– Jeśli ktoś jest twórcą dzieła artystycznego czy modyfikowanego organizmu, powinien mieć prawa własności. Jednak warto by się zastanowić nad przepisami, które pozwolą na odmonopolizowanie produkcji nasion i środków ochrony roślin. To duży temat wart rozmowy. Ale nie wiem, jak to można rozwiązać. Sama różnorodność i upowszechnienie mogą nie być wyjściem. Mamy na przykład na rynku parędziesiąt proszków do prania i pozorny wybór. Bo czy równie dużo jest producentów głównego komponentu tych wszystkich proszków? Na każdym etapie rozwoju cywilizacji stajemy przed niebezpieczeństwami, czasami one okazują się realnymi problemami. Ale czy to oznacza, że jako ludzkość mamy się nie rozwijać?

Ale „Polityka”



HANNA GILL-PIĄTEK
Autorka felietonu jest koordynatorką
świetlicy Krytyki Politycznej w Łodzi

W jednym z pamiętników mojej babki znalazłam poślizgnięty wycinek prasowy z 1968 r. Opisane są w nim straszne rzeczy, które niekompetentni panowie Michnik, Kuroń i Modzelewski chcą zrobić z naszą piękną socjalistyczną ojczyzną. Ich sztabackie wyczyny są opłacane z imperialistycznych, splamionych krwią petrodolarów. Zamiary może i mają szczerze, ale jako ludzie młodzi dali się zwieść niepotwierdzonym pogłoskom propagowanym przez wrogów ludu. I do tego – nie da się ukryć – nieźle na tym zarobili. Ich argumenty są oparte na mrzonkach, ich autorytety to fałszywi prorocy. Głównym celem tych niebezpiecznych prowodyrów jest zatrucie umysłów zdrowym ludowym masom, na których budujemy naszą świetlaną przyszłość.

W 15. numerze tegorocznej „Polityki” znalazłam obszerny artykuł „Ale GMO!” autorstwa Marcina Rotkiewicza. Opisane są w nim straszne rzeczy, które niekompetentni panowie Kryda, Górski i Surmacz oraz jedna równie oczadziła pani Matera z Instytutu Spraw Obywatelskich chcą zrobić z naszą piękną kapitalistyczną ojczyzną. Ich sztabackie wyczyny są opłacane za unijne, splamione niedostatecznym nadzorem, euro. Zamiary może i mają szczerze, ale jako ludzie młodzi dali się zwieść niepotwierdzonym pogłoskom propagowanym przez wrogów nauki. I do tego – nie da się ukryć – nieźle na tym zarobili. Ich argumenty są oparte na mrzonkach, ich autorytety to fałszywi prorocy. Głównym celem tych niebezpiecznych prowodyrów jest zwodzenie zdrowych na umyśle konsumentów, którzy przecież już wiedzą, że genetycznie modyfikowana żywność jest naprawdę super.

Czym się tak podłożyli panowie Kryda, Górski i Surmacz oraz pani Matera z małej łódzkiej fundacji? Prowadzą aktywnie kampanię „Naturalne geny”, w ramach której starają się propagować wiedzę o genetycznie modyfikowanej żywności. Wiedza ta nie zawsze spodobałaby się wielkim koncernom od dawna próbującym uzależnić polskich rolników od corocznie kupowanych ziaren (przechowywanie i reprodukcja opatentowanych nasion są zabronione). Nie podobałaby się także przedstawicielom amerykańskiej dyplomacji, którzy – co łatwo znaleźć w depeszach ujawnionych przez WikiLeaks – od lat naprawdę ciężko pracują ramieniem w ramieniu z biznesem biotechnologicznym, żeby wreszcie tylnymi drzwiami przepchnąć korzystną dla siebie ustawę o nasiennictwie. Nie lubi jej również Marcin Rotkiewicz, który od grudnia z uporem godnym lepszej sprawy zamienia dział naukowy „Polityki” w entuzjastyczną pieśń na cześć genetycznie modyfikowanego papu, jakbyśmy tego naturalnego mieli w Polsce za mało. Wszystko podlane świeżym naukowym sosem: jedz, na zdrowie, trzecia nóżka ci nie wyrośnie.

Nie jestem naukowczynią i nie mam zamiaru spierać się z Rotkiewiczem na tym gruncie. Być może dla niego ćwierć miliona indyjskich rolników, którzy popełnili samobójstwa przez konieczność kredytu, to cena możliwa do zapłacenia, żebyśmy wesoło korzystali w laboratoryjnych nowinkach. Ale żyłam parę lat w tzw. poprzednim systemie i podnosi mi ciśnienie znany z „Trybuny Ludu” styl walki z przeciwnikiem, polegający na rzucaniu kalumnii, argumentach ad personam i kopaniu po kostkach. Zwłaszcza jeśli obiektem ataku jest sensowna organizacja pozarządowa, których w Polsce, a zwłaszcza w Łodzi, nie mamy zbyt wiele. Nie mogę znieść, że z wiadra kaka wylewanego na INSPRO bryzgają również na Greenpeace czy alternatywne łódzkie Radio Żak, w którym – cenna rzadkość – nie usłyszycie żadnej reklamy. Mam wrażenie, iż Rotkiewicz próbując skompromitować wielką grupę myślących osób, ani na chwilę nie myśli o tym, jak to wpłynie na zaufanie społeczne do całego trzeciego sektora w Polsce. Bo przecież nie działają w nim sami specjaliści. Na podstawie logiki Rotkiewicza łatwo zdyskredytować np. działania Ewy Błaszczyk na rzecz dzieci w śpiączce. Jest aktorką, nie lekarką.

Łódzkie INSPRO stara się publikować badania i opinie, które trudno znaleźć w oficjalnym obiegu, na przykład w „Polityce”. Zastawili na to środki w publicznych konkursach i transparentnie je rozliczyli. Rotkiewicz krzyczy: „Na co poszło te 195 tys. zł? Może na nagrodzenia?”. Tak, zgadza się, również. Jest po odjęciu kosztów podzielić tę sumę pracą sześciu ludzi oraz czas trwania kampanii, na osobę wychodzi 800 zł brutto miesięcznie. Znam ludzi z INSPRO i wiem, jak ciężko harują, nie tylko w kampanii „Naturalne geny”. Od lat prowadzą akcję „Tiry na tory” czy upominają się o docenienie pracy kobiet w domu. To nie są wdzięczne tematy. Nie wspomnę, kiedy potrzeba pomocy w lokalnych łódzkich sprawach, zawsze można na nich liczyć. Jestem pewna, że za taki wysiłek po te osiem stów nie schyliłby się jakikolwiek dziennikarz.

Gdybym miała jakkolwiek nawiązać pozostawienie do artykułu „Ale GMO”, ten tekst zaczynałby się zdaniem: „O upadku dziennikarstwa śledczego w Polsce może świadczyć fakt, że zabierają się za nie śpiewacy barokowi”. To przecież hobby autora. Dziwi mnie, że taki tekst w ogóle został opublikowany w „Polityce”, choć ledwo nadawał się na portal polityce. Nie chodzi nawet o dysproporcję między dużym pismem a małą organizacją, która prócz prezentacji odmiennych poglądów nie zrobiła nic złego. Raczej o dziecinarną uczciwość, o którą walczyli ostatni naczelnicy tygodnika Jerzy Baczyński, sprzeciwiając się korupcyjnym propozycjom publikowania hymnów pochwalnych na rzecz Ministerstwa Rozwoju Regionalnego bez umieszczenia ich w ramce „reklama”. Tymczasem Marcin Rotkiewicz swoje umiejętności rzeczowego przedstawiania faktów kształcił już z tego tematu na warsztatach „Who should communicate with the public and how”, zorganizowanych przez European Federation of Biotechnology, której członkiem jest koncern Monsanto. Warsztaty dotyczyły wypracowania sposobów komunikowania społeczeństwu, jak dobre produkty żywnościowej biotechnologii. Jeszcze przy okazji uczono tam takich standardów debaty publicznej, jakie w tekście „Ale GMO” prezentował Rotkiewicz, to naprawdę wspierają „Polityce”.

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA



1. Skąd mucha ma taki refleks, że „stojąc do mnie tyłem”, zdąży uciec przed łapką na muchy?

Cała tajemnica w oczach. Mucha rozmowa, podobnie jak wiele innych owadów, posiada oczy złożone (mozaikowe, fasetkowe). Składają się one z wielu – u muchy z kilku tysięcy – zrębowanych ommatidiów. Każde ommatidium to „osobne oko” posiadające rogówkę, soczewkę, stożek krystaliczny, komórki zmysłowe i pigmentowe. Owad nie widzi zatem tak jak człowiek – jednego barwnego, wyraźnego obrazu – lecz tysiące małych, które mogą składać w swoistą mapę. Aby wyobrazić sobie taką mozaikę, usiądźmy bardzo blisko telewizora – poszczególne punkty świetlne mogą symbolizować ommatidia w oku muchy. Mozaikowy obraz odbierany przez owady jest nieco rozmazany, pełen „szumów”. Ich oczy rejestrują stosun-

kowo mało szczegółów, ale za to pozwalają świetnie reagować na ruch. Mucha – czy nam się to podoba, czy nie – ma nad nami też inną przewagę. Jej oko dzięki możliwości przemieszczania się barwników staje się wrażliwsze w półmroku i jest chronione przed znacznym pobudzeniem przez ostre jasne światło.

Mucha jest więc mistrzem widzenia ruchu – jej oko rejestruje 200 obrazów na sekundę (człowieka najwyżej 20). Ale to jeszcze nie wszystko! Kształt jej oka zapewnia pole widzenia równe 360 stopniom, można więc powiedzieć, że „ma oczy z tyłu głowy”. Wszystko to daje zbliżającą się do 100 proc. szansę na ucieczkę. W starciu na refleks zdrowa mucha po prostu musi z nami wygrać.

2. Czy papierosy obniżają potencję?

Tak, panowie, od tej prawdy nie da się uciec: palenie papierosów zwiększa ryzyko impotencji o około 50 proc. Nikotyna prowadzi



do nadmiernego uwalniania różnych substancji – np. noradrenaliny – które odpowiadają za obkurczenie mięśni gładkich naczyń krwionośnych. Krew ma więc utrudniony przepływ do prącia i nie dochodzi do wzwodu. Nikotyna ma też bardzo niekorzystny wpływ na ilość i jakość nasienia – młody palący mężczyzna może pod tym względem porównać się do niepalącego 70-latk. Jego plemniki są znacznie mniej, są mało ruchliwe i krócej żyją. Palenie może także prowadzić do uszkodzenia materiału genetycznego w nasieniu.



Nasza nagroda:

„Ptaki – Encyklopedia”
– Wydawnictwo Naukowe
PWN

3. Podobno po zjedzeniu czekolady człowiek wprowadzony jest w stan podobny do zakochania. Czy zatem jeśli jest się zakochanym i zje się czekoladę, to uczucie będzie podwójne?

Zawarta w czekoladzie fenyletylamina bierze udział w wytwarzaniu w organizmie endorfin oraz serotoniny – neuroprzekazników związanych z uczuciami. Dzięki tym związkom czujemy się szczęśliwi i odprężeni. Osoba zakochana jedząca czekoladę będzie miała więc oczywiście wyższy poziom serotoniny

niż ta tylko zakochana. Nasz organizm nie jest jednak dla nas łaskawy – będzie się bronił przed przekroczeniem prawidłowych poziomów wszelkich związków chemicznych. Nadmiar serotoniny może natomiast wywołać kłopoty z łaknieniem. A także – uwaga – trudności w wyrażaniu uczuć.



MAREK RACZKOWSKI



Kto od-cięży młodzież?

Dzisiaj na wakacyjny telefon zaufania zadzwonią kolejne osoby, które padły ofiarą braku edukacji seksualnej w polskich szkołach

ALINA SYNAKIEWICZ

Mam 14 lat, poznałam wczoraj na dyskotecę Karola, który ma 24 lata, wczoraj się całowaliśmy, a dziś umówiliśmy się na spotkanie. Słyszałam, że za pierwszym razem nie można zajść w ciążę. To prawda?”

„Moja panna namawia mnie na seks bez zabezpieczenia. Mówi, że woli się kochać bez gumki i że zdązę się wycofać przed wytryskiem. Czy mam się zgodzić?”

Takie dramatyczne pytania otrzymują osoby dyżurujące przy Wakacyjnym Telefonie Zaufania organizowanym w tym roku po raz siódmy przez Grupę Edukatorów Seksualnych Ponton.

– W zeszłe wakacje w ciągu trzygodzinnego dyżuru dostawaliśmy nawet ponad 200 SMS-ów w pytaniach – mówi Aleksandra Józefowska, koordynatorka grupy. – Poziom wiedzy młodych ludzi na tematy związane z seksualnością czy antykoncepcją jest bardzo niski, co często ma tragiczne skutki.

Co roku osoby dyżurujące odbierają nawet kilkanaście zgłoszeń od dziewcząt w niechcianej ciąży, nawet 14-latek. Częstym problemem jest przemoc w relacjach intymnych, w rodzinie lub w grupie rówieśniczej. W SMS-ach nierzadko pojawiają się deklaracje: „Dzięki, że jesteście, bo dotąd nikogo nie odważyłam się o to zapytać”.

Antykoncepcja jako wymysł szatana

W 2009 r. edukatorzy Pontonu przeprowadzili kampanię „Jak naprawdę wygląda edukacja seksualna w Polsce”. W odpowiedzi przyszło ponad 600 e-maili opisujących lekcje „wychowania do życia w rodzinie”. Blisko 40 proc. osób, które zdecydowały się napisać, zgłosiło, że nigdy nie miało takich lekcji, a 24 proc. deklarowało, że były one prowadzone przez katechetę lub inną osobę związaną z Kościołem katolickim. Młodzież miała okazję usłyszeć na tych lekcjach, że „homoseksualistów należy leczyć, gwałt jest karą za rozwiązłość, a antykoncepcja to wymysł szatana”.

Przyszło także wiele e-maili od młodzieży z konkretnymi oczekiwaniami: „Na tych zajęciach powinny być przekazywane informacje na prawdę potrzebne, nie tylko pouczanie i straszenie seksem. Powinniśmy się dowiadywać wszystkiego o antykoncepcji. Żeby nie było tak jak w mojej szkole – początek liceum, a dwie dziewczyny już w ciąży”. „Powinny być informacje o tym, kiedy się zgodzić na pierwszy raz, kiedy lepiej poczekać, a nie tylko jedna formułka – seks po ślubie. Mogliby nam też dokładnie mówić, jak się zabezpieczyć przed chorobami, jak dbać o higienę intymną”. Inny nastolatek pisze: „Takie zajęcia powinna prowadzić osoba pracująca poza szkołą, najlepiej w zawodzie seksuologa”. Pojawiały się sugestie, by na zajęciach mówiono o innych niż heteroseksualna orientacjach seksualnych, o asertywności i zapobieganiu przemocy seksualnej. „»Wychowanie do życia w rodzinie« to nie najlepsza nazwa. »Wychowanie seksualne« (edukacja

seksualna itp.) z pewnością lepiej odnosi się do zagadnień, jakie należałoby poruszać z dorastającą młodzieżą” – zauważa jedna z osób – Młodzież dobrze wie, czego potrzebuje i potrafi swoje potrzeby komunikować. Szkoda, że ten głos jest ignorowany – mówi Jacek Fiederson, edukator Pontonu.

O czym (nie) mówią rodzice

Przeciwnicy edukacji seksualnej w szkole uważają, że „uświadamianie” młodzieży to sprawa rodziny, która robi to najlepiej. Edukatorzy i edukatorzy Pontonu postanowili zbadać, czy to prawda. W odpowiedzi na kampanię „Skąd wiesz? Jak wygląda edukacja seksualna w polskich domach” przyszło prawie 4 tys. e-maili. Ponad 44 proc. ankietowanych przyznało, że nigdy nie rozmawiało z rodzicami na temat seksualności, 53 proc. nie dostało w domu rodzinnym żadnych informacji na temat antykoncepcji.

Ci, którzy mieli pozytywne doświadczenia z rozmów z rodzicami, przyznawali, że dzięki nim potrafili bardziej akceptować swoją seksualność, stworzyli bardziej szczere i partnerskie związki. Jeśli rodzice

rozmawiali z nimi, zanim nastąpił okres dojrzewania, lęki i niepokoje związane z naturalnymi zmianami w ciele i psychice były dużo mniejsze niż u osób, które takiej wiedzy od rodziców nie otrzymały. „Gdy miałam 11 lat, mama zabrała mnie na rozmowę i jasno wytłumaczyła, skąd się biorą dzieci. Później, gdy w wieku 12 lat dostałam miesięczkę, przekazała mi informacje na temat higieny, cyklu w ogóle, antykoncepcji i pierwszej wizyty u ginekologa. Dodała, że jeśli będę potrzebowała antykoncepcji, mam jej powiedzieć, a zawsze mi pomoże. Gdy miałam 16 lat, poprosiłam mamę o wizytę u ginekologa, żeby dobrać antykoncepcję. Nie zawiodła mnie” – opisuje swoje doświadczenia jedna z respondentek. Niektóre osoby postrzegają rozmowy z rodzicami na temat seksu jako formę zapobiegania przemocy seksualnej. Dobitnie wyraziła to jedna z kobiet: „Seks właściwie był tematem tabu u mnie w domu. Dlatego zostałam wykorzystana”.

Anatomia, asertywność, antykoncepcja

W maju tego roku jedna z edukatorek Pontonu Anka Grzywacz podczas wizyty studyjnej w Sztokholmie odwiedziła instytucje dla młodzieży, które świadczą pomoc w zakresie zdrowia reprodukcyjnego i seksualnego. – Zobaczyłam, jak wyglądają dobre praktyki w kraju, gdzie edukacja seksualna jest obecna w szkołach od kilkunastu lat, a państwo nie szczędzi funduszy na wspieranie zdrowia seksualnego i rozwoju młodych ludzi – mówi wolontariuszka. Ankę zaprosiło centrum poradnictwa dla młodzieży, które rocznie przyjmuje około 13 tys. osób między 13. a 23. rokiem życia. Większość młodych ludzi odwiedza lekarzy/lekarki i położne, szukając pomocy w sprawach zdrowia seksualnego i antykoncepcji, a pozostałe osoby korzystają z usług doradców (pracowników socjalnych i psychologów). Polska edukatorka odwiedziła też RSFL Sztokholm – organizację prowadzącą np. projekt Egalia, w ramach którego młodzież LGBT w wieku 13–19 lat może spotykać się po szkole, dowiadywać się więcej na temat swojej seksualności, przebywać z innymi młodymi ludźmi o różnych orientacjach seksualnych i tożsamościach płciowych. Podczas każdego dyżuru do centrum przychodzi około 40 osób, które mogą rozmawiać,

uczestniczyć w grach czy wspólnie przygotować posiłki. Prowadzona jest także edukacja seksualna.

Wszystkie działania tych organizacji są dotowane z funduszy publicznych. W szwedzkich szkołach zajęcia z „seksualności i relacji międzyludzkich” – tak nazywa się ten przedmiot – są realizowane od 1955 r., uczestniczą w nich już dzieci pięcioletnie, które uczą się stawiania granic i szacunku do własnego ciała, co ma między innymi zapobiegać wykorzystywaniu seksualnemu. Szwedzka szkoła dostarcza uczniom dużo informacji na temat anatomii, antykoncepcji, infekcji przenoszonych drogą płciową itp. Prowadzi się także dyskusje na temat miłości, seksualności, relacji międzyludzkich, kładąc przy tym nacisk na promowanie równości płci. Problem nieletnich ciąż czy infekcji przenoszonych drogą płciową jest o wiele mniejszy niż w krajach, w których zagadnień związanych z edukacją seksualną nie prezentuje się tak szeroko. Dla rodziców prowadzi się także zajęcia, które pomagają im potem uświadamiać własne dzieci.

Życzenia dla minister edukacji

Ostatnio Grupa Ponton na swojej stronie złożyła minister edukacji Krystynie Szumilas życzenia z okazji Dnia Żółwia. Znalazła się w nich informacja o opieszałości ministerstwa, które od lat nie odpowiada na raporty i apele o wprowadzenie w szkołach rzetelnych zajęć z edukacji seksualnej. Czy następne życzenia Ministerstwo Edukacji będzie musiało dostać z okazji Dnia Strusia?

Alina Synakiewicz
jest pedagogką i edukatorką seksualną.

Ponton
telefoniczna pomoc edukatorów seksualnych
507832741
lipiec-sierpień, 19.00-21.00
dzwoń lub smsuj
www.ponton.org.pl



W czerwcu poseł John Godson (PO) opowiadał w wywiadzie dla „Dużego Formatu” o klapsach wymierzanych kapciem, a na łamach „Frondy” usprawiedliwiał swoje postępowanie boskimi nakazami.

Na początku roku opinią publiczną wstrząsnęła informacja o książkach, których autorzy zalecają bicie dzieci w imię Boga. W lutym wydawnictwo Vocatio wycofało ze sprzedaży dwie z nich – „Jak trenować dziecko?” Michaela i Debbie Pearl oraz „Mądrą miłość” Betty Chase. Wciąż jednak w sprzedaży znajdują się cztery takie poradniki, a kontrowersyjne metody zalecane przez ich autorów dzielą polskich chrześcijan i wywołują dyskusje o zasadności stosowania kar cielesnych w chrześcijańskim wychowywaniu dzieci.

Instrument bólu

„Nie kocha syna, kto różgi żałuje, kto kocha go – w porę go karci” – ten cytat z Księgi Przysłów jest jednym z kilku biblijnych fragmentów, które w opinii niektórych chrześcijan usprawiedliwiają czy wręcz nakazują stosowanie kar cielesnych wobec dzieci. Najdalej w dosłownym traktowaniu biblijnej różgi posunął się J. Richard Fugate, autor poradnika „Wychowanie dziecka według Pisma Świętego” (wyd. Pojednanie). W jego książce można przeczytać: „Dlaczego mamy używać różgi do ukarania dziecka? Pierwszą i jedyną przyczyną powinno być to, że Słowo Boże tak nakazuje”. Można się też dowiedzieć, że „rodzice, którzy prawdziwie pragną dobra swojego dziecka, będą je karać cielesnie w zaranu jego życia”. Chcąc nauczyć sześciomiesięczne niemowlę znaczenia słowa „nie”, gdy dziecko się wierci podczas przewijania, rodzice powinni uderzyć je różgą, wypowiadając to słowo, i robić to „tak często, jak jest to konieczne”, aż dziecko zacznie reagować na samo „nie” i przestanie się wiercić. Użycie różgi jest najlepsze, ponieważ „jest ona przedmiotem neutralnym, a nie częścią osoby, jak np. ręka. [...] Kiedy dziecko jest karcone różgą, jego uwaga jest całkowicie skupiona na instrumencie bólu, a nie na osobie używającej go”. Różga powinna „rosnąć” wraz z dzieckiem – im większe dziecko, tym większy patyk.

Autorzy pozostałych książek zalecających bicie dzieci w imię Boga nie są aż tak

Czy(m) Bóg każe bić dzieci?

ANNA GOLUS



Powoływanie się na Biblię w kwestii karania dzieci to reakcyjność zwalczana przez chrześcijańskie Kościoły, tymczasem w katolickiej Polsce wciąż dostępne są poradniki stosowania przemocy wobec najmłodszych

Anna Golus jest inicjatorką kampanii „Kocham. Nie daję klapsów”, która ma na celu uświadamianie, że żadna forma przemocy wobec dziecka – nawet „niewinny klaps” – nie może być bagatelizowana. O tym, „Co zamiast klapsa?”, na Stopklapsom.pl.

rygorystyczni, jeśli chodzi o „instrument bólu”, i dopuszczają używanie np. pasów i drewnianych łyżek – wszystkich jednak łączy przekonanie, że ręka rodzica powinna służyć do okazywania czułości, a kara cielesna wymaga zastosowania „neutralnego przedmiotu”.

Dosłowna nadinterpretacja

– Biblia jest tak bogatą księgą, że rzeczywiście w oparciu o kilka jej fragmentów można napisać książkę. Rzecz w tym, aby ich wybór oraz analiza nie prowadziły do wniosków zaprzeczających samą Biblię – mówi ojciec Marek Kosacz, opłun Duszpasterstwa Młodzieży SCHROBOWIA w Poznaniu. – Konieczność interpretacji a nie odbierania dosłownie, biblijnych słów o różdze wydaje się więc oczywiste. Niedopuszczalne jest mówienie dziecku: „Biję cię, ponieważ tak mi każe Bóg w Biblii”. To nie jest ani boże, ani ludzkie. Przy czytaniu i interpretacji biblijnych wersów trzeba brać pod uwagę kontekst całej Biblii, czasów, w których powstała, jej księgi, oraz rozwój objawienia – wyjaśnia ojciec Marek.

Warto też wziąć pod uwagę kwestię maczenia. Chrześcijańscy przeciwnicy bicia dzieci na całym świecie podkreślają, że hebrajskie słowo „shebet” oznaczał laskę, kij pasterski używany do zagania owiec i wskazywania im drogi (a nie cienki patyk służący do bicia), a pojawiające się w wersetach o różdze słowo „na’ar” – dorastającego młodzieńca (a nie dziecko obu płci i w każdym wieku). Chcąc traktować dosłownie biblijną różgę, należałoby więc bić grubym kijem tylko dorastających synów.

Osoby twierdzące, że biblijna różga wymaga interpretacji – jak Fugate – dodają więc daleko idącą nadinterpretację, która ma usprawiedliwić przemoc.

Pięć minut płaczu

„Mój brat [...] wyznał mi, że bije swoją paręczką różgą! Bardzo mnie to zaszokowało i nie wiedziałam, co mam powiedzieć. W końcu jego dziecko ma dopiero sześć miesięcy! Mówił, że jego dziecko jest zbuntowane i on je wychowuje w duchu chrześcijańskim, wykorzenia z niego zła od początku i że dowiedział się o takich »chrześcijańskich« metodach wychowywania dzieci z pewnej książki, napisanej przez Amerykanów” – napisała „Zatrudniona” na jednym z forów chrześcijańskich

Ta dziewczynka, dzisiaj czteroletnia, nie jest jedynym polskim dzieckiem wychowywanym w duchu tak pojmowanej dyscypliny. Po wycofaniu ze sprzedaży wspomnianych poradników niektórzy chrześcijanie stanęli w obronie pozostałych książek i prezentowanych w nich metod. „Gość Niedzielny” opublikował list czytelniczki uważającej, że książka Pearlów jest „znakomita”, a na utworzonej przez anonimowych obrońców tych poradników stronie „Stop cenzurze książek chrześcijańskich” i wydarzeniu na Facebooku można znaleźć wypowiedzi osób zachwyconych nauczaniem Pearlów i Fugate’a oraz stosujących metody Betty Chase czy Dobsona (który w poradniku „Dzieci i wychowanie” zaleca rodzicom, by pozwalali dziecku na płacz po laniu przez najwyżej pięć minut, po upływie których – jeśli dziecko wciąż płacze – płaczem pełnym skargi i żalu, a nie jedynie bólu – powtórzyli lanie).

„Wychowaliśmy dzieci z pomocą porady z większości tych książek, a dr Dobson miał największy wpływ na mojego męża [...]. Nigdy nie myśleliśmy o tym jako o »biciu« i dzieci nie były »bite«, ale karane z miłością” – pisze jedna z internetek.

„Posiadam i czytam niektóre z zakazanych książek. Mam o nich bardzo pozytywne zdanie [...]. Żaden argument nie przekona mnie co do zasadności oskarżeń na rady w nich zawarte” – wyznaje czytelniczka poradników Fugate’a i Pearlów, która choć sama nie biła swoich dzieci, gdy były niemowlętami, nie widzi nic złego w takim „treningu”. „Jeśli moim celem byłoby nauczanie dziecka zakazu robienia czegoś [...], co miałyby mnie powstrzymać? Dwumilimetrowa gałązka wierzbowa to nie narzędzie tortur – proszę spróbować na sobie. Proszę zerwać sobie 25-centymetrową różgę o średnicy 2 mm i smagnąć się – potem pomyśleć, czy to narzędzie zbrodni...” – zachęca.

Co mogłoby powstrzymać współczesnego rodzica od uderzenia niemowlęcia różgą? Może świadomość skutków takiego postępowania? Psycholog dziecięca Agnieszka Stein wyjaśnia: – Co czuje niemowlę, kiedy się je uderza? Strach. Wiadomo, co dzieje się w głowie dziecka, bo można to sobie obejrzeć za pomocą specjalnej aparatury. Gdy dziecko w tym wieku czuje silny strach, jego mózg zalewają hormony stresu, które są dla niego toksyczne. To zaburza prawidłowy rozwój mózgu i naraża na szczególnie wielkie szkody ośrodki odpowiedzialne za emocje oraz pamięć. Rodzice, którzy chcą, aby dziecko dobrze radziło sobie z emocjami i miało dobrą pamięć, nie powinni traktować go w ten sposób – konkluduje.

Wskazać nową drogę

– Jezus błogosławił dzieci i dawał je za wzór wiary. On ich nie bił, nie dyscyplinował i nie karcił. On je przytulał i błogosławił! – mówią Magda i Rafał Karpienia, rodzice trojga dzieci. – Tak jak pasterz używa pasterskiego kija do wypasania owiec. Pasterz nie bije swoich owiec, ale wskazuje im laską drogę.

O tym fakcie przypomina też apel przełożonego salezjanów ks. Pascuala Cháveza, który w listopadzie zeszłego roku wezwał wszystkie wspólnoty salezjańskie do wzmocnienia zaangażowania na rzecz wychowania bez kar cielesnych, apelując o modlitwę i działanie pod hasłem „Dość przemocy wobec dzieci: na rzecz pozytywnego wychowania bez kar cielesnych i innych okrutnych oraz poniżających form karania”.

– Warto zauważyć ten apel. Jeśli został napisany i ogłoszony, to znaczy, że na problem fizycznej przemocy wobec dzieci i młodzieży w ich wychowaniu trzeba koniecznie zwrócić uwagę! – komentuje ojciec Kosacz. I dodaje – Czy zostanie zauważony przez innych? Chciałbym bardzo, aby tak było.

REKLAMA

SUKCES



A w nim:

- Kolorowy instynkt Ingłota...
- Czym jeżdżą polscy prezesi...?
- Porzuć ciepłą posadę i ruszaj za marzeniami!

POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET



Available on the App Store



Google play

www.sukcesmagazyn.pl

28 spojrzeń na Homiki

„Lubiewo” Michała Witkowskiego doczekało się komiksowej adaptacji – ukazuje się „Wielki Atlas Ciot Polskich”

JACEK TOMCZUK

To jest ohydne. Ohydne i ciekawe jednocześnie. Nie opublikuję tego przecież. No bo i jak? Reportaż dla „Polityki”? „Na własne oczy”? Jak? Można zrobić o tirórkach, złodziejach, o zabójcach, o złomiarzach, o zdrajcach, bo już ktoś o nich robił, a tylko o tym jakoś nie da rady. Dzikie chaszcze. Choć nikt tu nikomu nie wyraża krzywdy. Nie ma języka, żeby o tym mówić, chyba że dupa, chuj, obciążać, luj. I tak długo powtarzać te słowa, aż wypierze się cały koszarowy nalot. Jak słowo „pochwa” w „Monologach waginy”. Nie dziwię się, że nikt nie napisał o tym reportażu – dręczy się literacka Michaśka, snując opowieść o dwóch podstarzałych, wrocławskich ciotach – Patrycji i Lukrecji. Patrycja: grubawy, zniszczony mężczyzna z wielką łysiną i bardzo ruchliwymi krzaczastymi brwiami. Lukrecja: 50 lat. Gładko ogolona twarz, cyniczny, chudy. Mówią o sobie w rodzaju żeńskim, udają kobiety, do niedawna podrywali facetów w parku, pod operą i na dworcu. Są uzależnieni od seksu.

Witkowskiemu jednak się udało opisać ich świat, na dodatek zgarnął całą pulę nagród, tłumaczeń, splendoru. Od tamtego czasu cioty, geje, homiki, lesbijki, transiory... doczekały się setek reportaży, pierwszo- i drugoplanowych ról w spektaklach, filmach, serialach, całej biblioteki książek. Dzikie chaszcze, które społeczeństwo omijało z daleka (z artystami włącznie), zamieniły się w całkiem zadbane ogródki, w którym tylko jedna, komiksowa grządka jakoś leżała odłogiem. Jako pierwszy odważył się wbić tam łopatę Piotr Marecki, szef Ha! artu.

– „Wielki Atlas Ciot Polskich” wymyślił się razem z Michałem Witkowskim, który bardzo lubi komiksy – mówi w wywiadach Marecki. – W samym „Lubiewie”

napisał zresztą o takim „Atlasie Ciot”. To pierwszy tego typu projekt w Polsce.

Nieociosani, ordynarni, prząśni

28 rysowników opowiedziało po swojemu kilkanaście pedalskich historyjek. O Florze restauracyjnej, który żył „przez sześć lat z takim kucharzem nawet dość lujowatym...”. O Ali-gatorzycy, któremu nie chciało oddać w supermarkecie torby z przechowalni, a przecież w środku były „lusterko, przybory do makijażu, damski grzebyk”. O Fredce, który co miesiąc przeznacza część emerytury na opłacenie lujów...

– Marecki chciał, by „Lubiewo” zrobiła jedna osoba. Miał to być Janek Koza. Pasował idealnie – mówi Szymon Holcman, założyciel wydawnictwa komiksowego Kultura Gniewu.

– Parę lat temu szukałem pomysłu na większy komiks. I ktoś podsunął mi książkę Witkowskiego – wspomina Koza. – Nie wiem, czy dlatego, że też pochodzę z Wrocławia, czy dlatego, że moje nieco chropowate rysunki pasowałyby do tych nieociosanych, prząśnych

typów opisanych przez Michała. A może dlatego, że kilka razy narysowałem już wcześniej akt pociowy dwóch mężczyzn? Powieść mi się spodobała. Z jednej strony opisuje rzeczywistość lat 80. taką, jaką też pamiętam. Z drugiej jest w tej historii jakaś nierealność, oniryczność. Szkoda, że nie dogadaliśmy się. Michał niby powiedział „tak, chętnie”, ale chciało mi się wszystko na papierze. Tyle że żadne wydawnictwo nie chciało podpisać pieru na komiks. Powstał jeden rozdział i rozstaliśmy.

– Marecki nie odpuszczał, wymyślił, żeby prosić grupę rysowników i zrobić rodzaj antologii. Zostaliśmy z Jakubem Wojtą. Ja wybrałem grupę ludzi ze środowiska sztuki komiksowej, Jakub artystów wizualnych – opowiada Holcman.

Pisuaressa, która była wredna dla ciot

– Gdy „Lubiewo” ukazało się w 2005 r., wszyscy o tym mówili, więc też zacząłem czytać – mówi Justyna Gryglewicz. – Na początku

nawet mi się podobało, ale z każdą kartką robiło mi się coraz słabiej. Na 60. stronie już odpadłam – jak dla mnie za dużo perwersji, wyuzdania, obciążów. Może dlatego do zilustrowania wybrałam chyba najkrótszą z historii.

To opowieść o Maciejowej, który chciał zmieścić. Niestety, zamiast hormonów żeńskich wcielił jej na targu... testosteron.

Rozdział Justyny jest rzeczywiście najkrótszy w całym „Atlasie...”. Ma jedną stronę.

– Akto powiedział, że małe jest złe? Nie jestem komiksiarzem, nie zajmuję się opowiadaniem historii z dymkami. Podeszłam do tego zadania jak grafik: opowiedzieć tę samą historię po swojemu, za pomocą znaków. Można tę planszę potraktować jak komiks, ilustrację albo wydrukować i powiesić na ścianie – mówi Gryglewicz.

– Książkę znam z TVP Kultura, gdzie Witkowski czytał fragmenty – mówi Mikołaj Tkacz, redaktor naczelny komiksowego zinu „Maszin”. – W pamięci zapadł mi rozdział o ciotach przebiegających się z jednej kabiny do drugiej po obelżonej podłodze. Kiedy dostałem propozycję z Ha! artu, od razu wiedziałem, co chcę narysować.

„Pisuaressa z Dworca Głównego” to historia o babci klozetowej, która „była wredna dla ciot”, aż przyszły dwie takie i zamknęły się w kabinie. Narysowana flamastrami, niezbyt w uczniowskim zeszycie (nic dziwnego, autor ma 19 lat), ilustracja to kwintesencja absurdu i poczucia humoru rodem ze „Szpi-

lek” i Mrożka. Pożywką dla rysownika jest wyjątkowo obrazowy sposób opowiadania, który pobudza wyobraźnię. Do tego jeszcze docho- dzą żywe dialogi, które świetnie się sprawdzają w komiksie.

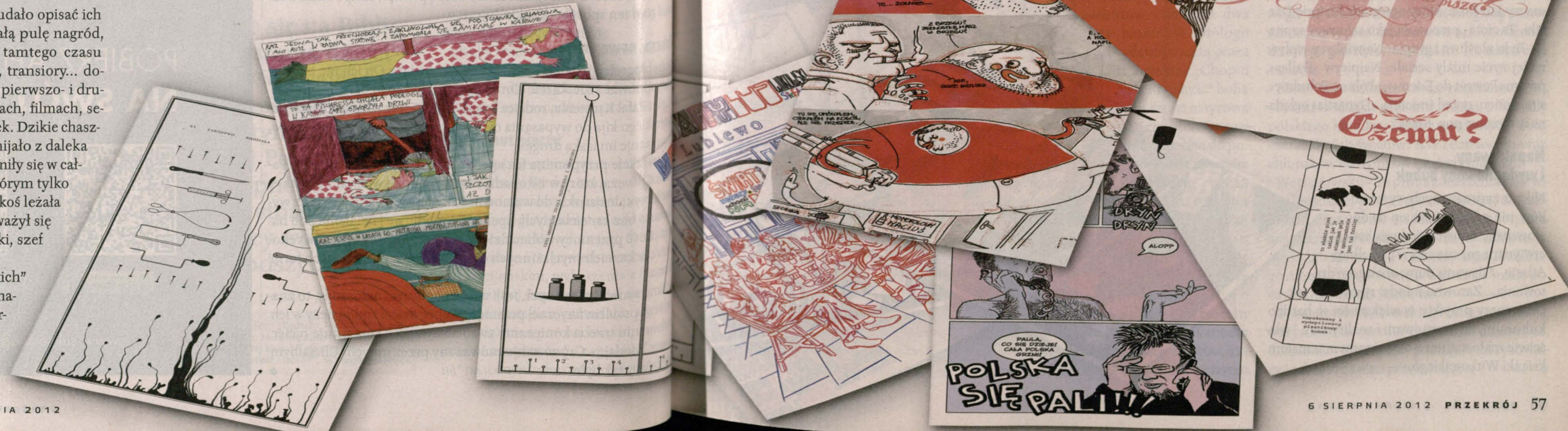
– Dzięki tym dwóm elementom łatwo wykre- ować zapadające w pamięć postaci – zachwy- ca się Tkacz.

– Przypuszczałem, że zostałem zaproszo- ny do projektu jako ostatni, bo Marecki przysłał mi tylko jedną propozycję historii – śmieje się Maciej Sieńczyk, który debiuto- wał na rynku komiksowym „Wrzątkunem”. – Opowieść o księżach gejach jest nawet fajna, ale przeraziłem się, że ktoś będzie mi cio- sał kołki na głowie, że nabijam się z księży, a może nawet Boga. Wybrałem święty spo- kój, poprosiłem jednak o coś innego. Choć może gdybym tego nie zrobił, wybuchłby skandal i wreszcie ktoś by zaczął kupować moje komiksy?

Dostał historię Kangurzycy, który pod po- prawczakiem wyhaczył luja. Piękny byczek,

prosty jak nóż sprężynowy, okazał się morder- cą i złodziejem, który ukradł paszport i zwiął. Po latach Kangurzyca jedzie „na Turków”. Lecz na granicy spotyka go przykra niespodzianka.

– Zabawne są te typy zubożałych ciot. Chłop przebrany za babę, baba za chłopą – to samo robię u siebie: pomieszanie płci, zacieranie granic między kobietą a mężczyzną – opo- wiada Sieńczyk, który trzy lata temu opa- trzył szóste wydanie „Lubiewa” swoimi ilu- stracjami. – Książka literacko jest świetna, jed- nak zbyt perwersyjna. Bohaterowie Witkow- skiego są zwyrodniali, wszyscy jak jeden mąż. Niby wiem, że to nędza doprowadziła do tego, jacy są. Nic, tylko myślą, jak tu kogoś wykorzy- stać – a to inną ciotę, a to luja. Okradają siebie nawzajem, wpuszczają w maliny, manipulu- ją tymi prostymi chłopakami. Dla mnie ci bo- haterowie są zbyt amoralni, bym czuł do nich sympatię, już raczej fascynację dziwacznością tej całej sytuacji. W latach 90. zbierałem pismo „Skandale”, którym zaczytywałem się na war- szawskiej ASP. Kobieta urodziła oko, prezy- dent Kennedy żyje i mieszka na mazurskiej wsi... Mam wszystkie numery, niektóre po- dwójne. Obiecałem Witkowskiemu jeden →



→ rocznik, bo wiem, że posiłkuje się takimi sensacjami brukowymi. Chciałem, by mógł na- paść swą wyobraźnię.

Patrycja leżał z głową w szczynach

W świecie wyobraźni żyje też Lukrecja, który w latach 70. przyjechał do Wrocławia z Bydgoszczy. „Tu poznał Patrycję, w parku dla pedałów, w brudnym szalecie. Patrycja leżał z głową w szczynach, z myślą, że już się nie wydobędzie...”.

– „Lubiewo” przeczytałam dopiero teraz i spodobała mi się niewinność Lukrecji. Pracuje jako cieć w domu kultury, wydaje piłeczki pingpongowe, patrzy, jak robotnicy po pracy chodzą na balet... Kiedy zostaje na noc, wyobraża sobie, że jest jakąś damą, arystokratką, jeździ na bale – mówi Agnieszka Piksa.

Stworzyła komiks baśniowy, elegancki, na przekór rzeczywistości.

– Bo przecież ten gość zapewne miał popielniczkę zrobioną z luksfery, wytarte spodnie i jakąś obskorną kanciapę. Lubie zderzać brud z cukierkowatością. Nawet nie starałam się o realistyczną historię. Zostawiam to Kozi. On jest w tym mistrzem. Ja nie mam rzemiosła – przyznaje Piksa.

– Bohaterowie „Lubiewa” mówią do siebie: Baśka, Zośka, Princessa, Aleksis... Opowiadają o serialach, Modern Talking, fryzurach, żyją w jakimś całkowicie wymyślonym świecie. Tak naprawdę to kolesie z szatni, woźni, pielęgniarze. To, co mówią, całkowicie rozumia się z rzeczywistością. Można narysować obrzydliwych kolesi, którzy będą do siebie ćwierkali. Tyle że to za proste. Cała sztuka polegała na tym, by nie zgubić magii, która tkwi właśnie w rozjeżdżaniu się tych światów – tłumaczy Jan Koza, który opowiada historię Dżesiki. Ta ciota „pracowała jako salowa w szpitalu. Była złośliwa i głupia. Największy wpływ na jej życie miały seriale. Najpierw »Dallas«, potem »Powrót do Edenu«, »Północ-Południe«, a na końcu, przed śmiercią, »Dynastia« oglądała w dyżurce pogotowia”.

Napakowany i wydepilowany bubek

Nikt z zaproszonych rysowników nie zdecydował się na dosłowność, konwencję komiksu erotycznego, nie ma w „Wielkim Atlasie...” dawania dupy, obciągnięć, drutowania... Zarówno młodzi rysownicy, jak i kuratorzy projektu w większości są bardzo kulturalni, zdystansowani i analityczni. I właściwie mało zainteresowani samym tematem książki Witkowskiego.

– Nie ma co ukrywać, że „Atlas...” jest próbą zmierzenia się z tematem przemilczanym w naszym środowisku. Nie chciałbym jednak, by traktować go jako komiks gejowski. To raczej dowód, że komiks może mierzyć się ze współczesną literaturą, trudnym tematem. Dla mnie prywatnie to pomost między środowiskiem komiksowym i sztuk wizualnych – przyznaje Kuba Woynarowski, który występuje tu także w roli twórcy.

Jego Gizela kochał Modern Talking, marzył o sławie i ciągle słuchał w parku magnetofonu. W „Wielkim Atlasie...” ten wątek wizualnie przypomina instrukcję obsługi. Sowizdrzałka opowieść Witkowskiego o ciotach ulegających namiętnościom tutaj zamienia się w bezduszny świat rządzony przez seks i przemoc. Miejską dżunglę, która wymaga planu.

– Robiąc plansze, wykorzystałem instrukcję jakiegoś urządzenia elektrycznego z lat 80. W tej historii magnetofon jest substytutem postaci. One cały czas gadają o muzyce, której słuchają z kaseciaka, a jednocześnie siebie traktują właśnie jak przedmioty – mówi Woynarowski.

Jeszcze dalej poszedł Jacek Stefanowicz. „Grupa z Poznania” to epizod o nowoczesnych gejach, „napakowanych i wydepilowanych nowoczesnych bubkach”, całkowicie podległych stereotypom, dążących do formy seksualności społecznie akceptowalnej

w kapitalistycznym społeczeństwie. Przy- minają modele do wycięcia i składania.

Kolesie z foliówkami

Sieńczyk: – Nie mam przekonania do erotyzmu „Lubiewa”. Czy moje ilustracje są erotyczne? O ile za takie można uznać przedstawienie faceta tylko w topornych majtkach. Ale jakoś szczególnie nie pociąga mnie używanie aktów płciowych, łącznie z homoseksualnymi.

Koza: – Pedalstwo tej książki nie było najważniejsze. Też jestem z Wrocławia. Ten świat, który opisuje Witkowski, znałem z drugiej strony. Rzeczywiście, koło mojej szkoły stał blaszak. Na dworcu była kawiarnia, obok której przechodziłem codziennie, naprzeciwko opery... O tych miejscach mówiło się, że chodzą tam pedały. Ale traktowaliśmy to jak miejskie legendy, nikt tego nie sprawdzał. Niby ja. Cała ta historia działa się tuż obok, a ja tego nie zauważałem. Wtedy homoseksualizm był tabu. Mój wydział na ASP stał obok parku na Wągarzu Polskim. Mówiło się, że nie można tam za długo siedzieć na ławce, bo się przysiadają

Ale kto? I rzeczywiście, jak się chciało coś prze- myśleć i siadało z kartką papieru, to przysiadali się kolesie z foliówkami, którzy kręcili się po okolicy. Nie zastanawiałem się za bardzo, co to wszystko znaczy. Ci ludzie nie żyli w całkowicie wyizolowanym świecie. Jedną nogą w swoim, ale drugą we wspólnym. Ich historia to historia tego kraju.

Piksa: – Pociągają mnie te postaci. Bo one są przasne, grubo ciosane, ale głowy mają pełne bajek, bujają w obłokach. I to właśnie starałam się oddać.

Jakby rysownicy nie dystansowali się od głównego tematu, jednak powstał album ciotowaty. Ten rodzaj przegięcia rysunków, gestów, kolorów – nie da się tego nie zauważyć. Choć oczywiście trudno złapać kogoś za rękę, bo nie ma w Polsce tradycji komiksu o tematyce homoerotycznej. Nie ma do czego się odnieść – twierdzi Sylwia Kaźmierczak, która w 2009 r. opracowała pierwszą antologię komiksu lesbijskiego „Bostońskie małżeństwa”. – Już widzę, że „Wielki Atlas...” nie będzie miał łatwego życia w środowisku. Portale homikowe praktycznie go nie zauważają, na najważniejszym gejskim blogu czytam,

że jest mało oryginalny, a zaproszeni rysownicy przeciętni. Nie wiem, jak to tłumaczyć, ale środowiska LGBT są bardzo chłodno nastawione do komiksu, uważają go za medium niepo- ważne, niegodne podnoszenia tak doniosłych kwestii jak ciężka dola gejów czy lesbijek. „Bostońskie małżeństwa” miały parę recenzji w ogólnopolskiej prasie i tylko jedną w niszowej, czyli ze środowiska, dla którego to robiłam. Na dodatek autorka napisała, że lesbijki są w tych opowieściach ordynarnie zwyczajne, pozbawione swej cierpiennej postawy.

Rzeczywiście, komiks nie jest traktowany w Polsce poważnie. Ale właśnie dlatego to dobra forma wprowadzania drażliwych tematów, osławiania ludzi. Przecież przez lata amerykański komiks niezależny zajmował się gejami, czarnymi, seksem, pornografią, narkotykami, bezdomnymi... Konwencja sprawia, że nawet drażliwy temat staje się tutaj mniej kontrowersyjny. Ostatnio temat gejski wszedł do absolutnego mainstreamu. Parę tygodni temu komiksowe wydawnictwo Marvel, czyli część koncernu Disneya, zdecydowało się na umieszczenie całującej się pary mężczyzn na okładce swego zeszytu. Wydawało się, że odważny temat w konserwatywnej Ameryce, ale jednak przeszło i przykuło uwagę wszystkich mediów – mówi Szymon Holcman.

I zapewne, że nie przewiduje żadnych protestów i skandalu po ukazaniu się „Wielkiego Atlasu...”. Czyżby zapomniał o manifestacjach przed krakowską redakcją „Przekroju”, gdzie pracował Piotr Bikont, tłumacz „Mausa” Arta Spiegelmana, graficznej powieści o Holocauście, gdzie Żydzi są myszami, Niemcy – kotami, Polacy – świniami, a Amerykanie – psami?

A awantura o Chopina dwa lata temu? W antologii (wydanej zresztą przez Holcmana) „Chopin New Romantic” bohaterem części narysowanej przez Krzysztofa Ostrowskiego jest postać podobna do polskiego kompozytora, która wraz ze swoim znajomym, wulgarnym skinheadem, przyjeżdża do więzienia, by dać koncert. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które finansowało publikację, zapowiedziało jej zniszczenie.

Jak z brakiem tradycji radzą sobie rysownicy?

– Chciałam znaleźć graficzny ekwiwalent tematyki homoseksualnej poprzez dobór kolorów, krą- głości, rodzaj dopracowania estetycznego.

Wiem, że książka jest plugawa, brudna, ciosa- na, ale ja wybrałam taki sposób obrazowania. Przecież ta chropowatość dotyczy lat 80. Dziś kultura gejska wygląda już całkowicie in- aczej. Po co ludzi straszyć tym syfem z dworców i publicznych szaletów? – zastanawia się Gryglewicz.

– Odwołałem się do fragmentów komiksów gejskich, które widziałem przed laty, gdzie postaci robotników i policjantów były bardzo umiśnione, masywne. Jednak do samej war- stwy plastycznej przyczyniła się Polska, którą pamiętam z dzieciństwa: kolory ubrań, po- mieszczeń – mówi Tkacz.

A Michał Rzecznik w opowieści o Pauli wprost powołuje się na wzorce zachodnie: – „Lubiewo” to książka undergroundowa, za- równo ze względu na temat, czasy, miejsce akcji, jak i na sam język. Dlatego też adaptując jej fragmenty, starałem się oddać jej podziemny klimat. Nie nawiązywałem do tradycji komiksu gejskiego, choć dużo myślałem m.in. o „Stuck Rubber Baby” Howarda Cruse’a, który flirtuje z tradycją amerykańskiego undergro- undu. W swoich epizodach „Wielkiego Atlasu...” staram się również przywoływać Crumba i Rodrigueza, łącząc ich styl graficzny z narra- cją zbliżoną do polskich komiksów lat 70. i 80., z Czeczotem oraz Dudzińskim na czele.

Dokłamywanie i dorysowywanie

– Ukazanie się „Bostońskich małżeństw” nicze- go na dobrą sprawę nie zaczęło – żałuje Kaź- mierczak. – Parę dziewczyn odważyło się ry- sować, ale o żadnym przełomie nie może być mowy. W przypadku „Wielkiego Atlasu...” też nie będzie. To rodzaj kuratorskiego zadania dla rysowników, by dołożyć ilustrację do goto- wego już tekstu. Zmienić coś mogłaby pierw- szoosobowa, osobista historia o dochodzeniu do swego gejestwa, tożsamości. Na taką wciąż czekam.

Nieco inne ambicje towarzyszą kuratorom. – Dla mnie to takie przeżenie mięśni, pokaz siły polskiego komiksu i sztuk wizualnych. Połą- czenie dwóch światów: ASP i dziewczyn oraz chłopaków od dymków – mówi Holcman.

Woynarowski: – To próba zmierzenia się z wi- zualnością tej prozy. Jej cielesnością, zmysło- wością. Przecież nie ma sensu tego podbijać re- alistycznym rysunkiem. To nie jest adaptacja, raczej interpretacja. Po przeczytaniu „Wielkie- go Atlasu...” na pewno nie będzie się miało po- czucia, że zna się „Lubiewo”.

Bohaterowie Witkowskiego niczego nie mają, wszystko muszą sobie dokłamać, dośpiewać. Tym razem pomagają im rysowni- cy i robią to bardzo przekonująco. ●



Pedałów z nas nie rób!

O odmiennym PRL z **KRZYSZTOFEM TOMASIKIEM**, autorem książki „Gejerel. Mniejszości seksualne w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej”, rozmawia Agnieszka Weseli, historyczka seksualności

Jak powszechnie wiadomo, mniejszości seksualnych w PRL nie było.

– Nie było powszechnej świadomości, że istnieją.

Homoseksualizm nie był w Polsce karany od 1932 r., a penalizowano go w większości krajów bloku wschodniego i w wielu państwach zachodnioeuropejskich. Ktoś mógłby uznać, że w latach powojennych państwo polskie było postępowe. Myliłby się?

– Lubimy myśleć, że władza PRL była homofobiczna. A to jest o wiele bardziej nieoczywiste. W zasadzie była obojętna. Dopiero próby organizowania się ze strony osób homoseksualnych wywoływały represje, takie jak akcja „Hiacynt” w połowie lat 80.

Twoja książka to przełom, ale niejedyny obecnie projekt dotyczący nienormatywności seksualnej przed 1989 r. Cemu akurat teraz zaczynamy odkrywać tę nieznaną stronę PRL?

– Raczej: dlaczego dopiero teraz? Być może musiało minąć ponad 20 lat, żebyśmy spojrzeli na ten okres właśnie jako na historię. Może musiało dorosnąć pokolenie, które PRL pamięta bardzo mgliście albo w ogóle.

Więc dlaczego ten okres ma być dla tego pokolenia ważny?

– To nie jest zamknięta epoka. Dzisiejsza prawica wcale nie jest oryginalna, mówiąc o modzie na homoseksualizm, przed którą musimy się bronić, czy strasząc, że zaraz wszyscy będą homoseksualistami i ludzkość wyginie. To słowa Jerzego Urbana z lat 80. Współczesny polski dyskurs na temat homoseksualności jest kontynuacją PRL-owskiego. Jesteśmy spadkobiercami PRL.

Homoseksualizm przed 1989 r. miał ambiwalentny status: był nieobecny w świetle prawa, ale uważany za patologię psychiczną i społeczną, mógł też zostać wykorzystany przez służbę bezpieczeństwa.

– Kiedy premier Jaroszewicz w latach 70. zastrzegł nerwowo, żeby tylko nie robić z rządu pedałów, cała sala wybuchła śmiechem. Ten rechot „prawdziwych Polaków” do dziś pokrywa strach, żeby ci inni, ci „oni”, nie stali się tematem i nie zaczęli być poważnie traktowani. To bardzo typowe, że władze nie chcą, żeby tematem odmienności seksualnych w ogóle się zajmowano. Póki nie zostaną zmuszone, stosując podejście „rób to w domu po kryjomu”. Brak represji prawnych, ale też zero praw.

Podejście, o którym mówisz, chyba dotyczyło w PRL w ogóle sfery seksualności. Nasze czasy odziedziczyły zjawisko jej wyparcia, zresztą o wiele starsze, datujące się od XIX w.

– Nie jestem pewien, czy w PRL naprawdę panowała taka pruderia. Może my wcale nie jesteśmy mniej pruderyjni: w sferze publicznej seksualność jest obecna tylko poprzez reklamę i komercję. Najnowsze polskie seriale czy filmy to jest dopiero pruderia!

Twierdzisz, że w PRL nie było spójnego dyskursu na temat homoseksualizmu. A może wrażenie braku ciągłości wynika po części z rodzaju źródeł, na których oparłeś książkę?

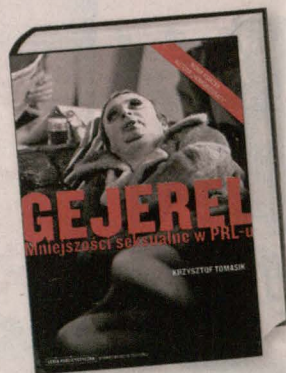
– Nie wykorzystałem prac naukowych, bo interesowały mnie treści, które mogły dojść do mas. Dlatego film, a nie teatr, dlatego literatura popularna, a nie nowinki lub smaczki dla wtajemniczonych, dlatego nie wspomnienia z szuflady albo historia mówiona, tylko teksty opublikowane w wielu tysiącach egzemplarzy, jak popularne reportaże.

Wygląda na to, że z PRL nadal bardziej nas wiąże, niż dzieli. Z jednej strony kwitnie oldschoolowa moda na PRL, z drugiej spolityzowana, a równie nieprawdziwa wizja nieustannej walki reżimu i opozycji.

– A do tego włącza się nurt sentymalny. Oczywiście ja nie mam żadnego sentymentu

do tamtej epoki, chciałem po prostu sprawić, żeby klapki z napisem „zbrodniczy reżim” nie przesłaniały nam całego widoku na PRL, bo wtedy nie można już o nic więcej spytać. Między innymi o mniejszości seksualne.

Jako powszechnie rozpoznawany symbol obecności pedalstwa w PRL występuje nieistniejący już szalet na placu Trzech Krzyży w Warszawie. Ale sekretne pikietki oraz lujolubne Patrycje i Lukrecje to tylko część obrazu, dlatego bardzo się cieszę, że przypominałeś arcyciekawą postać Jerzego Nasierowskiego. Aktor, pisarz, złodziej i pedał, który stanął przed sądem Polski Ludowej na początku lat 70... Wciąż za mało poświęcamy uwagi tej historii jak z Genetą.



– Z reportaży sądowych wybrałem najgłośniejsze albo najciekawsze sprawy, w których pojawia się wątek nienormatywności. Podczas procesu podkreślano na przykład homoseksualizm Jana Marchwickiego, brata „Wanpira z Zagłębia”, również skazanego na karę śmierci.

Przedstawiono go jako demona, złego ducha całej rodziny. Dlatego, że jako jedyny z nich wykształcił się, awansował społecznie? To wpisywałoby się w jeden ze stereotypowych wizerunków homoseksu-



Karol Serewski/EAST NEWS

alisty, obecny w nauce i kulturze od końca XIX w. Przerafinowany dewiant o zbrodniczym umyśle to w chłoporobotniczym kraju ciało obce i w najwyższym stopniu podejrzane. A obecnie niepasujące do przeszłości, którą konstruuje się w taki sposób, że osoby nienormatywne się w niej nie mieszczą.

– Ale bez wiedzy o nich nasza opowieść o PRL będzie niepełna.

Tropiąc „te tematy”, otworzyłeś mnóstwo fascynujących furtok, o których zapomnie-

liśmy. Znalazłeś wątki homoseksualne w PRL-owskiej literaturze klasy B.

– Postanowiłem skupić się na przypadkach, w których temat homoseksualizmu został wyrażony jak najbardziej wprost. Kiedy je zebrałem, okazało się, że dotyczą literatury popularnej – między innymi kryminalnych powieści milicyjnych – i jest ich całkiem sporo.

A AIDS nie było.

– Wydaje się, że Polskę zawsze byliśmy „przed” albo „po AIDS”. Na początku lat 80., kiedy dotarły do PRL echa zachodniej paniki wokół

tej choroby, grupka „ekspertów” wypowiadała się w mediach, że AIDS to rodzaj mody, że jest en vogue, ale że nas to nie dotyczy. Jednak uprzedzenia – jak zwykle bywa z homofobią – rykoszetem uderzyły w inne grupy, np. w postaci ataków rasistowskich.

W PRL nie było także lesbijek. Potwierdzał to nawet seksuolog Andrzej Jaczewski.

– Za to w zupełnie zaskakujący sposób utrzymywała się lesbofobia. Lesbijki powszechnie kojarzono z patologią społeczną, z więzieniem lub domem poprawczym. Dwie znane kobiety, w czasach PRL osoby publiczne, Wanda Półtawska i Barbara Skarga, pochodzące z zupełnie różnych środowisk i prezentujące zupełnie odmienne poglądy, opisały zetknięcie z lesbianizmem w warunkach obozowych jako traumę, coś obrzydliwego i chorego. Skarga w ciągu lat nie ustosunkowała się w ogóle do tej części swoich wspomnień, nikt również nie zwrócił głośno uwagi na mowę nienawiści w ustach tak cenionej etyczki.

Znalazłeś też kilka historii o zmianie płci.

– Niektóre niełatwo zinterpretować. W pierwszym reportażu, z 1958 r., prawdopodobnie mowa o osobie interseksualnej, funkcjonującej jako kobieta, która nawet wychodzi za męża, ale po jakiejś tajemniczej, a koniecznej operacji „staje się mężczyzną” i równie dobrze spełnia się w tej roli. To nie jest poważny, trudny temat, raczej okazja do żartów, zabawny przypadek życiowy. Reportażowi w „Panoramie” towarzyszą zdjęcia roześmianego Jerzego Maja w towarzystwie żony i... przebranego za kobietę.

Śmiech, farsa... Nie wiadomo, jak o „tych sprawach” mówić. Pod koniec lat 80. filmy, w których homoseksualizm bohaterów jest głównym tematem lub jednym z głównych, powstały w innych krajach tzw. bloku: w NRD i na Węgrzech.

– Kino PRL jest kopalnią tematów i możliwości interpretacyjnych. Chyba każdy z nas pamięta te postaci „ciot” – tancerza z „Czterdziestolatka”, pana Czesia z kabaretu Olgi Lipińskiej. Jednak są tam obecne jedynie na marginesie. Temat męskiego homoerotyzmu został bardziej wydobyty w „Zygrydydzie” Andrzeja Domalika i w o wiele mniej znanym filmie telewizyjnym „Żelazna obroza” Stanisława Lenartowicza. Nie powstała jednak wówczas żadna produkcja, w której homoseksualizm bohaterów byłby zasadniczym tematem.

Czyby kolejna rzecz, która do dziś się nie zmieniła?

Metal zakazany

Arabski metal?! Niemożliwe? A jednak...

Ostre, gitarowe riffy wśród zgliszczy wojennych w Bagdadzie, gwar arabskiej młodzieży w knajpie metalowców w Bejrucie, deathmetalowe dźwięki w ogarniętym wojną domową Damaszku. A w Warszawie? Heavymetalowcy z Libanu już w sierpniu



MARCELINA OBRZYDOWSKA

Rok 2005, hotel Al-Fanar, Bagdad. Dwudziestokilkuletni Faisal, Tom Firas i Marwan przygotowują się do występu. Nie mają czasu na trening – do koncertu przeży zaledwie kilka godzin, a nie dojeżdżali jeszcze wszystkie instrumenty. Koncert musi skończyć się przed godz. 19. Tak by fani zespołu Acrassicauda (łac. czarna skorpion) zdążyli przed godziną policyjną do domu. Wokół niezliczone punkty kontrolne, blokady, łańcuchy, druty kolczaste i czołgi. W tle odgłosy pocisków, zrzucających w promieniu kilkunastu metrów od miejsca, w którym za chwilę w Bagdadzie zagrają pionierzy irackiej sceny metalowej.

Przygotowania przerywa wybuch na ulicy. – Pewnie jakiś kolejny zamach. To dla nas codzienność – komentują muzycy i jak gdyby nigdy nic kontynuują próbę dźwięku.

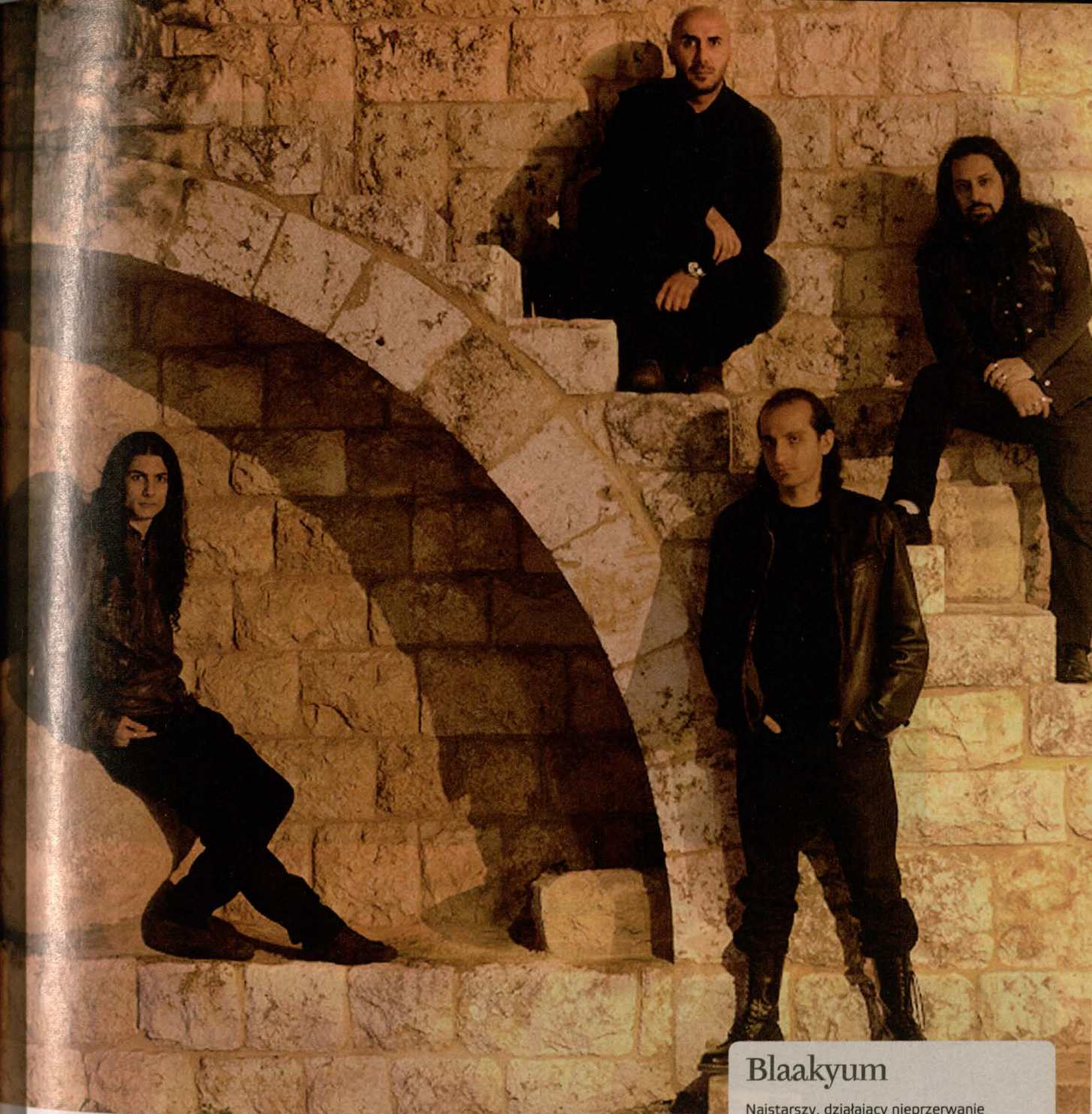
Już za chwilę zacznie się koncert. Kobieta nie ma.

– Nie mogą tu przyjść z powodu kultury i tradycji, w której żyjemy. Z tego samego powodu nie możemy również zapuścić porządnych długich włosów i brody, jak na metalowców przystało. Zamiast tego dostajemy pogroźki ze środowisk religijnych. Oskarżają nas o kontakty z szatanem – opowiada Marwan, perkusista zespołu.

– Za czasów Saddama nie było lepiej. Było ciężko występować publicznie, musieliśmy mieć w repertuarze coś na cześć przywódcy. Tak też robiliśmy. W końcu jeśli chcesz pokonać dyktatora, bądź, zaśpiewaj mu – dodaje z uśmiechem basista Firas.

The Hourglass

Istniejący od 2002 r. syryjski kolektyw heavymetalowy, którego trzon tworzy gitarzysta i autor utworów – Rawad Abdel Massih. Do stałych jego współpracowników należy m.in. Bassem Deaibess. Do tej pory pod szyldem syryjskiego The Hourglass ukazały się płyty „The Land of the Free” (2004) i „Resurrection of the Horrid Dream” (2007) oraz EPKa „Ancient Hope” (2010). Obecnie, pomimo trudności związanych z toczącą się w Syrii wojną domową, powstaje kolejny album.



Blaakyum

Najstarszy, działający nieprzerwanie od 1995 r., libański zespół heavymetalowy i jeden z pionierów sceny metalowej na Bliskim Wschodzie. Grupę tworzą Bassem Deaibess (wokół, gitara), Rabih Deaibess (gitara), Rany Battikh (gitara basowa) i Jad Feitrouni (perkusja). Każdy prowadzi aktywną działalność artystyczną i społeczną – głównie w obszarach propagowania wolności słowa oraz praw kobiet. Ich inspiracje muzyczne wahają się między Iron Maiden a typowo arabskim brzmieniem w stylu Fairouz. Śmiało podejmują oryginalne wyzwania, czego dowodem jest choćby projekt z marca tego roku, gdy lider zespołu przy wsparciu polskich muzyków wyśpiewał po arabsku... erotyki Tadeusza Różewicza.

Nadchodzi oczekiwana godzina. Około 19.00 młodych mężczyzn w czarnych koszulkach z nazwami zespołów światowej metalowej i rockowej sceny muzycznej poguje do ostrych, odważnych dźwięków gwiazd tego popołudnia – Acrassicauda.

– Gdzie, jeśli nie tutaj, na tym koncercie, przy tej muzyce, możemy się wybawić, dać upust napięciu, w którym żyjemy? – komentuje jeden z fanów przybyłych na koncert.

W międzyczasie pada generator. Na szczęście to tylko chwilowa usterka – metalowa im-

preza może być kontynuowana. Zaczyna się „Masakra” – największy hit zespołu:

To nasz naród, to nasze pokolenie (...)

Masakra (...)

Diabeł czyha

Oni chcą wojny do ostatnich dni (...)

Oni chcą wojny, a ty pokoju

Trzeba zgładzić bestię

Oni ukradli dom, ziemię, ciało i kości

Jeden krok do zwycięstwa

Jeden krok do śmierci.

Acrassicauda

Pierwszy, założony w 2000 r., iracki zespół trashmetalowy, w którego skład wchodzi: Tony Aziz (gitara), Faisal Talal (wokal, gitara), Firas Al-Taleef (gitara basowa) oraz Marwan Riyak (perkusja, wokół). W wyniku pogroźek muzułmańskich radykałów oraz trudnej sytuacji politycznej i ekonomicznej w Iraku muzycy wyemigrowali do Syrii, a następnie do Turcji. Obecnie żyją i tworzą w USA, gdzie w 2010 r. wydali album: „Only the Dead See the End of the War”.



→ Koncert kończy się punktualnie. Jeszcze chwila i wszyscy rozejdą się do domów – w samą porę, by zdążyć przed godziną policyjną.

To ostatni koncert Acrassicauda w ojczyźnie. Faisal, Tony, Firas i Marwan nie mogą dłużej ryzykować i opuszczają Irak.

★ ★ ★

– W jaki sposób oddajesz cześć szatanowi? Pijesz krew? Słuchasz Metaliki, Iron Maiden oraz Nirvany? – zapytał jeden z funkcjonariuszy służb libańskich, gdy w 1996 r. zatrzymano 19-letniego Bassem Deaibessa – frontmana najstarszego, działającego nieprzerwanie od 1995 r., libańskiego zespołu metalowego Blaakyum.

Pomimo że do akt nie wpisano żadnego zarzutu, za długie włosy i słuchanie Metaliki Bassem został przetrzymany w areszcie przez dwa dni. Przy zwolnieniu musiał podpisać oświadczenie: „Nie będę rozprze-

strzeniał kultury Nirvany oraz praktykował hard rocka”.

Dziesięć lat później wokalista otworzył w Bejrucie knajpę Cherry, w której przez następny rok odbywały się koncerty muzyki rockowej i metalowej. Miejsce cieszyło się ogromną popularnością wśród lokalnej młodzieży – skąpo na czarno odzianych i wymalowanych kobiet oraz poukrywanych w ciemne barwy mężczyzn. Wszystko szło dobrze do dnia, gdy po Bassem ponownie zjawił się służby. Za podejrzenie o homoseksualizm, narkotyki i czczenie szatana odsiedział w areszcie kolejne dwa dni.

– Polowanie na satanistów miało swój początek w 1996 r., gdy syn jednego z wysoko postawionych oficerów, fan muzyki metalowej oraz Nirvany, przy użyciu broni swojego ojca popełnił samobójstwo. Libańskie media bardzo szybko podłapały temat: „Metal i hard rock przyczyną samobójstwa”. W istocie fala aresztowań z połowy lat 90. była przemyślaną strategią polityczną. Strasząc satanizmem, rząd

skutecznie odwracał uwagę obywateli od rzeczywistych problemów – tłumaczy Bassem.

W 1998 r. aresztowania osłabły. Pomimo tego do satanicznych praktyk zaliczana nadal... Nirvana. Kojarzenie grupy Kurta Cobaina z satanizmem doprowadzało do absurdalnych sytuacji, gdy na lotnisku celnicy widząc w bagażach młodych ludzi płyty zespołów black- i deathmetalowych, pytali: „Czy to jest hard rock lub Nirvana?”. Po szczerszej odpowiedzi: „Nie, to death metal”, płyty nie były konfiskowane i mimo wzmożonej kontroli oraz ograniczeń stosowanych wobec młodzieży o długich włosach i ciemnych strojach metal docierał do Bejrutu.

Kolejna fala aresztowań nadeszła w 2003 r., gdy w kraju pojawiły się kolejne podwyżki a koszty utrzymania wyciskały z Libańczyków ostatnie funty. W wywiadzie dla portalu NOW Lebanon prawnik i aktywista praw człowieka Nizar Saghih potwierdza, że „polowanie na satanistów” władze urządzają najciśniej wtedy, gdy chcą odwrócić uwagę od

rzeczywistych problemów gospodarczych i politycznych. Natomiast z punktu widzenia prawa czczenie szatana samo w sobie przestępstwem nie jest. Ale bluźnierstwo i publicznie znieważa religijnych symboli już tak.

★ ★ ★

Społeczeństwo arabskie pierwszy raz masowo zareagowało na szerzącą się popularność muzyki metalowej w 1997 r. w Egipcie. Polityczna aresztowała wówczas – pod zarzutem zażywania narkotyków, uprawiania przedmałżeńskie seksu oraz rytualnego uboju psów – dziesiątki młodych ludzi. Młodzież siedziała w areszcie zaledwie kilka dni, ale środowiska religijne zainicjowały dyskusję nad stosowaniem kary śmierci za utożsamianie z satanizmem apostazję.

Podobny akt paniki miał miejsce w 2003 r. w Maroku, gdy na fali aresztowań zatrzymano grupę „satanistów”, w tym kilku muzyków miejscowych zespołów metalowych. Ołwy do ognia dolewały lokalne media, gdy nastawione na sensację gazety rozpisywały o „marokańskich satanistycznych praktykach”. W wyniku tych wydarzeń, za podkopanie fundamentów wiary muzułmańskiej oraz za szerzenie zgorznięcia wśród społeczeństwa, zatrzymani dostali jednoroczne wyroki. Na szczęście, wskutek trwających przez rok aresztowań krajowych protestów, młodzi mężczyźni zostali uniewinnieni. Metalowa młodzież walczy o swoje prawo do ekspresji także w innych krajach arabskich. Nawet w takich jak Arabia Saudyjska

czy Syria, której skromna w stosunku do innych państw arabskich scena metalowa skupia się głównie wokół pacyfikowanych obecnie przez reżim Assada miastach – Damaszku i Aleppo. Jak relacjonuje ze zmasakrowanego wojną domową Homs 31-letni członek metalowej grupy The Hourglass Rawad Abdel Massih, ostatni koncert metalowy miał miejsce w Damaszku zaledwie... miesiąc temu.

Jednak tu również – na gruncie sceny syryjskiej – metal wywołuje najgorsze skojarzenia. – Społeczeństwo nas nie rozumie, rząd nie nawidzi, a środowiska religijne obawiają się. Nasze płyty nie mogą być sprzedawane w lokalnych sklepach muzycznych, a imprezy metalowe są ograniczane. Dodatkowo obecna sytuacja polityczna ma negatywny wpływ na nasz rozwój artystyczny. Wielu ze znajomych było aresztowanych, bitych i upokarzanych. W oczach społeczeństwa jesteśmy czcicielami szatana, narkomanami, homoseksualistami, dzieciobójcami i izraelskimi agentami – skarży się na los metali Rawad.

★ ★ ★

Dlaczego muzyka metalowa wzbudza takie kontrowersje? Czy jest to typowa reakcja na kontrkulturę metalową, jaka istnieje na całym świecie? Czy raczej jest to obawa przed postępującą dominacją kultury Zachodu? Czy metal rzeczywiście może stanowić zagrożenie dla arabskich chrześcijan i muzułmanów oraz ich lokalnych wartości?

Zdaniem dr. Konrada Pędziwiatra, badacza kultury muzułmańskiej i arabskiej z Wyższej

Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie, muzyka, a tym bardziej muzyka satanistyczna, w świecie arabskim oraz muzułmańskim może wywoływać ogromne poruszenie.

– Islam ma wiele dróg. Jedną z nich jest sufizm, w którego niektórych odłamach muzyka odgrywa bardzo ważną rolę w codziennych praktykach religijnych. Większość szkół muzułmańskich potępia jednak sufizm i jego stosunek do muzyki, zwłaszcza w kontekście oddawania czci bogu. Z kolei jeśli chodzi o kwestię szatana, sprawa jest jeszcze bardziej problematyczna, ponieważ kojarzy się z „szatańskimi wersetami”, które według niektórych źródeł, miały być dodane do Koranu po śmierci proroka Muhammada. Jest to pewne tabu, którego złamanie – jak pokazały wydarzenia wokół wydania książki Ahmeda Salmana Rushdiego „Szatańskie wersety” – może być niebezpieczne – wyjaśnia.

Problem polega na tym, że – jak twierdzi Bassem, który przybędzie ze swoim zespołem, by zagrać w Polsce już 9 sierpnia – arabska scena metalowa satanistyczną nie jest. Niezależnie jednak od wpływów ciemnych mocy lub ich braku takiego widowiska – arabskiego metalu w Polsce – nie można przegapić.

Spotkanie z muzykami Blaakyum: 9 sierpnia, godz. 21, Beirut, ul. Poznańska 12, Warszawa
Koncerty Blaakyum: 10 sierpnia, godz. 19, Progresja, ul. Kaliskiego 15a, Warszawa; 11 sierpnia, godz. 19, Klub Muzyczny Imbir, ul. św. Tomasza 35, Kraków

REKLAMA

PRZEKROJ

daje do myślenia



Zamów prenumeratę!



Szczegóły na www.przekroj.pl/prenumerata i pod numerem infolinii 800 120 195



Artyści i projektanci ze szkoły Bauhausu próbowali zdjąć z ludzi ciężar życia w czasach kryzysu i chaosu. Dziś znów potrzebujemy ich rozumności i odwagi

Kwadraty, czosnek i koniec świata

JAROSŁAW PIETRZAK

Pierwszy kwietnia w 1919 r. to nie były żarty. W każdym razie nie w Weimarze i nie dla przyszłości sztuki modernistycznej oraz całej nowoczesnej kultury. W mieście Goethego, Schillera, Herdera i konstytucji nowej niemieckiej republiki zainaugurowano szkołę artystyczną, która okazała się mieć kolosalny wpływ na architekturę, sztukę wizualną i projektowanie przemysłowe.

Minął prawie wiek. Do londyńskich kin trafia najnowszy film Mii Hansen-Love „Un amour de jeunesse”, którego studiująca architekturę

bohaterka jedzie na wycieczkę do słynnego kompleksu edukacyjnego Bauhaus Dessau. Jednocześnie dorobek szkoły jest przedmiotem jednej z najgłośniejszych obecnie wystaw w angielskiej metropolii. W galeriach Barbican Centre oglądamy „Bauhaus: Art as Life”, największą poświęconą szkole ekspozycję w Wielkiej Brytanii od czasu tej w Royal Academy w 1968 r. (która objechała także inne wielkie miasta na świecie – m.in. Amsterdam, Paryż, Chicago, Tokio i Buenos Aires). Bardziej kompletna od tamtej, bo w latach 60. obiekty i projekty Bauhausu rozrzucone były, wraz z żyjącymi Bauhauslerami, po dwóch stronach żelaznej kurtyny. W tym roku otwarty zostanie

także odbudowany, podobnie jak Bauhaus Dessau, ze zniszczeń II wojny światowej, leżący dom Gropiusa w Dessau. Bauhaus jest na świecie.

Niech wszystkim będzie lepiej

Ludwig Mies van der Rohe, ostatni dyrektor Bauhausu (już po przeniesieniu szkoły do przynajmniej tymczasowo bardziej przyjaznego klimatu Dessau w Turyn), pozostaje jednym z najbardziej wpływowych architektów XX w. Walter Gropius, założyciel Bauhausu, jest wciąż jednym z wielkich architektów, teoretyków i wizjonerów minionego stulecia.



Mistrzowie na dachu budynku Bauhausu. Od lewej: Josef Albers, Hinnerk Scheper, Georg Muche, László Moholy-Nagy, Herbert Bayer, Joost Schmidt, Walter Gropius, Marcel Breuer, Wassily Kandinsky, Paul Klee, Lyonel Feininger, Gunta Stölzl i Oskar Schlemmer. Rok 1926

Do dzisiaj spotykane jest rozwiązanie polegające na rezygnacji z dużych liter i pozostawieniu jedynie minuskul. To pomysł właśnie Bauhausu, szczególnie bezczelny w Niemczech, w których języku dużą literą pisze się wszystkie rzeczowniki.

Zaprojektowane w Bauhausie obiekty użytkowe Gunty Stölzl, Marianne Brandt i Almy Buscher wciąż są w produkcji – takie zwycięstwo nad czasem odniosło bardzo niewielu designerów.

Projekty Josefa Albersa czy Węgry Marcela Breuera nie przestają odbijać się w przestrzeni przedmiotach, które znajdujemy wokół siebie.

László Moholy-Nagy pozostaje jednym z najwybitniejszych fotografów minionego stulecia, podobnie jak do najważniejszych malarzy nieprzerwanie zaliczani są Wassily Kandinsky i Paul Klee. Wszyscy oni współtworzyli Bauhaus – jako jego mistrzowie i studenci.

Jednak Bauhaus to nie tylko ładne kompozycje barw i kształtów, czajniki, z których chętnie serwowałibyśmy herbatę, drewniane klocki, dzięki którym dzieci dokonują pierwszych rozpoznań prawideł ciężenia, równowagi i prób kompozycji. Bauhaus to wizja poszukiwania sposobów na – mówiąc za Gropiusem

– zdjęcie z ludzkiego życia niekoniecznego ciężaru. Na uczynienie otaczającej nas przestrzeni, ale i społecznej rzeczywistości, po prostu (i aż) świata, w którym żyjemy, lepszym miejscem – i to dla wszystkich, nie tylko dla uprzywilejowanych. Estetycznym, funkcjonalnym, wygodnym, odpowiadającym na potrzeby i demokratycznym.

Antena Kandinsky'ego

Imprezy stanowią część studenckiego doświadczenia w każdej szkole wyższej, ale Bauhaus był – kto wie, czy nie jedyną – na pewno pierwszą, która ich charakter jako fundamentalnej części procesu edukacyjnego deklarowała w swoich dokumentach statutowych. Jak dowiadujemy się z poświęconego imprezom eseju w katalogu wystawy (napisał go Klaus Weber), przy ich okazji Joost Schmidt wystąpił w turnieju zapasów z samym sobą, wygłaszano nonsensowne proklamacje na tematy takie, jak „Kwiaty i kwadraty: nowa jedność”, a kostiumy były eksplozjami tego, co dziś nazywamy kreatywnością. Węgierski Bauhausler Farkas Molnár wspominał, jak Kandinsky uwielbiał pojawiać się na nich w stroju anteny, Lyonel Feininger przebrał się za dwa trójkąty, a Gropius za swojego modernistycznego rywala Le Corbusiera.

Zabawa była postrzegana jako wyzwolająca ludzką energię i pomysłowość. Za Bauhausem stała wizja całościowego ulepszenia ludzkiego życia, nieominająca żadnego z obszarów – społecznych interakcji, wyzwalań twórczej energii, sprawnej społecznej komunikacji graficznej i typograficznej. Wreszcie: troski o ludzkie ciało – o jego regenerację, dobrostan.

To ostatnie uzasadnia rolę kuchni w życiu i dorobku Bauhauslerów – nie tylko wszystkich zaprojektowanych m.in. przez Marianne Brandt naczyń, znajdującego się na koncie Bauhausu układu nowoczesnej kuchni czy litografii Georga Muchego przedstawiających przygotowany na stole posiłek, ale także ich świadomych wyborów kulinarnych, którym Nicholas Fox Weber poświęca esej we wspomnianym katalogu Barbicanu. Starcie dwóch „szkół jedzenia” w murach Bauhausu było konfrontacją dwóch potencjalnych odpowiedzi na pogrążanie się świata w chaosie. W Bauhausie przybrały one postać „szkoły czosnku” i „szkoły rozumu”.

Lewatywy kontra racjonalizm

Bauhaus był miejscem koncentracji oraz konfrontacji idei i ludzkiej kreatywności w świecie, w którym nie działało się dobrze. Był to czas chaosu i niepewności wynikający

→ z głębokiego, strukturalnego kryzysu akumulacji kapitału na skalę światową, do przewyciężenia jedynie za cenę teatru destrukcji na planetarną skalę. Podobny kryzys, starszy i głębszy niż samo tylko załamanie okołokredytowe 2007–2008, stoi za militaryzacją (nie) porządku światowego ostatnich kilkunastu lat.

Są dwie zasadnicze odpowiedzi na grozę takiej dziejowej nocy. Jedną jest ucieczka w irracjonalizm, który nie przynosi rozwiązania, ale oferuje balsam uśmierzający ból świadomości. Dziś to wszelkiego rodzaju renesans religii, New Age i postmodernistyczne hokus pokus. Tamten czas chaosu miał ich własne odpowiedniki. Szwajcar Johannes Innes, jeden z pierwszych tzw. mistrzów (czyli wykładowców) Bauhausu, przyniósł w jego mury pomysły sekty znanej jako Mazdaznan. Był to założony w USA przez niejakiego Otto Hamisha miszmasz starożytnego perskiego zoroastryzmu z elementami z innych źródeł. Wyznawcy Mazdaznanu golili głowy na łyso, poddawali się regularnym lewatywom, trzymali dziwną, ułatwiającą czyszczenie jelit dietę, jedząc m.in. monstrialne ilości czosnku. Jego wszechobecne w Bauhausie opary doprowadzały do szału żonę Gropiusa, Alnę Mahler.

Drugą potencjalną odpowiedzią na kryzys jest język, który uosabiały kulinarne praktyki uwielbiającego gotować, ale stroniącego od elitarystycznych fana-



berii haute cuisine Paula Klee. Ta opcja odniosła w Bauhausie zwycięstwo, kiedy Innes przekroczył granice tolerancji władz Bauhausu dla swoich dziwactw, a zwłaszcza wymuszania na studentach i innych wykładowcach podążania za nim. Wyleciał z Bauhausu w 1923 r., a wraz z nim szkołę opuściły tendencje ekspresjonistyczne. Wtedy właśnie przewagę uzyskały pomysły, które racjonalnie żądały niemożliwego: sprawiedliwego



zaspokojenia potrzeb i uwolnienia potencjału każdego człowieka w społecznej interakcji pomiędzy równymi ludźmi (pomnikiem tych ostatnich postulatów jest zresztą sam akademicki kompleks Bauhaus Dessau). Te ostatnie rzeczy brzmią dziwnie podobnie do niektórych, zwłaszcza tych najbliższych źródłom, definicji komunizmu.

I brzmi tak nie przez przypadek. Gropius definiował swoją wizję architektury i wszystkiego, co powinno wypełniać jej przestrzeń, w kategoriach lewicowej zmiany społecznej. Hannes Meyer, który zastąpił go na stanowisku dyrektora, był zdeklarowanym marksistą i próbował nawet zorganizować stały program wymiany studenckiej z młodszą od Bauhausu o rok, założoną przez Lenina w 1920 r., moskiewską uczelnią Wchutemas.

Kłeska i aktualność

Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie – choć tak wiele z estetyki Bauhausu wciąż nas otacza projekt przegrał na wielu poziomach. Wielki niemiecki przemysł nie szalał na punkcie pomysłu, by ludziom niezamierzonym sprzedawać świetnie zaprojektowane, wysokiej jakości przedmioty. Ogromna ich część nie mogła wydostać się poza krąg ręcznej produkcji i elitarnej konsumpcji. Pogłębiały się kłopoty polityczne. Przyjazne początkowo Dessau również zaczęło przybierać brunatne barwy

polityczne, a próba kolejnych przenosin stała na przedmieścia Berlina w 1933 r. nie zdolała powstrzymać jej zamknięcia przez Hitlera w tym samym roku. Dla NSDAP Bauhaus był sztandarowym przykładem „żydowsko-marksistowskiej degeneracji kultury”. Projektowane potem przez Gropiusa na emigracji wille dla bogatych nie były spełnieniem jego ideałów. Ich spełnieniem trudno też nazwać Tel Aviv, jedno z miejsc, do których uciekli – i które architektonicznie współtworzyli – Bauhausowcy. Jednocześnie nigdy jeszcze wizja, jaką głosił Bauhaus, nie była tak palącą potrzebą. Teraz, kiedy pierwszy raz w historii już ponad połowa ludzkości żyje w miastach. Kiedy przemysł produkuje już tylko bardzo drogie towary dla bardzo zamożnych, a dla reszty obliczonego wymianę za rok badziewie, pokrywające palną potrzebę zwalniającymi się. Kiedy zastrasza nas niesprawiedliwość globalnego podziału zasobów. Kiedy ekologiczna katastrofa nadchodzi coraz większymi krokami.

Mike Davis, autor m.in. „Planety słumsów”, pięknie jak zawsze prozą pisał w esej „Kto buduje arkę?” z 2010 r., że jedyny ratunek przestopniową samozagładą ludzkości tkwi w powrocie odwagi do myślenia w kategoriach ekologicznej przebudowy miejskiego życia, myślenia, którego jedną z najwspanialszych celebrycji była „wielka majówka Wchutiemasui Bauhausu”. Gdy kapitalizm ponownie prowadzi nas na krawędź globalnej katastrofy, znów stajemy przed wyborem: czosnek albo rozum.

„Bauhaus: Art as Life”, Barbican Art Gallery, 50 Street London, wystawa czynna do 12 sierpnia, więcej: www.barbican.org.uk

Filmowanie szczęku broni

JULIE LAND

Pewnego ranka studenci i studentki przybiegli do centrum kulturalnego na starym mieście Wschodniej Jerozolimy, gdzie organizowaliśmy warsztaty. Chcieli, żebyśmy wzięli kamerę i poszli z nimi kawałek dalej, bo osadnicy przejęli tam dom. Nie byłam do końca świadoma, co to znaczy, ale wzięłam kamerę i poszłam. Przed jednym z domów stał tłum: sąsiedzi, telewizja, żołnierze izraelscy, obserwatorzy ONZ i turyści. Zapytałam kogoś, co tak naprawdę się dzieje. Okazało się, że radykalna grupa uzbrojonych Izraelczyków przejęła w nocy mieszkanie Palestyńczyków. Razem z Yusufem (jednym z najbardziej ambitnych studentów) poszliśmy na dach budynku obok, by mógł lepiej nakręcić akcję. Zobaczyliśmy stamtąd mężczyznę, który pilnował podwórka; miał w ręce broń, a na sobie kamizelkę kuloodporną. Kiedy wróciliśmy, studenci od razu wzięli się do robienia krótkiego reportażu z nakręconych materiałów – wyszło naprawdę dobrze. To był pierwszy krótki film, który zrobili sami, prawie bez pomocy warsztatowych trenerów i trenerek – nakręcili go i zmontowali, a co najważniejsze – pokazali światu jakąś część ich rzeczywistości.

★ ★ ★

Napomysł, żeby zrobić filmowe warsztaty we Wschodniej Jerozolimie (część miasta, gdzie mieszkają Palestyńczycy), wpadła w 2009 r. Magdalena Jakubowska z fundacji Together Polska, która wiedziała, że sytuacja w tamtej dzielnicy staje się coraz bardziej dramatyczna. Coraz więcej młodych ludzi sięga po narkotyki, nierzadko mają problem ze swoją tożsamością: Palestyńczycy są gdzieś pomiędzy Izraelem, w którym mieszkają, a Palestyną/Zachodnim Brzegiem, która jest obok. Fundacja Together Polska dostała od polskiego MSZ w ramach programu „Pol-



MATERIAŁ PRASOWY

ska Pomoc” dofinansowanie na przeprowadzenie warsztatów. Ich założeniem było, by zainspirować młodzież i nauczyć ją, jak kręcić filmy, pomóc jej uchwycić specyfikę jej kultury, zapisać codzienną rzeczywistość, tak by w przyszłości młodzi potrafili wykorzystać swoje umiejętności. Dotychczas odbyły się już trzy edycje warsztatów, tzw. Summer Media Academy, podczas których powstały filmy krótkometrażowe, animacje, reportaże, dzieła sztuki wideo i sztuki performance'u, a nawet teledyski.

★ ★ ★

Początkowo byłam trochę zaskoczona tym, że studenci chcą ciągle wracać do tematu konfliktu i sytuacji politycznej – ale szybko zrozumiałam, że ten konflikt definiuje ich życie. Jest tak rzeczywisty i nie do pominięcia, jak betonowy mur, który dzieli Jerozolimę od Zachodniego Brzegu. Kiedy pytałam, o czym chcą zrobić film, za każdym razem odpowiadali, że chcą zrobić coś o sytuacji w Palestynie, coś o pokoju, coś o wolności. Dla nich robienie filmów to nie tylko sztuka (choć są w tym świetni), ale również możliwość wypowiedzi na temat tego, co się dzieje w Jerozolimie i o sytuacji, nad którą nie mają kontroli. Niektórzy studenci mieszkają w dzielnicach, w których grozi im to, co sfilmowaliśmy z Yusufem – ich rodziny mogą kiedyś stracić

dom. Kiedy odwiedziłam jednego z nich w dzielnicy Szeik Jarrah, zobaczyłam, że ideologiczna walka toczy się o każdy budynek, czasami nawet o części jednego budynku, choć misją radykalnych izraelskich osadników jest okupowanie całej dzielnicy. Wtedy pomyślałam, że robienie filmów lub dokumentów jest sposobem na zrozumienie i pokazanie tych wszystkich doświadczeń. Yusuf nie rozstaje się już z kamerą, kręci wszystko, co widzi. Czasami materiały, które mi pokazuje, są niełatwe w oglądaniu, na przykład klótnie pomiędzy osadnikami i mieszkającymi tam Palestyńczykami. Ale Yusuf jest zdeterminowany, żeby rozwijać się i żeby coś zmienić przez swoje filmy. Ostatnio dostał pracę w firmie medialnej jako montażysta.

Inny student, Montaser, jest świetnym aktorem i interesuje się fotografią. Bardzo konsekwentnie podchodzi do robienia filmów, często przychodził po warsztatach porozmawiać o tym, jak może kontynuować robienie filmów już po zakończeniu warsztatów. I to właśnie jest celem tych spotkań. Wiem, że obydwaj chcieliby studiować w Bezalel (Akademia Sztuk Pięknych w Jerozolimie), ale nie będzie to dla nich proste – najpierw trzeba zdać egzamin z języka hebrajskiego na bardzo wysoką ocenę (do takiego sprawdzianu można podejść tylko raz). Mimo tych barier wierzę, że kiedyś pojadą do Jerozolimy, żeby zobaczyć premierę ich pierwszego filmu.

★ ★ ★

Warsztaty mają szansę być kontynuowane także w tym roku, dzięki dofinansowaniu osób prywatnych, które mogą wesprzeć projekt. Więcej informacji na ten temat znajdziecie na stronie togetherpolska.org. Każde dofinansowanie (już nawet od kilku złotych) wesprze projekt, który w tym roku będzie miał miejsce też w Ramallah na Zachodnim Brzegu.

Sztuka kiedyś będzie zielona

O projekcie „Zielony Jazdów” z dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej **FABIO CAVALLUCCIM** rozmawia Aleksandra Bilewicz

Co sztuka ma wspólnego z ekologią i świadomą konsumpcją?

– Jestem zainteresowany taką sztuką, która wdaje się w dyskusje, bada obszary ważne dla społeczeństwa i jego rozwoju. Chcę pracować z artystami, którzy są blisko społecznych problemów. A teraz jednymi z najważniejszych są przyszłość środowiska naturalnego, sytuacja wielkich miast, śmieci. To prawdopodobnie wiąże się także z kryzysem ekonomicznym, z kłopotami gospodarczymi związanymi z nadmierną konsumpcją energii.

Sztuka może przyczynić się do zmiany?

– Sztuka działa od lat na polu ekologii. Artysta pochodzenia tajskiego Rirkrit Tiravanija, którego zaprosiliśmy, by współtworzył „Zielony Jazdów”, dawno myślał o zrównoważonym rozwoju. Już w 1998 r. zbudował niedaleko miasta Chiang Mai w Tajlandii samowystarczalną wioskę, którą nazwał The Land. Pojechałem tam w 2004 r. i byłem jedną z niewielu osób z Europy, które odwiedziły to miejsce. Tiravanija zaprosił do współpracy różnych artystów – m.in. kopenhaską grupę Superflex – razem postawili drewniane domy. Poza tym były tam np. dwie krowy, z których odchodów produkowano biogaz używany jako opał do pieca. Wciąż żyje tam mała społeczność, używająca energii wyprodukowanej na miejscu.

Oczywiście nie oznacza to, że możemy całkiem powrócić do ziemi, wszyscy zrezygnować z elektryczności. To byłoby szalone. Nie możemy wrócić do epoki kamienia.

Tiravanija znany jest z tego, że woli sytuację, a nie obiekty. W parku przed zamkiem także aranżuje pewne spotkanie...

– Chcieliśmy, żeby stworzył dogodną przestrzeń w sercu parku, więc zbudował pawilon, w którym jest kuchnia. Dlaczego kuch-

nia? Bo kiedy ludzie gotują, jedzą, są bardziej otwarci. Rozmowy stają się nieformalne, w jakimś sensie bardziej prawdziwe. Więc przy kuchni prowadzimy dyskusje o ekologii.

„Zielony Jazdów” to nie pierwszy projekt Rirkrita Tiravaniji w Polsce.

– O ile wiem, zapraszano go do CSW około 15 lat temu, kiedy był jeszcze bardzo młodym i nieznanym artystą. Jest też autorem interwencji artystycznej w parku Bródnowskim („Przewrócony domek herbaciany z ekspressem do kawy”, 2009 – przyp. red.). Przyjechał do Polski jednak dopiero teraz, na kilka miesięcy przed rozpoczęciem „Zielonego Jazdowa”, żeby przyrzeć się przestrzeni, rozpocząć projektowanie.

Ja już wcześniej miałem okazję z nim kilka razy współpracować. W czasie Biennale w Wenecji w 2000 r. zaprosiłem go do zaprojektowania baru dla gości w Arsenale. To się nie do końca udało, bo nie mogliśmy zbudować takiej struktury, o jaką nam chodziło. Latem 2003 r. zaprosiłem go do Trydentu, kiedy byłem dyrektorem Galleria Civica (Galerii Miejskiej). Chciałem, żeby przekształcił galerię w miejsce spotkań. Zrobił to – prawie bez pieniędzy, bo ich wówczas nie mieliśmy. I to był duży sukces – projekt odmienił to miasto. Przedtem Trydent zamierał letnią porą. Po 2003 r. ludzie jednak zaczęli sami tworzyć sobie miejsca do spotkań czy wspólnego działania.

A teraz chcecie zmienić Jazdów?

– Myślę, że sztuka powinna być blisko ludzi i ich życia, nie tylko być czymś, co się podziwia z daleka. Dlatego naprawdę chciałbym, żeby Jazdów stawał się w coraz większym stopniu miejscem spotkań, które ludzie będą współtworzyć, w którym poczują się dobrze.

Przestrzenią dobrego życia. Zamek jest do sztuki, obok jest Instytut Teatralny, ale ma także zieleni drzew. Można sobie wyobrazić małe pawilony, zamknięte zimą, ale oszklone – bibliotekę, w której można przeczytać o sztuce, miejsce do ćwiczeń fizycznych. Coś dla umysłu i coś dla ciała.

Na razie karmicie gości jedzeniem przygotowanym w duchu slow food, uwrażliwiając także na sposób, w jaki zostało wyprodukowane.

– Mamy też ogród warzywny za Laboratorium, założony przez artystów Juliette Duventhal i Pawła Kruka. Część produktów będziemy pozyskiwać stamtąd.

Nie odnosi pan wrażenia, że ekologiczny styl życia to w Polsce wciąż sprawa elitarna?

– Nie tylko w Polsce. Wszędzie. Bo wciąż zdarzamy się bezpośrednio z problemami ekologicznymi. Często nie jesteśmy w stanie

ich dostać. Ale nasz projekt nie jest ekskluzywny. Każdy może przyjść, zjeść coś, dołączyć do dyskusji, obejrzeć film czy posłuchać koncertu.

I dzięki temu poszerzyć swoją świadomość, zacząć wprowadzać zmiany?

– Ja nie mam ambicji, by zmieniać świadomości czy postawy. Po prostu robimy projekt. Przyjdzie ten, kto jest zainteresowany. Ale to wszystko ma oczywiście wymiar polityczny, bo sztuka ma wymiar polityczny.

Problemy ze styku polityki i ekologii zaczynają się w samym Jazdowie. Choćby sprawa osiedla tzw. domków fińskich, które tworzą zieloną, kameralną enklawę w centrum miasta, a są zagrożone likwidacją...

– Sprawa z tym osiedlem jest skomplikowana. Niektórzy chcą zatrzymać domy, niektórzy nie. Nie interweniuje bezpośrednio w sprawach politycznych. Takie nasze zaan-

gażowanie kończy się wraz z oddaniem przestrzeni artystom.

Zaprosiliście również różne organizacje, ruchy społeczne, jak Warszawska Kooperatywa Spożywcza, Zielone Mazowsze czy Slow Food Youth, aby współtworzyły „Zielony Jazdów”. Jak idzie ta współpraca?

– Bardzo dobrze. Idea jest taka: my tworzymy pewne narzędzia dla ludzi. Jest pawilon, niech ludzie go wykorzystają; jest kuchnia, niech korzystają z kuchni; jest park, niech korzystają z parku. I niech to wszystko przekształcają, wynajdują na nowo. To jest praca partycypacyjna, wymagająca aktywności, zaangażowania.

Wierzy pan w przyszłość tego zaangażowania?

– Sztuka zawsze była narzędziem badania przyszłości, dyskusowania o niej. Dlatego też ekologia jest zadaniem sztuki. To również

„Zielony Jazdów” to organizowany przez Centrum Sztuki Współczesnej cykl letnich eko weekendów w parku przed Zamkiem Ujazdowskim w Warszawie. W programie slowfoodowe kolacje, warsztaty (np. reperowania roweru czy budowy pieca solarnego), debaty, pokaz filmów o tematyce społeczno-ekologicznej oraz koncerty. Projekt potrwa do 15 września. Szczegóły: www.csw.art.pl oraz facebook.com/ZielonyJazdow.

jest sposób na promowanie dyskusji. Musimy używać sztuki, żeby dyskutować o rzeczach naprawdę ważnych. W ramach „Zielonego Jazdowa” otworzyliśmy na przykład także telewizję internetową, żeby poszerzyć krąg odbiorców, dodać nowe argumenty. Jestem bardzo optymistyczny. Także jeśli chodzi o sytuację kultury w Polsce. To jest jeden z niewielu krajów, w którym może powstać nowy – również dla zagranicy – model kultury. Jest ku temu wiele powodów – sztuka współczesna jest w Polsce na jednym z najwyższych poziomów w Europie. Mamy tu wciąż prawdziwe zainteresowanie sztuką, a w wielu krajach jest ono powierzchowne. Tam idzie się na wernisaż, by spotkać znajomych, tutaj – by oglądać sztukę. Mamy podpisany Pakt dla Kultury, co nie jest typowe w czasach kryzysu. A więc jeśli nie tutaj, to gdzie?

Komiksowy bojkot sportu?

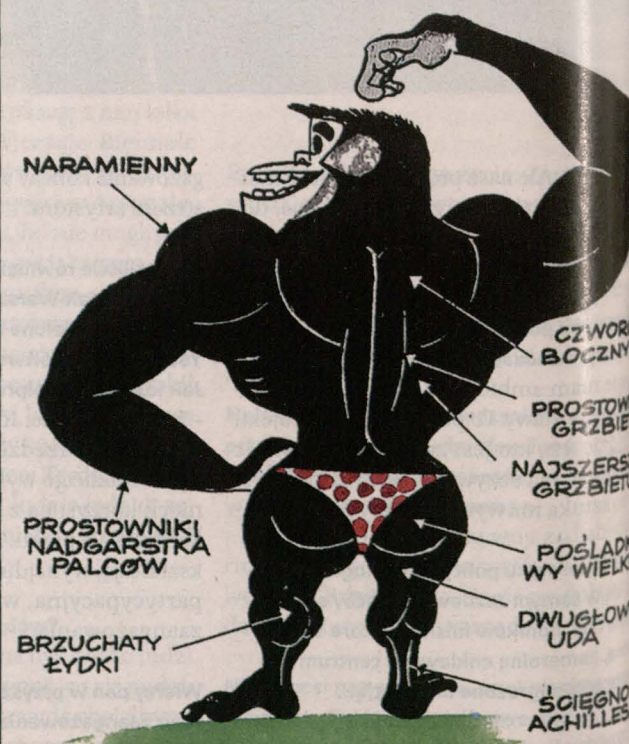
Od Rosińskiego, przez Tytusa, po „Likwidatora”... Jaki był polski komiks sportowy i dlaczego twórcy dziś się sportem nie interesują?

TOMASZ MARCINIAK

TABLICE WAŻNIEJSZYCH MIĘŚNI



TYTUSA OD PRZODU I OD TYŁU



Tydzień przed rozpoczęciem igrzysk olimpijskich konia z rzędem moim było dać temu, kto w publicznych mediach więcej coś słyszał na temat tej imprezy niż krótkie wzmianki, że jacyś nasi aktorzy i lebrycy przebiegli przydzielony im odcinek trasy ze świętym akropoliszkiem ogniem. Nie wiadomo było, kto do Londynu jedzie, jakie mamy szanse i ile to kosztowało trudu oraz pieniędzy. A przed Euro 2012? Przez dwa lata z życia okna autostradowe, okołohotelowe, okołokolejowe niemal cała polska polityka skupiła się wokół piłki nożnej.

Tak czy inaczej wydaje się, że szczególnie świat kultury nie zdyskontował obu wielkich sportowych okoliczności. Dla niego ta dzieła na życia od dawna wydawała się bytem zbytnim. Onegdaj, gdy sport był częstym powodem do dumy narodowej, pojawiały się nowe komiksy poświęcone tej tematyce. A teraz o tym właśnie będzie mowa.

Gdy były medale... W czasach „reżimu komunistycznego” ukazały się w zasadzie trzy zeszyty komiksowe o tematyce sportowej. Pierwszym był „Od Walii do Brazylii. X Piłkarskie Mistrzostwa Świata” autorstwa Grzegorza Rosińskiego (1975), narysowany po zajęciu przez polską drużynę futbolową trzeciego miejsca (ale medal srebrny...) w Piłkarskich Mistrzostwach Świata w RFN w 1974 r. Krytycznie oceniony, razi niespójnością fabuły i schematyzmem ujęć. Ułożone dialogi piłkarzy na boisku wręcz śmieszają. Rosiński tłumaczył potem, iż nigdy na meczu piłkarskim nie był...

Drugi komiks, „Polacy na olimpijskich arenach”, wyrysował Jerzy Wróblewski, autor właściwego image'u Kapitana Żbika. Zeszyt został opublikowany w 1980 r., przed XXII olimpiadą w Moskwie, gdzie Władysław Kozakiewicz pokazał swój gest. Podbudowując nasze sportowe morale, komiks prezentuje sukcesy Polaków w letnich igrzyskach olimpijskich, począwszy od owych pierwszych w Atenach w 1896 r. Warto przypomnieć, że równo 40 lat temu na olimpiadzie w Monachium w piłce nożnej uzyskaliśmy złoty medal. Jest więc tu kilka kadrów traktujących o owym fakcie i na pewno można przypomnieć sobie twarz dopiero co upamiętnionego piosennikiem Kazimierza Deyny. A jak ktoś dotkliwy, to i młodego Grzegorza Latę wyszukać wówczas nie był aż tak kontrowersyjny...

Trzeci zaś zeszyt to „Rycerze Fair Play” (1982), traktujący o sportowcach zasługujących na ten zaszczytny tytuł. Rysownik, Bogusław Polch, jest dzisiaj znany jako autor cykli „Funky Kowal” oraz „Wiedźmin”. W „Rycerzach...” (scen. Tadeusz Olszański) dwie mikrohistorie opowiadają o futbolu, ale nie polskim.

Olimpiada w Kogutkowie, mistrzostwa w Mirmilowie

Temat sportu nie cieszył się więc specjalną estymą w czasach przydzielania papieru dla wydawnictw, choć naród sportem jakoś żył. Aktywności sportowej poświęcona jest jednak VI księga „Tytusa, Romka i A'Tomka” (1971) autorstwa Papcia Chmiela, czyli Henryka Jerzego Chmielewskiego (ur. 1923) – nestora polskiego komiksu. Wznowienie zeszytu nastąpiło w olimpijskim roku 1996.

Tutaj tytułowy harcerski zastęp postanawia zaprezentować się na olimpiadzie, która okazuje się w końcu lokalną imprezą w Kogutkowie Górnym. Trening doprowadza co prawda Tytusa do wysmienitej formy w wielu dyscyplinach, okazuje się jednak, iż współzawodni-

czą ze sobą jedynie szachiści. Znaleźć można kadrę, gdzie Tytus sędziuje piłkarskiemu meczowi Greków. Jest to mecz wewnątrzgrecki Syrakuzy – Teby. Na trybunach banner: „Udawaj Greka” i transparent: „Nie kiwajcie bez potrzeby, bo wygrać wtedy Teby” – ładnie, pokojowo, bez kiboli. Jak na naszym meczu z Grekami, którym zapoczątkowaliśmy tegoroczne Euro. Album jest pretekstem do prezentacji sportowych konkurencji, zawiera też tabele, gdzie Tytus demonstruje kulturystyczne umiejętności.



Drugim po „Tytusie...” najbardziej znanym w Polsce komiksem jest „Kajko i Kokosz” Janusza Christy (1934–2009). I Christa uległ kiedyś emocjom sportowym. Opowieść „Woje Mirmila”, która zaczęła okazywać się w gazecie „Wieczór Wybrzeża” 24 lipca 1974 r., była reakcją rysownika na piłkarskie szaleństwo rodaków. Takich sukcesów nasza reprezentacja nie odnosiła nigdy wcześniej ani później. Właściwy początek owego amoku to październik 1973 r., kiedy pod wodzą Kazimierza Górskiego wywalczyliśmy na Wembley remis z Anglią, co przyniosło awans do MŚ w RFN. Ten zeszyt to historia meczu mieszkańców Mirmilowa z Omsami. Jak wieść internetowa niesie, fani znaleźli tu nawet sportretowanego Jacka Gmocha, trenera i selekcjonera, następcy Górskiego. W komiksie postać z wydatną szczęką jest najpierw znachorem, potem trenerem Omsów.

Christa doceniał zalety celnego kopania. W jednej z historii „Tylko dla dorosłych” („Magazyn Opowieści Rysunkowych Relax” 6/1977) pokazał Kopciucha Wykidajkę, który dzięki dobremu treningowi w karczmach przyczynił się do wejścia książęcej drużyny do ligi.

Kopciuszki nowej Polski

Długo, oj dłuuuugo nic nie działało w komiksie sportowym, bo i sukcesów nie było, aż tu przydarzyła się okazja – nareszcie jest kogo sławić! Piłkarska kadra po 16 latach zagrała znów w finałach mistrzostw świata (2002). Fanowskie wydawnictwo Nasz Powiat stworzyło graficzną opowieść, zagrzewając nas bardziej do boju niż pieśń Edzia Górniaka: „Biało-czerwoni. Droga do Japonii i Korei”. Paweł Misior (scenariusz) i Ryszard Szokalski (rysunki) nie poprzestali na suchych faktach, jak ich profesjonalni koledzy w czasach siemienicznego komiksu byle epoki. Historia traktuje o dwóch Kopciuskach – nieoczekiwanie wybranym na trenera Jerzym Engelu oraz mało jeszcze znanym Olisadebe, który z nienacka zaczął strzelać gole dla Polski. Narracja jest zawikłana: poskomuniściyczna nomenklatura, wampiry, wróżki, prezydent RP (ogłoszono nawet konkurs na rozpoznanie wyrysowanych postaci). Bohaterami są i kibice, formacja do tej pory istniejąca jedynie na trybunach. W owej opowieści nie są oni agresywni, jednak to świadectwo czasu, że zaczęli być postrzegani w kategoriach zagrożenia.

Emmanuel Olisadebe, ówczesny ulubieniec stadionów i mediów, doczekał się także innego komiksowego upamiętnienia. Ale to spojrzenie zjadliwe i pełne ironii. Taki jest „Mecz” Adriana Madeja (II Warszawskie Spotkania Komiksowe 2002). Mamy tu i czarnoskórego zawodnika faulowanego w majestacie orzeczenia arbitra przez skinopodobnego osiłka, i petardy na trybunach, i bójkę-jatkę zawodników, kiedy komentarz mówi o niezrozumiałym przedłużeniu spotkania. W ostatnim kadrze sponiewierany, skopany i zakrwawiony kapitan przegranych dziękuje zwycięzcom za naukę sportowej sztuki i stwierdza, że warto było przegrać z lepszymi.

Tytus kibolem, Wilq wilkiem

Podobnie jak Madej widzi kibiców Papcio Chmiel. Komiks, rysowany od 1957 r., już dawno przestał być produktem skierowanym do dzieci. XXXI księga „Tytusa...” to „Tytus kibicem” (2008), a koledzy usilnie, jak to zwykli czynić od kilkadziesiąt lat, go uczulowieczają. Kibolowskie czy – jak chcą niektórzy językowi puryści – pseudokibolowskie sch-

→ mienie Tytusa de Zoo, naszego superbohatera szympansa, to tylko pretekst do nieskoordynowanych w zasadzie przygód.

Jeszcze bardziej zjadliwi dla polskiej piłki nożnej i jej fanów są bracia Tomasz (scen.) oraz Bartosz (rys.) Minkiewiczowie w undergroundowym komiksie z cyklu „Wilq superbohater”. Zeszyt 17 (2011) zatytułowany „Podaj, Macieju” już okładką zdradza treść: czarnoskóry piłkarz kłania się nisko Wilqowi. Tytułowy superbohater jest dziwnym pokurczem z peleryną, wiecznie niezadowolonym, skwaszonym, obrażającym nawet swych najlepszych kumpli z Opola i okolic (w telefonie ma ich zapisanych jako Buc 1, Buc 2). Powiedzonka Wilqa weszły już do popularnego obiegu, jak to się miało swego czasu z dialogami z „Rejsu” czy „Pśów”, a sam komiks doczekał się kilku analiz naukowych, jako że nalaadowany wulgaryzmami w odbiorze młodego czytelnika stał się w swoim czasie po prostu przebojem. W „Podaj, Macieju” jest wiele socjologicznych, oczywiście jak na komiks przystało, przerysowanych obserwacji: demonstracja kobiet przed stadionem domagająca się mniej stadionów, więcej tamponów; ryczące areny i hasła „Wchodzimy razem z bramą”; na podziemnym parkingu Odry Opole na każdym samochodzie opierająca się wyzywiająca panienka z lubieżnie trzymanym papierosem. Obowiązkowym elementem są tu stada natarczywych czyścicieli szyb zaparkowanych pojazdów. Wilq, jak zawsze zdecydowany bronić swych wpływów na Osiedlu Związku Walki Młodych, poszukuje ukrytej na stadionie bomby, o której zresztą wie PZPN. A cytat z trenera Piechniczka brzmi: „Historia wszelkiego społeczeństwa dotychczasowego jest historią walk klasowych”.

Likwidator sportu?

Ostatnim poważnym podrygiem komiksu sportowego w Polsce stała się nagłośniona plakatami i billboardowymi reklamami seria 20 albumów poświęconych wybitnym polskim sportowcom, która wystartowała 16 kwietnia 2008 r. Nawiązywała do tradycji komiksu dokumentującego, bo tak można zakwalifikować wspomniane trzy zeszyty z początku lat 80. Treść została oparta na faktach, co od sce-

narzyszy wymagało konsultacji z samymi sportowcami lub ich rodzinami. Co tydzień, w ramach „Biblioteki Gazety Wyborczej”, ukazywał się nowy zeszyt autorstwa różnych rysowników. Chlubna, patriotyczna akcja, mająca mecenat i błogosławieństwo PKOl, okazała się jednak marketingowym niewypałem. Powoli stygł już szal Małysza, a inne nazwiska sportowców niewiele mówiły.

Skoro nie ma dziś chętnych na rzetelną historię w kadrach i dymkach, a szyderstwa komiksowe w zasadzie są smutne, to może pozartujemy? Taką strategię przybrał dzisiejszy



„Polacy na olimpijskich arenach” oraz „Rycerze Fair Play”

senior komiksu, poeta nonsensu i graficznie, i słownego, mistrz Tadeusz Baranowski (ur. 1944) w jednym z odcinków świntuszczych „Porad Praktycznego Pana”. Po zastrzeżeniu, że tym razem nie będzie niczego o seksie, rozważa zalety piłki nożnej – ale jedynie w kadrowych nadpisach. Same kontrapunktujące rysunki przedstawiające dowcipnie sytuacje damsko-męskie są opisywane sportowym słownictwem: gol, strzał w słupek, czerwona kartka („za wczorajsze spotkanie z blondyną”), przetrenowanie... Dodatkowo mamy tu wątek szachowy (szach i bosmanmat jednocześnie w jednym łózk) oraz sztafetę, ponoć ostatnio bardzo popularną dyscyplinę. Śmiech – jak sport – to zdrowie.

Zanim Euro 2012 się zaczęło, doczekało się sztyrderezo protestu Ryszarda Dąbrowskiego, który wcześniej wywołał chwilowy skandal komiksem poświęconym katastrofie smoleńskiej. Bohaterem kilkunastu już zeszytów Dąbrowskiego (ur. 1968) jest Likwidator, ekoterrorysta w czarnej masce z wyszczerzonymi zębami, zwalczający wszystko i wszystkich, którzy zagrażają przyrodzie. Fabuła potrafi łączyć kilka wątków, rysunek czysty, a obserwacje autora, skojarzonego z mitem anarchistycznym czy też undergroundowym, są twórcze i cenne.

wym, są tyleż cenne, co długie i czynione dosadnym a czasem wręcz wulgarnym językiem. W albumie „Kwikdator: Elro '12 i inne epizody” bohater walczy przecież nie o pieniądze, ale o miejsce w świecie. Wobec niego nie ma wątpliwości, że to on jest bohaterem nad Biebrzą (rysownik mieszka w Białymstoku) bierze jako zakładników naszą reprezentację, która jest oczkiem w głowie Tuska. Brak tu wątpliwości, że Euro przyniesie nam skok cywilizacyjny, a nie za to sztywność i manipulowania symbolami narodowymi i politycznymi. „Oburzeni” w postaci ruchu kibiców, którzy zamierzają nie liczyć się z premierem, ale za brak zwycięstwa w Warszawie i pod stołecznym pa-

go palą ofiarę w postaci zdemolowanego samochodu TVN. Takich aluzji do aktualnych wydarzeń jest więcej. Warto zauważyć, że Ministerstwo PR w komiksie jest najważniejszym ministerstwem w kraju...

Niewykorzystana szansa?

Wygłada na to, że mały, ale zintegrowany świat sportowców, przegladami i licznymi stronami internetowymi świata polskiego komunistów temat sportu raczej omija. Nie jest to bowiem polityczny, jak to się działo przy okazji igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. czy tegorocznego Euro. Po prostu ów świat zaspał i tak jak cała polska kultura szansy na pokazanie swej rzeczywistej siły przy okazji sportowych wydarzeń nie wykorzystał. Szkoda, że może i niewielka dla kibiców oraz sportowców. Ale dla twórców? Niech dokonają własnego bilansu, kiedy sportowe emocje już całkiem opadną.

Zdzieci z ducha kozuch, zaczyna samoczynnie korzystać z rewolucyjnym pseudo, w rodzaju Lenin czy Stalin. Do tego oddziały bojowników Bane'a są dość etnicznie różnorodne: Afrykanie, Latynosi, Arabowie, wschodni Europejczycy – czyli prawie pełna reprezentacja peryferii i półperyferii. Ich „mundury” to coś pomiędzy strojami mudzhahedinów, anarchistów i armii Serbów Bośniackich. Są bezimienni, łatwi do zastąpienia. To tryby w maszynie rewolucji.

Coinnego policjanci – dzielni niczym polska kawaleria pędząca na czołgi. Scena ich starcia z armią Bane'a jest jak z „Braveheart”, „Partioty” i „1920. Bitwa warszawska”. Pędzący na karabiny maszynowe, uzbrojeni w rewolwery stojkowi, siekani jak tatar podskaki, mimo start dopadają wroga i powalają go w walce na pięści – godne Złotej Maliny za scenę batalistyczną. Zresztą film jest pełen scen o patetycznie godnym klipów Platformy Obywatelskiej, tylko

Business Class Hero

Starcie rewolucjonisty i kapitalisty
w asyście socjaldemokratki.
Oto „Batman. Mroczny Rycerz powstaje”



z większym budżetem i operatorem profesjonalistą. Bane odpala ładunki na stadionie miejskim w momencie, gdy sympatyczny chłopczyk śpiewa hymn amerykański. Czy można być bardziej antyamerykańskim, niż atakując jednocześnie futbol, hymn i dziecko we fraku śpiewające w nagrodę za zwycięstwo w szkolnym konkursie?

Tymczasem nasz heros to dobry bogacz, chcący swoim majątkiem naprawić świat. Jak przecież każdy multimilioner. Nie pada pytanie, gdzie Bruce akumuluje czystą energię, aby płacić na sierocinie i szpitalu, kto jest wyzyskiwaną podstawą tej piramidy, której szczyt zamieszkuje nasz sympatyczny multimiliarder. Niczym książę Rudolf z „Tajemnic Paryża” Eugeniusza Sue rozwiązuje kłopoty maluczkich, śpiąc groszem, budując lepszy świat za swoje pieniądze. I tak jak już Marks w „Świętej rodzinie” nie zazdrościł mieszkańcom Gerolsteinu, finansującym swoją ciężką pracę naprawczą pasję księcia, tak ja wolabym nie zaglądać do fabryk Wayne Enterprise w Indonezji, kopalń w Botswanie czy szwalni w strefie Shenzhen. Ale co ja tam wiem, bo Wayne to przecież Jezus. Kiedy pobity przez Banę’a cierpi w legendarnym więzieniu bez wyjścia, to polepione krwią włosy i zarost nadają mu rysów Chrystusa z „Pasi”, a kiedy w bliskowschodnich ciuszczach wydstaje się z kaza-matów, to mamy już do czynienia z narracją „Ben Hur i inne biblijne ramoty lat 50.”.

Z kolei Kobieta Kot, element w historii „wahadłowcy”, to jawna socjodemokratka. Niby usta pełne frazesów o zabieraniu bogatym, jednak kradnie głównie dla siebie, a nie dla maluczkich. Zadowolona już

na scenie politycznej, oswojona, jest niezbędnym sojusznikiem superbohatera biznesmena-filantropa, który pozwoli uratować kapitalizm i Zachód przed rewolucją, chaosem oraz zgubą. Niby ciągnie ją nieco do ludzi Bané'a, ale przecież wszyscy wiemy, że to jedna z „naszych”. Może korzeń proletariacki, ale już ze sznitem establishmentu, jest napięcie i iskrzenie, ale jednak łatwo przekraczał. Ta miłość jednak ma niestety przyszłość.

Mamy więc do czynienia z bardzo pravicową wizją rewolucji, a że liberalizm i indywidualizm „dobrych” wzmocniony jest rysem mesjanistycznym (Batman jako Jezus), to zarazem jest to wizja bardzo amerykańska. Rewolta skierowana jest przeciwko bogatym i zarówno naga siła (atak terrorystyczny na Wall Street), jak i najnowsze technologie służą walce z kapitałem, korporacjami i siłą pieniądza. Occupy Wall Street czy akcje hakerów z Anonymus w krzywym zwierciadle to chyba oczywiste konotacje.

Kiedy rewolucja zwycięża, pomijając już tak delikatne sprawy jak terror i natychmiastowe odcięcie Gotham od świata, pozostaje jeszcze jedna kwestia. My, widzący więcej niż mieszkańcy miasta. Wiemy, oszustwo, a bomba tyka i wybuchnie. Wniosek jest prosty: rewolucja nie jest droga, jaką poszedł Związek. Razem tak samo się unicestwić, zmiatając z siebie miejsce, gdzie odniosła zwyciężanie, tłumaczeni i oburzeni, do których tak większość, są w filmie zrównani i uwalniani przez Bane'a od „ucisku” Arkham. Kiedy idziemy z policjantami do domu, słyszymy ironiczne: „To był ty, teraz to jest własność wszystkich”. „Świętego prawa własności” ciągle niechazhiana i dominująca.

Generalnie: zielona technologia okazuje się zwo-
dniczym kamufażem prywatnej vendetty, rewolucja
zniszczy Gotham, instalując tam wcześniej system ra-
dziecki, a świat uratować mogą tylko indywidualne
heroiczne decyzje bardzo bogatych bohaterów, któ-
rzy jak Jezus poświęć się dla miasta, aby po prawicy
Kobiety Kot pić w Italii latte. Ot, gruba parodia i wer-
sia à rebours ruchu Occupy Wall Street. Cieszy jed-
nak, że kolejny raz do głównego nurtu (po na przykład
„Planecie Małp: Genesie”) wchodzi film tak jawnie za-
korzeniony w naszych aktualnych politycznych pro-
blemach i zajmujący się – co prawda w zawoalowany
sposób – kapitalizmem oraz próbami jego obalenia.
A że robi to dość nieudolnie i efekciarsko... Cóż zro-
bić, wiele jest takich filmów, a mało który mówi o ka-
pitalizmie. Szkoda jednak, że to „Batman”. I szkoda,
że tak prawicowo to wizja.

KSIĄŻKA

Zdrada dzieciństwa

Niestabilność to nie tylko brak twardego gruntu pod stopami – daje do zrozumienia Richard Hughes w „Orkanie na Jamajce”

Jamajka, druga połowa XIX w. Wyspa zostaje poważnie dotknięta przez huragan. Jedna z mieszkających tam brytyjskich rodzin decyduje się wysłać swoje pociechy do szkoły w Anglii. Dołączają do nich dzieci jednej z rodzin kreolskich. Niestety, statek „Clorinda”, którym wszyscy płyną, zostaje napadnięty. Zapędzeni na pokład szkunera mali pasażerowie znajdują się pod kurtelą piratów. Okazuje się, że nie są to tak bardzo groźni panowie. W przeciwieństwie do tymczasowych podopiecznych.

Autor powieści „Orkan na Jamajce” Richard Hughes (1900–1976), angielski pisarz i poeta, otwiera przed czytelnikiem wiele furtek, dzięki którym pró-

kończyć na głębokiej psychologii – bez względu na to, czy mówimy o dzieciach, czy dorosłych, system wartości, obowiązujący wcześniej w domu zwyczajnie pęka i przestaje dominować w innej, zupełnie nowej, krytycznej sytuacji. Narrator nie stawia nas pod ścianą i nie szantażuje emocjonalnie. Nic tutaj nie jest jednoznaczne, a takie pojęcia jak moralność, prawda, lojalność, wspólnota, niewinność i śmierć będą przebiegać czytelnikowi w myślach niejedną raz.

Akcja tej bardzo zabawnej momentami powieści rozgrywa się w epoce wiktoriańskiej. Znajdujące się w niej sformułowanie dotyczące zachowania brytyjskich dzieci podczas huraganu, zanim jeszcze opuściły wyspę („były jednak dzielne, jak prawdziwi Angliacy”), to wyraźne podkreślenie specyfiki czasu historycznego oraz kolonializmu spod znaku imperium brytyjskiego, którego kolonią była Jamajka.

Nic dziwnego, że w Polsce jest to już czwarte wydanie „Orkanu na Jamajce”. To jedna z tych pozycji literackich, do której warto co jakiś czas wracać, gdyż nie traci na aktualności i także dziś buduje gęstą sieć odniesień oraz asocjacji. Język powieści jest niezwykle obrazowy – dotyczy to zarówno jamajskiej natury, jak i postępowania samych dzieci oraz ich wewnętrznego życia. Nie oznacza to jednak, że mamy do czynienia z poradnikiem dla młodych rodziców. Swoją drogą, ciekawa może się okazać dyskusja, co w dzisiejszej, także po części wirtualnej rzeczywistości, może oznaczać zwrot „zdradzić dzieciństwo”.

Jedno jest pewne – kiedy opisana przez Hughesa niecodzienna szkoła pod żaglami będąca przyspieszonym kursem dojrzewania dobiega końca, niektóre z dzieci dopływają w końcu do Anglii...

WOJCIECH WOJCIECHOWSKI



Richard Hughes,
„Orkan
na Jamajce”,
tłum. Maciej
Świerkocki,
wyd. W.A.B., 256 s.



Ameryka o zmierzchu

W „Sunset Park” Paula Austera nie ma nadziei na inny świat niż ten śmieciowy

Sunset Park nie jest bynajmniej sentymentalnym zaciszem, gdzie turyści podziwiają zachody słońca. To jak najbardziej rzeczywista nazwa nowojorskiego squatu, w której – mniej więcej w jednej trzeciej książki – skrzyżują się losy czterech młodych mieszkańców nielegalnego squatu. Niemniej można tytuł czytać szerzej: cała 16. powieść Austera jest krajem zmierzchu. Krajem długich cieni. Głównego bohatera, 28-letniego Milesa Hellera, czytelnik pozna co prawda na Florydzie, jednak południowe „światło niczego nie rozjaśnia, tylko zaciemnia”.

Dla Milesa owym prywatnym mrokiem będzie tragiczne zdarzenie sprzed lat – w trakcie sprzeczki popchnął starszego brata pod nadjeżdżający samochód. Narastające poczucie winy i niezrozumienia kazało mu porzucić uczelnię – nie było jak – i wygnało z rodzinnego domu. Od siedmiu lat tuła się po kraju między dorywczymi pracami. Dla Pilar Sanchez, jego młodzieńczej kubańskiej dziewczyny, tym cieniem będzie natomiast śmierć rodziców w wypadku. Dla Ellen z nowojorskiego squatu – aborcja, a raczej samotny i wstydlawy koniec najbardziej wstrząsającej erotycznej przygody w życiu.

Nie tylko pojedyncze losy w powieści Austera naznaczone zmierzchu. W „Sunset Park” przede wszystkim zmierzchu Ameryka. Choćby otoczenie, w którym zastajemy Milesa Hellera: na Florydzie zatrudniony jest na umowę śmieciową w sensie także dosłownym – sprząta i porządkuje domy zajęte przez bank. Dzień spędza więc wśród porzuconych przedmiotów, rozbitych telewizorów i zachlapanych farbą ścian. Świadectw bezsilności i gniewu, które z upodobaniem fo-

tografuje. Dokumentuje koniec. Kiedy później zmuszony przez okoliczności trafi do nowojorskiego squatu, zaczął dręczyć pytania. Jak to się stało, że oto znalazł się w środku mieszkaniowej katastrofy? Jak to się stało, że on, dziecko rodziców z klasy średniej – niezależnego wydawcy i wizerunkowej aktorki – wyładował w pustostanie? A wraz z nim między innymi doktorantka zatrudniona w Pen Clubie. Jak to się stało, że nie ma innego wyjaśnienia? Historia Hellerów sugeruje, że źródła klęski szukać należy pokolenie wcześniej. Już ojciec Milesa, Morris, poturbował przecież finansowego wspieracza własnego ojca, by założyć niezależne wydawnictwo, które obecnie ma dwie dychy.

Wrażenie, że z pokolenia na pokolenie kurczą się szanse i finansowe możliwości Amerykanów, Auster wzmacnia, pozwalając swoim bohaterom opowiadać i oglądać rzeczy o wiele mówliwych tytułach. Wspomniama doktorantka kompulsywnie ogląda powojenne filmy „Najlepsze lata naszego życia”, a matka Milesa przygotowuje się do inscenizacji sztuki Becketta „Śmierć Śliwki”. Miles, wytrawny znawca anegdot i statystyk baseballu, pragnie niemal wyłącznie gracy, których kariera przypada na lata 50. i 60., a których nekrologi zaczynają zapełniać gazety. Rok 2008 to pora umieszczenia legend, nie ich tworzenia.

Świat bohaterów „Sunset Park” to w zawieszaniu, oczekując na eksperyment. Czy zatem to poczekał na doświadczenia? W oszczędnym – jak przystało na czasy kryzysu – stylu Paul Auster zdaje się mówić, że innego świata już nie ma.

TOMASZ SUROWY



Paul Auster,
„Sunset Park”,
tłum. Maria Malinowska,
wyd. Znak, 304 s.

TEATR

Piknik na skraju wszystkiego

To chyba najtrudniejszy, najbardziej hermetyczny spektakl, jaki można zobaczyć w Poznaniu. Maciej Podstawny wystawia publiczność Teatru Polskiego na próbę cierpliwości. Nie spiesząc się z opowieścią, bardzo powoli bada związek między dramatem Gorkiego a filmami Tarkowskiego.

W ponadtrzygodzinnym widowisku czas stoi w miejscu, w planie realnym niewiele dzieje się z bohaterami. Do określenia pierwszej części spektaklu najlepiej pasuje słowo „pustka”. Letnicy od Gorkiego przypominają trzy pary młodych ludzi na wakacjach. Nudzą się, gadają obojętnie, jeśli im się chce, prowokują erotycznie (Maria Kaleria Kornelia Twardowska), brną albo w autodestrukcyjne jak Julia Ewy Szumskiej), albo w puste formy towarzyskie (Adelajda Barbary Prokopowicz). Wchodzą do sauny, opadają na leżaki, chowają się za okiennymi przeciwsłonecznymi. Wydają się być zamknięci przez skwar, głupieją od nadmiaru wolnego czasu oznaczającego nieznosny przymus bycia z samym sobą.

Drugą – środkową – część można nazwać historią o „czasie poszukiwania”. Oglądamy tu na dwóch ekranach godzinny film amatorski o podróży Aleksandra (Piotr Kazimierzczak), Włosa (Paweł Świąk) i Wiktora (Maciej Litkowski) do tajemniczej strefy. Jedną kamerą Podstawny nakręcił jeszcze raz legendarnego „Stalkera” Tarkowskiego.

GRA

Ty też możesz walczyć z AIDS

mocy rozbudowanego samouczka, gdzie poznamy mechanikę rozgrywki.

Możemy także spróbować sił w grach zespołowych. Wtedy punktowe wyniki pojedynczych graczy umieszczane są w internetowej tabeli wyników. Dostrajają wtedy oni do rozpracowania konkretne modele białek, które sprawiają problem naukowcom.

Cały system działa na zasadzie zbiorowej inteligencji, agregując zachowania graczy, czyli tworzone przez nich kombinacje białek. I nie służy to tylko zabawie. W ten sposób niezwykle użyteczną wiedzę zyskują biochemicy, dą-

Nicość i tajemnica nie są dla wszystkich – udowadnia swoim „Ocaleniem” Maciej Podstawny



go! Nie wiem, czy więcej w tym geście reżyserskiego szaleństwa, czy bezcelności. Trójka poznańskich aktorów przediera się tu przez bagna i krzaki, snuje po ruinach oraz wrakach czołgów, wchodzi na górę, jedzie dokądś samochodem. Są ubrudzeni, umęczeni, na skraju zdrowego rozsądku.

Oczywiście Tarkowskiego powtórzyć się nie da, ale film w spektaklu spełnia rolę zapisu ekstremalnego przeżycia. Kazimierzczak, Litkowski i Świąk grają tak, jakby wiedzieli, że ktoś już opowiedział lepiej o tej wyprawie, mają świadomość, że kopiuje cudze gesty

oraz słowa, ale zaciskają zęby i próbują wyrazić to po swojemu. W „Stalkerze” tajemnica była na wyciągnięcie ręki, w obrazie Podstawnego jest tylko jej pragnienie.

Kończy się film w teatrze, wraca żywy plan aktorski. Trzecia część „Ocalenia”, opowiadająca treść „Ofiarowania” Tarkowskiego, to studium poświęcenia, o którym nikt się nie dowie. Nad świat letników nadciągają czarne chmury, urodziny Aleksandra przerywa wieść o możliwości wybuchu wojny jądrowej. Zdesperowany, nieprzytomny ze strachu o los swojej rodziny bo-

tuje człowieka z zastygłym czasem, przypatruje się jego lękom, oddaje sprawiedliwość niezauważalnym aktom emocjonalnego bohaterstwa. Ocala inny rytm życia, tęsknotę za innym odczuwaniem.

ŁUKASZ DREWNIAK

„Ocalenie”, spektakl według „Letników” Maksyma Gorkiego oraz „Stalkera” i „Ofiarowania” Andrieja Tarkowskiego, scen. i reż. Maciej Podstawny, Teatr Polski w Poznaniu, premiera 24 maja

MUZYKA

Piosenka to jest teatr

Reginę Spektor wiele łączy z Joni Mitchell. Słuchać to na jej najnowszej płycie



Ciekawe, kim dziś byłaby Regina, gdyby jej rodzice nie przenieśli się z Moskwy lat 80. do tętniącego życiem Nowego Jorku. Wychowana w wybitnie muzycznej rodzinie, pewnie i tak podążałaby swoją drogą, ale trudno oprzeć się wrażeniu, że Nowy Jork dodał jej skrzydeł. Ciekawe też, co by było, gdyby nie nasiąkała w dzieciństwie słowiańskością, nie była wychowana w tradycji żydowskiej, nie fascynowała się jazzem i Billie Holiday... Szkoda czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Bo właśnie dzięki temu wszystkiemu jej twórczość jest bardzo niejednorodna i to jedna z jej największych zalet.

Pierwsze poważne muzyczne sukcesy w Nowym Jorku odniosła dość wcześnie. Bo też debiutowała solową płytą zatytułowaną „11:11” już jako 21-latką. Od początku sama pisze, komponuje i produkuje większość swoich piosenek (jest też współproducentką najnowszej płyty) oraz oczywiście gra na fortepianie.

„What We Saw from the Cheap Seats” to jej już szóste muzyczne dziecko. Fortepian prowadzi nas tu przez piosenki przywodzące na myśl różne gatunki – od radosnego „Don’t Leave Me (Ne me quitte pas)”, po balladowe „Firewood” czy „Why”, teatralne „Oh Marcello” i „Open”. Teatralność to zresztą nieodłączna cecha muzyki Reginy Spektor. Ona po prostu świetnie czuje się w swoim przedstawieniu, podobnie jak The Dresden Dolls czy wcześniej Freddie Mercury. Czasem zbliża się do seksownego szeptu à la Marilyn Monroe, czasem uwodzi niewinnym dziewczęcym głosem. Ale to głos, który kryje ogromny potencjał. Płyta jest momentami beztrosko zabawna, chwilami przeteatralizowana, chwilami całkiem zwyczajnie poprawna. A jednak półka ze śpiewającymi kobietami bez Spektor byłaby niepełna. I choć dla niektórych nazwanie jej nową Joni Mitchell może być nadużyciem, trudno oprzeć się wrażeniu, że jednak obie panie wiele łączy.

JOANNA SOLTYSIAK, RADIO ZET



Regina Spektor, „What We Saw from the Cheap Seats”, wyd. Warner Music

Nu metal is dead!

Piąty album Linkin Park – najpopularniejszego rockowego boysbandu – udowadnia jedno: sztuczny twór, jakim był nu metal, dokonał żywota, a zmartwychwstania nie będzie

Korn, ojcowie gatunku łączącego hip-hop z melodyjnym metalem i elementami tzw. muzyki grunge, nagrywają album w modnym dubstepowym klimacie. A że syntetyczne brzmienia starzej się najszybciej, za kilka lat ich naszpikowanego elektroniką albumu nie będzie dało się już słuchać. Hipperprzebojowy, odrodzony w bólach Limp Bizkit na ostatnim krążku zjada swój ogon. Slipknot po śmierci swojego basisty nie potrafił się otrząsnąć. Praojców gatunku – Rage Against the Machine – stać już tylko na sporadyczne koncertowanie i odcinanie kuponów od przeszłej sławy. Efekt wypalenia dopadł również System Of A Down, bliskich kuzynów nu metalu. Jak na ich tle wypadają „groźni rockowi” pupile z Linkin Park? Słabiutko.

„Living Things” jest próbą przypodobania się każdemu. Starzy fani dostają czytelne nawiązania do udanych dwóch pierwszych płyt formacji. Krytycy, którzy chwalili grupę za eksperymencko-progresywne poszukiwania na „A Thousand Suns”, znajdują ślad eksperymentów z brzmieniem. Ci zaś, którzy idą z duchem czasu i zasłuchują się w dubstepie, usłyszą dźwiękowe smaczki niczym z konsoly Skrillexa.

Trwający niespełna 40 minut album wypełniony jest melodyjną mieszanką rapu, metalu i elektroniki. A że zespół ma na pokładzie Chestera Benningtona, jednego z najbardziej wszechstronnych wokalistów ostatnich lat, to grupie zdarza się momentami zachwycić mocnymi fragmentami („Lies Greed Misery”, „Victimized”) czy przebojowością (trzy pierwsze utwory płyty). Jednak album jako całość rozłazi się w szwach. Single są błędą kopią przebojów z przeszłości. Elektroniczne eksperymenty są zachowawczo infantylne. Agresja w mocniejszych kompozycjach może brzmieć wiarygodnie tylko dla dojrzałych dzisiaj słuchaczy Tokio Hotel i L.O.27. To krok wstecz. Niestety, siedmiomilowy.

JACEK NIZINKIEWICZ



Linkin Park, „Living Things”, wyd. Warner Music Poland

MUZYKA

Szczerłość bez fajerwerków

„Rhythm and Repose” to poruszający, dojrzały debiut

Solowy album Glena Hansarda to propozycja dla tych, których prowadzi film „Once”, bo to właśnie ten wokalista jest autorem sukcesu piosenki „Falling Slowly”. Poza tym – choć „Rhythm and Repose” jest solowym debiutem 42-letniego Irlandczyka – ma on przecież na swoim kon-

lander” przywodzący na myśl muzykę Grega Dulliego, z mglistą aurą zadymionego baru. Chwilami ekspresja Hansarda przywołuje także wspomnienie Jeffa Buckleya.

Tekstowo Irlandczyk wychodzi poza piosenki o miłości, choć wciąż śpiewa o związkach i uczuciach. To jed-



nak przemyslenia dorosłego człowieka. Płytę można polecić zarówno miłośnikom Cohena, jak i Damiena Rice’a, Raya Lamontagne’a czy Bon Ivera.

Płyta urzeka zastosowaniem najprostszych środków, by przekuć je w rozdzierającą całość. Porusza. Na cisnące się na usta pytanie: „Czy jednak nie za długo trzeba było czekać na solowy debiut?”, odpowiedź może być tylko jedna: na TAKI nigdy nie jest za późno.

JOANNA SOLTYSIAK, RADIO ZET



Glen Hansard, „Rhythm and Repose”, wyd. Sonic

WIERSZ PRZEKROJU

RUBRYKĘ PROWADZI MARCIN ORLIŃSKI

Barbara Klicka

ZAKRĘTKA ÓSMA

Łabędź krzykliwy ma aż 25 216 piór – najwięcej z ptaków, których pióra zostały policzone.

soczek Tarczyn, egzotyczny

Wszystkim naszym czasownikom chwilowo najbardziej do twarzy w biernych stronach, gdzie raczej jest się li-
czonym, niż można by liczyć. I raczej widzimy się tu, niż oglądamy pod choćby lekko ostrym kątem.

Bo najpraktyczniej jest nie zaznaczać kształtów, swobodnie rozlewać się w plamy na wszystkich serwetkach, podsuwać się pod oczy jak teściak Rorschacha, poznawać tylko naukowców i wróżki. Pozwolić im mówić.

Niech nam porachują.

AUTORKA O SOBIE:

Jestem rencistką i śpiewam w chórkach punkowego zespołu. Za chwilę ujawni się książka: same same.

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Po prostu ją zniszcz!

Burz i twórz! Kilkadziesiąt rzeczy, które zawsze chcieliśmy zrobić z książką, a których nam stanowczo zabrakło – tak promuje się propozycja na lato autorstwa Anny Wziątek

Rzecz jest przewrotna. Wbrew hasłom, które wpaja się dzieciom od pokoleń, takich jak: „szanuj książkę”, „nie zaginaj jej rogów”, „nie pisz na marginesach”, „nie splam jej”, „nie pomocz” itd., tu proponuje się totalną destrukcję. Ale niszczy się po to, by na gruzach budować. Przekona się o tym każdy nieczytelnik tej nie-książki.

„To nie jest książka” jest tomikiem, z którym możemy zrobić wszystko, na co tylko przyjdzie nam ochota. Autorka co stronicę podpowiada, by na przykład przejechać po nim rowerem, wypruć razem ze spodniami w pralce, a potem zamrozić, by po nim biegać, mazać go, malować, by do niego wklejać, by z niego wycinać, by go dziurkować dziurkaczem, zszywać zszywaczem, wyrzucić przez okno, a później odszukać na trawniku czy chodniku i dalej się nim bawić. Bo to jest książka do zabawy. Wbrew pozorom – bardzo twórczej. Nawet jeśli w końcowym efekcie okaże się, że to dadaistyczne dzieło...

Przy okazji młodszym dzieciom polecam kreatywną książkę wydaną jakiś czas temu przez wydawnictwo Dwie Siostry. „Świat jest dziwny” Grażki Lange nie jest co prawda do niszczenia, ale do domalowywania, kolorowania i dopisywania dla dzieci w wieku przedszkolnym.

MONIKA JANUSZ

W każdą niedzielę

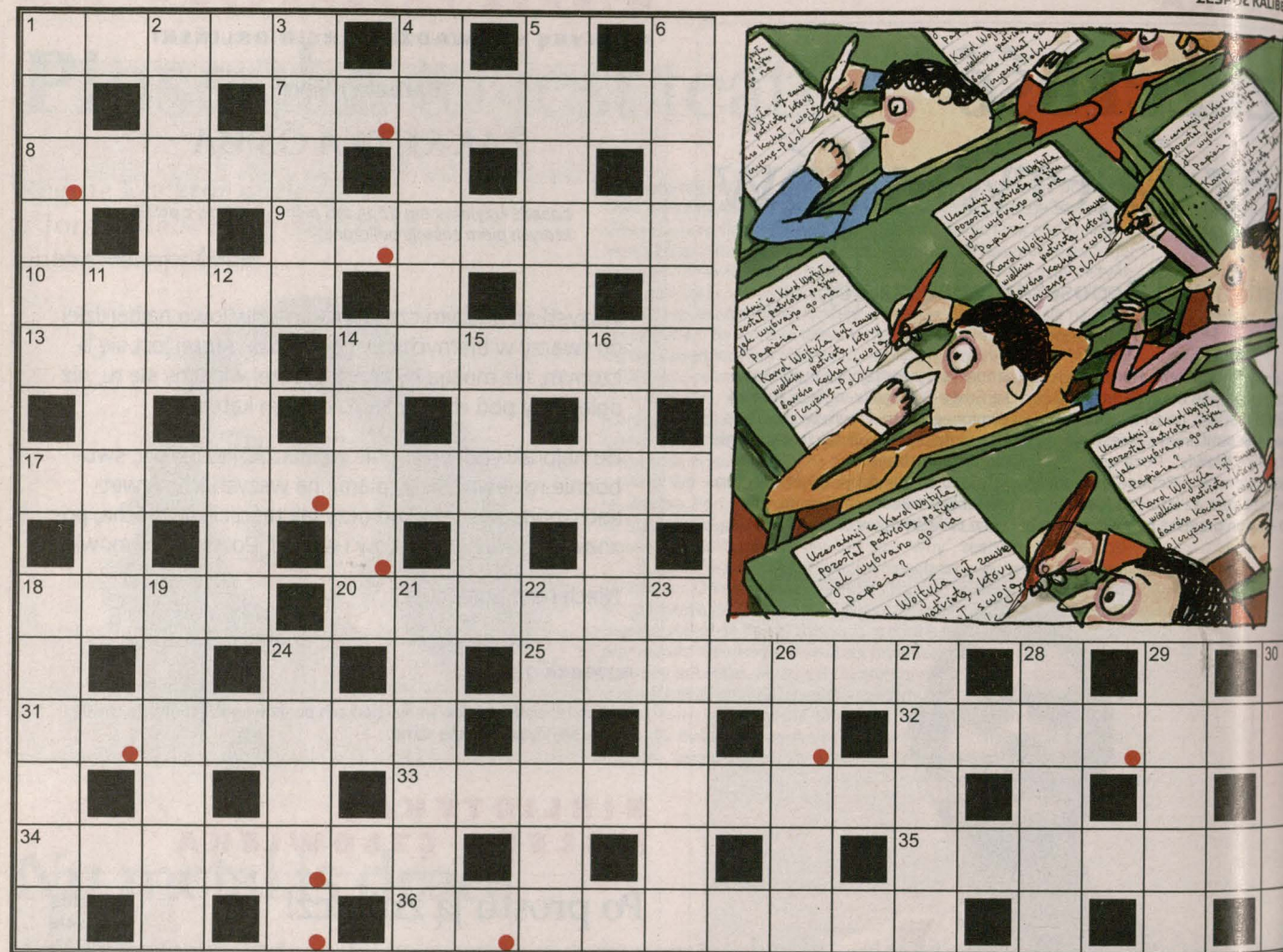
w poranku
familijnym RdC
(Polskie Radio
dla Ciebie)
autorka prowadzi
cykl o książkach
dla dzieci:
„Mamy czytamy”



Anna Wziątek,
„To nie jest
książka”,
wyd. Format,
176 s., wiek: 8+



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



POZIOMO:

1. NIESIONY DO LOMBARDU
7. ZAMIESZKA
8. RZYGĄ KAPUŚNIAKIEM
9. PŁYTY Z TAŚMY
10. MIĘDZY STRONAMI
13. ŚLONINA NA WAGĘ
14. KOBIETA WZIĘTA DO WOJSKA
17. ROŚNIE POD PACHĄ
18. RADIO, KTÓRE USYPIA

20. DO WNIESIENIA PRZES OBIENKO
25. POTARŁO
31. TRÓJKA MARKA NIEDŹWIECKIEGO
32. CIENKI OGÓREK
33. BUTY NA DOBRE I NA ZŁE
34. BUTELECKA MAGII
35. W KINIE SAMOCHODOWYM
36. WIDOCZNA WIĘKSZOŚĆ

PIONOWO:

1. UDERZENIE PIOLUNA
2. W SZWAJCARII PEŁEN DZIUR
3. DO PIERWSZEGO TŁOCZENIA
4. DROGI MATERIAŁ
5. BATMAN
6. BŁOTA POLSKA JESIEŃ
11. CHWILA W KINIE

12. PIJE PO NOCACH
14. PADA NIEDALEKO OD JABŁKA
15. JEGO WINA
16. CZTERECH DO POKERA
18. BYŁY INCYDENT
19. ŻAŁ SŁUCHAĆ
21. STARE PUDŁO

22. PRACUJE W RADIU
23. OWOC Z NUTKĄ
24. TE Z RATUSZA
26. BITE PIĘĆ MINUT
27. ZAMIAST „BYĆ” WYBÓR „MIEĆ”
28. CIEMNOŚĆ WIDZĘ
29. IDZIE ZA TRAPĄ
30. ZIELONA BIEDRONKA

LAUREACI Z NR. 28/29

Danuta i Lesław Stoccy, Wrocław; Paulina Kuczyńska, Warszawa; Dieter Wystub, Jędrzejów; Wanda Rogus, Wrocław; Hanna Kańduńska, Międzybóże; Barbara Gabrys, Wrocław; Jakub Zawadzki, Łódź; Jan Galster, Wrocław; Barbara Stawiak, Szczecin; Krzysztof Szeruga, Wrocław

ROZWIĄZANIE Z NR. 30

KRZYŻÓWKA: NA RATUNEK

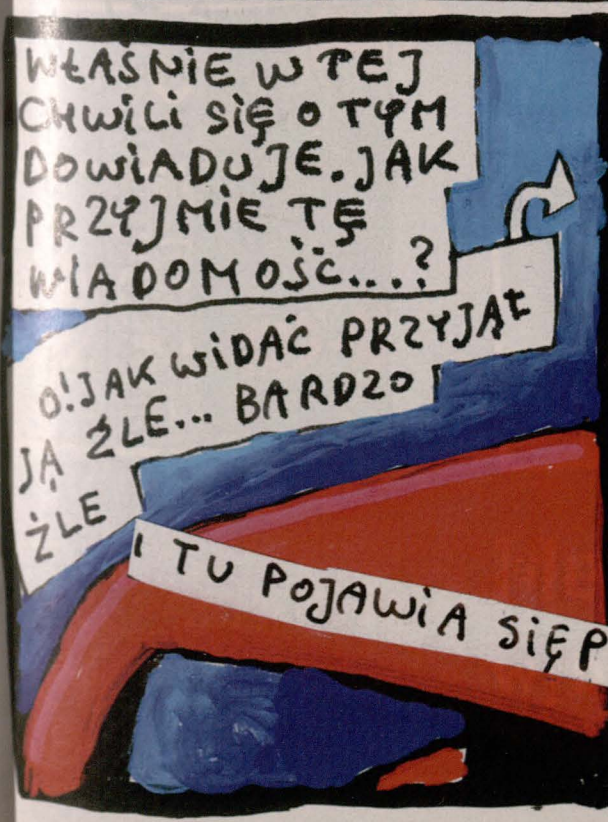
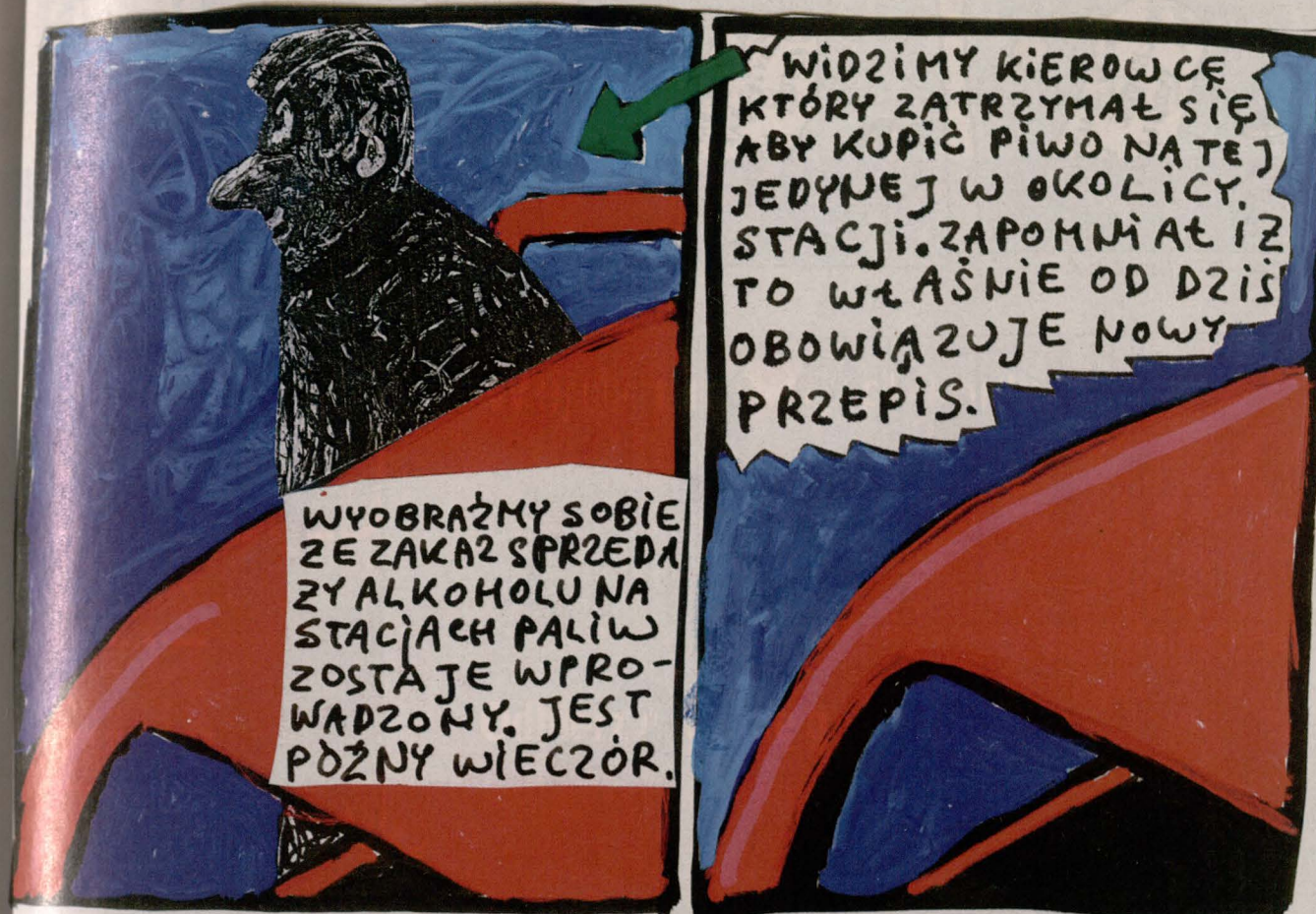
POZIOMO: 1. BŁĘKIT ODY - DZINS 7. PIES NA ŻARTY - ARLEKIN 8. JASNA GÓRA - BŁONIE 9. DRUGIE W SZKOLE GASTRONOMICZNEJ - ZADANIE 10. WIADOMOŚĆ W DZIENNIKU - UWAGA 13. CO ZAŁOŻYŁEŚ - TEZA 14. MIAŁA 40-LETNIEGO OJCA - JAGODA 17. KTÓREGO OKIEM NAWET SOKOLIM NIE ZMIERZYSZ - WSZECHŚWIAT 18. POŻEGNANIE NA DACHU - PAPA 20. SMUTNY UŚMIECH FORTUNY - SPADK 25. INTELIGENTNY POJAZD - OMNIBUS 31. DĄB KRAJ - KRANIEC 32. WALCZY NA MORZU LUB W POWIETRZU - ESKADRA 33. PÓŁ POWOŁANIA PORTU - ZAŁADUNEK 34. NADZORUJĄ SZLABAN - RODZICE 35. SUKNIA W POTRZEBIE - TOST 36. MOŻE LEGALNIE KLUSOWAĆ - KAWALKADA

PIONOWO: 1. I KONCERT FORTPIANOWY CHOPINA - DEBIUT 2. W PARZE Z INTELIGENCJĄ - ILORAZ 3. Z NIEJEDNEGO PIECA - SADZA 4. PŁASKODENNA - PŁĄDRA 5. Z GÓRY NA WYPIW W GÓRY - AKONTO 6. LAS NIE MA W ŚRODKU - KNEJJA 11. PIJANY MAŻ JEJ SIĘ TRZYMA - WERSJA 12. ZWIERZĘ NA GAZ - GAZELA 14. NIE ZAŚNIE LICZĄC BARANY - JUHAS 15. NIE DZIURA - GAWRA 16. WSZYSTKO NA GŁOWIE CESARZA - DIADEM 18. SKROMNY AKTOR - POKORA 19. TRYBUNA LUDU RADZIECKIEGO - PRAWDA 21. WCZEŚNIE PADA NIEDALEKO OD JABŁONI - PĄCZEK 22. PRAWIE RAMIE AMAZONKI - DOPŁYW 23. SŁODKI KNEBEL - KNEBEL 24. ODDZIAŁ ZAMKNIĘTY - FILIA 26. GŁOWA PAROWA - BANIA 27. WYSZŁA Z KOŚCIOŁA - KANON 28. SUSA - SKRAJ 29. ZNANY WE WSZYSTKICH KRĘGACH - RÓŻEN 30. BABA Z BRODĄ - KANON

Nagrodą w tym tygodniu jest książka „Skarby świata. 890 pomników kultury i przyrody” Wydawnictwa Naukowego PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesyłać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 32/33”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 19 sierpnia 2012 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Presspublica sp. z o.o. jest organizatorem konkursu z nagrodami rzeczowymi. Aby wziąć w nim udział, należy w trakcie trwania konkursu prawidłowo rozwiązać krzyżówkę publikowaną w tygodniku „Przekrój”. Rozwiązanie krzyżówki należy przesyłać na kartce pocztowej na adres redakcji. Zwycięzcy zostaną wyłonieni po zakończeniu konkursu w drodze losowania. W przypadku wygranej imię i nazwisko laureata oraz miejscowość jego zamieszkania zostaną opublikowane w tygodniku „Przekrój”. Udział w konkursie i przesłanie kartki pocztowej z rozwiązaniem krzyżówki są jednoznaczne z wyrażeniem zgody na przetwarzanie danych osobowych. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.



CZY CZŁOWIEK W TAKIM STANIE POWINIEN ŚLADAC ZA KIEROWNICĄ?

podaj e-mail Twojej firmy

Wejdź na  rp.pl / konkurs

Odbierz nagrodę »

o wartości
500 zł

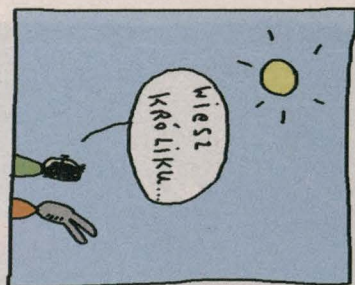
**Odpowiedz na pytanie i zagraj
o wycieczkę życia oraz ekskluzywne zegarki**



Meksyk Kenia Indie
wybierz **egzotyczny** kierunek

 **rp.pl/konkurs**

TYMC2ASEM

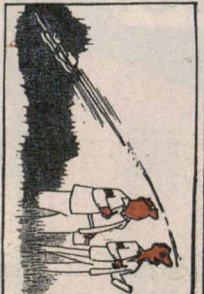


MARTA ZABŁOCKA

RACZKOWSKI NA KONIEC

RETROSPEKJA

JESZCZE O OLIMPIADZIE



"PRZEKRÓJ" Z 17 SIERPNIA 1952 R.

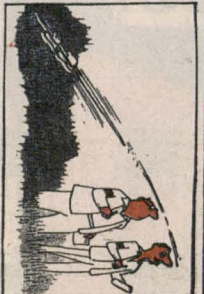
Z PRAWO
STAWIA
DESZCZĘ
NIE

SZYDZIŁEŚ JUC KIE?
PYŚ Z PRAWOSTAWIA

TO ZA PRASZAMY DO
NAS PIŚ WIECZOREM

RETROSPEKJA

JESZCZE O OLIMPIADZIE



"PRZEKRÓJ" Z 17 SIERPNIA 1952 R.

NIE PUBLIKUJEMY ZDJĘCIA...



"PRZEKRÓJ" Z 12 SIERPNIA 1962 R.



"PRZEKRÓJ" Z 6 SIERPNIA 1992 R.

**KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA**

Madagascar 3

[czyli ponura pieśń
polskich aktorów
dubbingowych;
muz. S. Rembowski,
tekst A. Białus]

TOMASZ BORKOWSKI
(smutno):

Przyglądam się sobie
w lustrzanym odbiciu
I myślę, co jeszcze mog
zrobić w życiu...

JACEK LENARTOWICZ
(*pytając*):
Zrobić matkę?
Zrobić ośm?
Zrobić świnie?

JAROSŁAW BOBEREK
(dramatycznie):
Czy to ja naprawdę jestem
temu winien?
Która maska się najbardziej
z moją twarzą zrosła?
Może małpy?
Może świni?

JERZY STUHR (*Gościnnym*
Raczej osła...
KURTYNA zapada
ze zrozumieniem.
Zmierch. Wiatr.
Melancholia.

MYSŁNIK
KRZYSZTOFA BILICY

Nieboszczyk traci
prawo zachowania
energii i masy.

Kamienice Krakowskie



Tylko do końca września...



...promocyjne ceny.



*Kamienica Rodowa Gryf
...już w sprzedaży*



*Kamienica Herbowa Katowice
...zarezerwuj już teraz*

W naszej ofercie posiadamy również lokale usługowe w cenie za m² od 6.300 zł + VAT.

Wszystkim naszym Klientom gwarantujemy obsługę notarialną i **opłacamy takse notarialną**.
Ceny mieszkań zaczynają się od

5.985 zł brutto za m²

Zapraszamy na rozmowę przy filiżance pachnącej kawy do nowej siedziby Działu Sprzedaży przy ul. Wrocławskiej 53.
Czekamy na Państwa **od WTORKU do NIEDZIELI**.

tel. 12 633 86 40, fax. 12 633 15 40 wew. 108

www.mieszkaniowy.as

GREMI
GRUPA